



**CAROLINE
GRIMWALKER**



CZWARTA FALA



PRZEKŁAD KAROLINA SKIBA



CAROLINE GRIMWALKER



CZWARTA FALA

CAROLINE GRIMWALKER CZWARTA FALA

PRZEKŁAD KAROLINA SKIBA





Tytuł oryginału: *Den fjärde vågen*

Przekład z języka szwedzkiego: Karolina Skiba

Copyright © Caroline Grimwalker, 2022

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2022

Projekt graficzny okładki: Maria Borgelöv

Redakcja: Mirosław Dąbrowski

Korekta: Ewa Bednarska-Gryniewicz

ISBN 978-87-0237-614-2

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

<tel:691962519>

Spis treści

Okładka
Tytułowa
Redakcyjna
Motto
Prolog

Rozdział 1

Linn

Rozdział 2

Leonora

Rozdział 3

Elena

Rozdział 4

Moa

Rozdział 5

Carl

Rozdział 6

Linn

Rozdział 7

Linn

Rozdział 8

Leonora

Rozdział 9

Carl

Rozdział 10

Leonora

Rozdział 11

Linn

Rozdział 12

Linn

Rozdział 13

Linn

Rozdział 14

Linn

Rozdział 15

Moa

Rozdział 16

Elena

Rozdział 17

Carl

Rozdział 18

Moa

Rozdział 19

Linn

Rozdział 20

Carl

Rozdział 21

Linn

Rozdział 22

Carl

Rozdział 23

Moa

Rozdział 24

Linn

Rozdział 25

Carl
Rozdział 26
Moa
Rozdział 27
Moa
Rozdział 28
Rozdział 29
Linn
Rozdział 30
Leonora
Rozdział 31
Elena
Rozdział 32
Carl
Rozdział 33
Linn
Rozdział 34
Moa
Rozdział 35
Linn
Rozdział 36
Carl
Rozdział 37
Moa
Rozdział 38
Linn
Rozdział 39
Moa
Rozdział 40
Carl
Rozdział 41
Moa
Rozdział 42
Carl
Rozdział 43
Linn
Rozdział 44
Leonora
Rozdział 45
Linn
Rozdział 46
Carl
Rozdział 47
Linn
Rozdział 48
Carl
Rozdział 49
Linn
Rozdział 50
Linn
Rozdział 51
Elena
Rozdział 52
Linn
Rozdział 53
Linn
Rozdział 54
Leonora

Rozdział 55

Linn

Rozdział 56

Linn

Rozdział 57

Elena

Rozdział 58

Linn

Rozdział 59

Linn

Epilog

Podziękowania

Ponieważ dzisiejsze społeczeństwo charakteryzuje się monotonią, zupełnie bezzasadną z punktu widzenia kobiet, jedyne, co pozostaje cywilizowanym, odpowiedzialnym i żądnym wrażeń kobietom, to obalenie rządu, zburzenie istniejącego systemu gospodarczego, wprowadzenie pełnej automatyzacji i unicestwienie płci męskiej.

Valerie Solanas

Prolog

Wczesne lato 2016 roku

Kiedy logo wieczornych *Wiadomości* wyświetla się na ekranach w Szwecji, wielu ludzi ucisza osoby znajdujące się w pobliżu, by lepiej słyszeć. To było lato obfitujące w burzliwe wydarzenia. Wielka Brytania zszokowała opinię publiczną, głosując za brexitem. W Orlando mężczyzna zastrzelił ponad pięćdziesiąt osób w jednym z gejowskich klubów. Szwecja zasiada w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, a zaledwie tydzień wcześniej w Nicei jakiś mężczyzna przejechał ciężarówką przez bulwar, zabijając osiemdziesiąt pięć osób. Jednak prezenterka nie rozpoczyna programu od żadnego z tych światowych wydarzeń. Gdy muzyka cichnie, podnosi wzrok, kieruje go na kamerę i z poważnym wyrazem twarzy rozpoczyna:

– Dobry wieczór państwu. Zapraszam na wieczorne wydanie *Wiadomości*.

Choć stara się zachować neutralny ton głosu, wyraźnie słycać, że jest wstrząśnięta tym, co ma przekazać. Dwie osoby siedzące obok niej w studiu telewizyjnym są równie przejęte.

– Rozpocznymy nasz program od informacji, że mężczyzna, który został postrelony dziś w centrum Malmö, zmarł w wyniku odniesionych obrażeń.

Na ekranie pojawia się obraz przystanku autobusowego, oddalonego o rzut kamieniem od Centrum Pomocy Prawnej przy Porslinsgatan 4. Odłamki stłuczonej szyby w wiacie przystankowej leżą jak mieniący się odcieniami błękitu, poszarpany lód wokół ciemnej i złowrogiej plamy na chodniku. Niebiesko-biała taśma policyjna zawieszona między latarniami powiewa na ciężkim letnim wietrze niczym upiorna girlanda. Ktoś już zdążył zostawić w tym miejscu białego misia i znicz. W miejscu, którego już nigdy nie będzie można minąć obojętnie. Tutaj pamięć o śmierci na zawsze wryje się w krajobraz miasta.

– Chciałabym bardzo serdecznie powitać panią Catrin Åkesson z wydziału kryminalnego policji w Malmö. Prowadzicie dochodzenie w tej sprawie. Co może nam pani powiedzieć o tym zdarzeniu?

Catrin Åkesson, wyraźnie zakłopotana, poprawia marynarkę, a odpowiadając, splata przed sobą dłonie na stole.

– Dziękuję. Na tym etapie mogę jedynie powiedzieć, że sprawdzamy hipotezę, czy za zabójstwami w centrum Malmö, które miały miejsce wiosną i latem tego roku, stoi ta sama osoba lub osoby.

– Jak doszliście do takiego wniosku?

– Przede wszystkim chodzi o sposób działania, ale także o wybór ofiar. Nadal czekamy na wyniki badania balistycznego, ale na razie nic nie wskazuje, że nie może to być ten sam sprawca.

Prezenterka pyta ostrym głosem:

– Co może pani powiedzieć o zmarłym?

– Jego najbliżsi krewni zostali powiadomieni i z tego, co wiemy, nie ma on nic wspólnego z pozostałymi ofiarami. Wszyscy byli zupełnie zwyczajnymi mężczyznami, których spotkał straszny los. Żadna z ofiar nie jest znana policji.

Prezenterka kiwa głową, robiąc przy tym poważną minę.

– Czy nie tym właśnie różnią się te zabójstwa od innych aktów przemocy, do których dochodziło w Malmö w minionych latach? To już ósma ofiara śmiertelna w ciągu zaledwie kilku miesięcy, a fakt, że wszyscy zastrzeleni to osoby niekarane, wywołał w mediach pewne spekulacje. Niektóre portale internetowe, i to nie tylko te, które szukają sensacji, posunęły się do nazwania zabójcy Kobietą Laser. Wiele osób uważa, że to właśnie pięć ofiar naraziła je na brutalne ataki. Czy tę teorię również bierzecie pod uwagę?

Catrin Åkesson wygląda na zmęczoną. Wyrwa jej się bardzo krótkie westchnienie, po czym kobieta zdaje sobie sprawę, że czuły mikrofon przymocowany do jej białej koszuli je wychwytił. Jej twarz o jasnobrązowym odcieniu oblewa się rumieńcem.

– Istnieje wiele teorii. Tak jest zawsze. W tej chwili absolutnie niczego nie wykluczamy, lecz prowadzimy szeroko zakrojone śledztwo, analizując wszystkie możliwości.

– Wielu powiedziało by pewnie, że brzmi to tak, jakbyście błędzieli po omacku – błyskawicznie reaguje prezenterka. – Co pani myśli o tych spontanicznych demonstracjach przeciwko niesprobowanej przemocy? I co mogłaby pani powiedzieć mężczyznom w Malmö? Ojcom rodzin, ciężko pracującym zwyczajnym ludziom, którzy teraz boją się wychodzić wieczorami z domu?

Twarz Catrin Åkesson na chwilę pochmurnieje, jakby chciała powiedzieć: „Witajcie w naszym świecie, chłopaki”, ale zamiast tego podnosi szklanke z wodą i pije w skupieniu. Kiedy kończy, prostuje plecy, po czym odpowiada:

– Jak już mówiłam, prowadzimy szeroko zakrojone oraz obiektywne dochodzenie i mamy wiele ciekawych tropów. Mogę zapewnić wszystkich mieszkańców Malmö, że śledztwo posuwa się naprzód i prędzej czy później schwytamy tego sprawcę. W tej chwili nie komentuję spekulacji mediów i głosów opinii publicznej.

Prezenterka kieruje wzrok na siedzącego obok Catrin tyczkowatego, opalonego mężczyznę w średnim wieku, który wygląda, jakby został wyrwany z najbliższego ogródka kawiarnianego i zapomniał zapiąć koszulę.

– Sixtenie Törnholmie, czy uważasz, że należy traktować poważnie to, co policja z Malmö nazywa spekulacją?

– Jak najbardziej – odpowiada Sixten, działacz na rzecz równouprawnienia mężczyzn, unosząc podbródek tak, że okulary przeciwsłoneczne, nasunięte na jego przyzłizane do tyłu blond włosy, połyskują w ostrym świetle studia. – W naszym pogotowiu dla mężczyzn będących ofiarami przemocy Killhjälpén dostajemy coraz więcej maili i telefonów od zaniepokojonych osób. Wiele z nich się martwi i boi. I oczywiście należy traktować to poważnie. Lekceważenie faktu, że w trzecim co do wielkości mieście w kraju zastrzelono ośmiu mężczyzn, i nazwanie tego spekulacją, kiedy to oczywiste, że ktoś rzeczywiście celuje w mężczyzn tylko dlatego, że są mężczyznami, prowadzi do rozgoryczenia obywateli, i naprawdę mam nadzieję, że policja jest tego świadoma.

– Przecież to nie jedyne zabójstwa, które miały miejsce w Malmö, choćby w ciągu ostatniego miesiąca – wtrąca ze złością Catrin, a w oczach prezenterki pojawia się jakby napięcie, jakby czuła, że coś się święci. Nabiera powietrza i już ma coś powiedzieć, ale w tym momencie Sixten Törnholm jej przerywa, uderzając jedną pięścią w stół, a drugą wskazując na Catrin Åkesson.

– Åke! – krzyczy. – Tomas! Lars! Hans-Erik!

Catrin Åkesson zamyka na krótko oczy i odchyła głowę do tyłu, tymczasem Sixten z Killhjälpén dalej wykrzykuje imiona ośmiu mężczyzn, którzy w tym roku wiosną i na początku lata zginęli z rąk sąleńca:

– Björn! Stefan! Lennart! A teraz Mikael, zastrzelony w drodze do domu po treningu unihokeja. Skoro policja nie dostrzega różnicy w mechanizmie działania między zwykłymi zabójstwami a tymi zamachami, no właśnie tym są, zamachami terrorystycznymi... Więc skoro policja nie widzi tu schematu i tego, czym on się różni od sytuacji, w których młodociani przestępcy z przedmieść strzelają do siebie z powodu nieudanych transakcji narkotykowych lub w wyniku urażonej męskiej dumy i chorych kompleksów, no to cóż, można się zastanowić, po jaką cholere w ogóle jest nam potrzebna w tym kraju? Mężczyźni się boją. Catrin. Mężczyźni w Malmö nie mają już odwagi wychodzić z domu. Minęły prawie cztery miesiące od pierwszego strzału, ataki zdarzają się coraz częściej, a wy co macie? Nic. Gównu macie. Podczas gdy ty mówisz nam o szeroko zakrojonych dochodzeniach i obiektywnej analizie, to jakaś kolejna zwyczajna szwedzka rodzina będzie musiała tego lata pochować ojca, brata czy syna. To jest, do cholery, poza wszelką krytyką! Ale co ktoś taki jak ty może o tym wiedzieć? Tam, skąd pochodzisz, to normalne, że ludzie strzelają do siebie.

Catrin Åkesson patrzy w oczy Sixtenowi i spokojnie odpowiada:

– Urodziłam się w Malmö. I tak, niestety, zdarza się to częściej, niż bym chciała. Tutaj. W Szwecji. Z której pochodzę.

Ponownie ignoruje Sixtena i zwraca się z powrotem do prezenterki *Wiadomości*:

– Oczywiście rozumiemy, że ludzie się boją, kiedy coś takiego się dzieje. Zabójstwa w centrum miasta są dodatkowym obciążeniem dla policji, która na co dzień i tak wykonuje ogromną pracę. I to, że w tej chwili decydujemy się nie podawać do publicznej wiadomości żadnych szczegółów dotyczących śledztwa, ma oczywiście uzasadnienie. Mam nadzieję, że wszyscy, łącznie z Sixtenem Törnholmem, to rozumieją. Tymczasem policja apeluje do wszystkich mężczyzn o zachowanie szczególnej ostrożności. Nie wychodźcie sami o późnej porze. Pomagajcie sobie nawzajem, możecie na przykład jeździć razem samochodem. Nie przebywajcie w rejonach, w których miały już miejsce zabójstwa.

Sixten Törnholm trzęsie się i wygląda, jakby miał zaraz eksplodować w studiu telewizyjnym.

– Więc mężczyźni nagle nie powinni swobodnie poruszać się po ulicach miasta tylko dlatego, że wy nie jesteście na tyle kompetentni, by złapać działającą w pojedynkę szaloną kobietę, która biega z pistoletem w rękę i strzela do mężczyzn? Czy... na litość boską, czy mężczyźni muszą... – Urywa zdanie w połowie. Słychać jego wściekły oddech. Nie jest w stanie kontynuować.

Catrin Åkesson spogląda na niego zmęczonym wzrokiem.

– No tak, Sixtenie... Można powiedzieć, że nasze aktualne zalecenia nie różnią się w najmniejszym stopniu od tych, których udzielaliśmy wszystkim kobietom w Malmö, kiedy jesienią zeszłego roku Parkman napadał na kobiety. Tak więc obowiązują następujące zasady: bądźcie ostrożni, bądźcie czujni. Nie chodźcie sami wieczorami. Jeśli macie taką możliwość, weźcie taksówkę lub skorzystajcie z podwózki. Tymczasem my, policjanci, oczywiście robimy wszystko, co w naszej mocy, aby ująć sprawcę i zapobiec kolejnym zabójstwom. Zachęcamy również do kontaktu osoby, które mają jakieś informacje związane ze sprawą. Zwłaszcza jeśli ktoś był dziś w pobliżu miejsca, w którym doszło do zabójstwa. Wszystkie wskazówki są dla nas cenne.

Sixten Törnholm kręci głową, jakby to była najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszał, podczas gdy prezenterka dziękuje im obojemu za udział w programie.

Sześćset kilometrów od studia telewizyjnego w Sztokholmie ktoś wybucha śmiechem, przybijając z kimś innym piątkę.

Wcześniej, 2016

Rozdział 1

Linn

Biała tesla bezszelestnie wjeżdża przez bramę i zatrzymuje się na parkingu na rogu ulicy. Elena siedzi w samochodzie przez krótką chwilę, zbierając się w sobie, zapatrzona w dom. Trzy przylegające do siebie budynki ustawione w kształt litery „U”, otynkowane na biało, z niebieskimi narożnikami i ramami okiennymi. Kamery monitoringu przy drzwiach i tylnym wyjściu. Tylko jedno okno, na tyłach domu, nie jest tak solidnie zabezpieczone jak reszta, nie ma nawet zamka, co jest celowe. Za tym oknem znajduje się pułapka. Jeśli ktoś zamierza się włamać, będzie próbował to zrobić właśnie tamtędy. Wtedy z pewnością nie pozostanie to niezauważone.

Poprzednia działka Eleny była mniejsza od tej. Bez względu na to, jak Linn i Elena się starały, nie mogły sobie wyobrazić dalszego wspólnego życia w tamtym domu. Prawdopodobnie chodziło o to, że wystarczyło jedno spojrzenie na pagórek, a wiedziały, co się w nim kryje. Martwe ciało. Gwałciiciel Robert leżał tam i gnął, pokryty pomarańczowymi kwiatkami.

Widząc ogłoszenie o tej nieruchomości, od razu podjęły decyzję. Brat Linn, Anton, tanio odkupił od niej przytulny domek i zamieszkał naprzeciwko ich mamy Anne, a Elena sprzedała swoją willę i razem z Linn zaczęły nowe życie w wymarzonym domu. Jabłoni pośrodku brukowanego dziedzińca ma już pąki, ale ogród na razie nadal jest w stanie zimowego uśpienia. Niedługo pewnie trzeba będzie skosić trawę i wyczyścić palety w ogrodzie przed sezonem. „Ale kto ma na to czas” – myśli Linn, zerkając na ciemnobrązową skórzaną teczkę na siedzeniu pasażera. Teczka prawie pęka w szwach, srebrna metalowa kłamra z jednej strony już się poluzowuje.

– Wróciłam! – wykrzykuje Linn, a chwilę później rozpina zamki w botkach i chwytając się, zdejmuje je w korytarzu. Mimo że obcasy są niewielkie, bołą ją stopy po całym dniu pracy. Według Linn to szczęście, że została prokuratorem. Widziała, jak muszą się ubierać adwokatkę. Sama nie wytrzymałaby nawet sekundy w szpilkach i obcisłych ołówkowych spódnicach. To bardziej przypomina styl Eleny.

– Halo! – woła ponownie i wchodzi do kuchni. Elena siedzi przy stole. Wyprostowana jak struna, wygląda na zaskoczoną. Czy lekko wytrzeszczone.

„Czy ona pije?” Myśl ta przelatuje Linn przez głowę, nim zdąży ją zatrzymać. Szybko przebiega wzrokiem pomieszczenie, ale nie widzi ani butelek, ani kieliszków. Z doświadczenia wie, że odpowiedź na to pytanie niekoniecznie brzmi „nie”. Przygląda się uważnie Elenie.

– Cześć, skarbie. Co robisz?

Elena się uśmiecha, a Linn wciąż czuje motyle w brzuchu, gdy kobieta jej życia z wdziękiem zakłada swoje siwe już włosy za ucho, a w oczach ma błysk.

– Nic szczególnego. Tylko coś tu sprawdzałam. – Elena ma przed sobą laptopa, ale jego pokrywa jest zamknięta.

Linn odkłada wypchaną po brzegi teczkę na kuchenne krzesło i okrąża stół.

– Jak ci minął dzień? – pyta, kładąc ręce na ramionach Eleny. Lekko je masuje. Elena się uśmiecha, odchyła głowę do tyłu i przyciąga do siebie Linn, by dać jej szybkiego całusa.

– Trochę pracowałam. Zamówiłam rzeczy do szklami.

Supel w żołądku się rozluźnia, gdy nie wyczuwa zapachu alkoholu w trakcie pocałunku.

– Nie byłaś dzisiaj w biurze?

Elena zaciska usta.

– Nie – mówi, drapiąc się po karku. – Nie było takiej potrzeby.

„Czy ona mnie okłamuje?”

Pan Syk nadchodzi spokojnym krokiem i zatrzymuje się w progu kuchni. Siada z gracją i przygląda się im obu z wyższością. Lekko porusza z boku na bok srebrzystoszarym ogonem. Zawsze tak robi. Święty kot birmański, którego adoptowały ze schroniska, kiedy razem zamieszkały. Jak się okazało, wiecznie naburmuszony gnojek.

– I do tego spotkał mnie dziś wielki zaszczyt, bo Pan Syk dał się pogłaskać – dopowiada Elena.

– No nie gadaj. – Linn się uśmiecha. – Był głodny?

– Oczywiście.

– Co to za kot – wzdycha Linn. – Jakby nie rozumiał, że w byciu kotem chodzi o to, że można go głaskać i drapać do woli.

Elena się śmieje.

– Po prostu wysoko ceni swoją prywatność.

– Wyjątkowo wysoko – mówi Linn, po czym wyciąga rękę w stronę podłogi i go przywołuje. – Kici, kici. No chodź – zwraca się czule do zwierzaka, by go zachęcić.

Linn mogłaby przysiąc, że Pan Syk unosi jedną brew. Kot spokojnie się podnosi, ignorując jej umizgi, i się oddala. Przynajmniej przestał już syceć na wszystkich i wszystko, a to zawsze coś. Linn pozwoli zaczyna wierzyć, że pewnego dnia kot da się pogłaskać, przytulić i stanie się towarzyski, tak jak...

I tu jej myśl się urywa. Wspomnienie Dżinna wciąż sprawia jej ból. Dżinna, którego Pernilla, żona jej ojca, zabiła w tamte koszarne wakacje niecałe dwa lata temu. Linn odchrząkuje.

– A wychodziłaś gdzie dzisiaj?

Elena kładzie przedramiona na pokrywie laptopa.

– Tak. Przeszłam się obok mojego starego domu.

– Ależ, kochanie...

– Wiem, wiem – mówi Elena z poczuciem winy. – Nie powinnam. Nic na to jednak nie poradzę. To tylko kwestia czasu, kiedy tamte dzieci dorosną i zaczną marudzić, że chcą basen w ogrodzie, a wtedy... no cóż, wiadomo, co znajdą, kiedy wbiją łopate w ziemię.

– Co to jest? – pyta Linn.

– Co?

– Oj, przestań. To – mówi Linn, wskazując na komputer Eleny. A raczej na wystający spod niego róg gazety.

– Aa... to nic takiego. Po prostu gazeta – odpowiada Elena takim tonem, jak wtedy, gdy mówi, że wypila tylko jeden kieliszek, chociaż Linn sprawdza poziom alkoholu w butelkach w barku i wie, że Elena wypila co najmniej trzy.

– No tak. A dlaczego leży pod laptopem?

Elena krzyżuje ręce na piersi wyraźnie urażona.

– A co to za przesłuchanie? To jest gazeta. Leży tam, bo ją tam położyłam.

Linn czuje w ciele jakąś zmianę. Kłuje ją w żołądku, niepokojąco ostro, w momencie, gdy uświadamia sobie jedną rzecz: „Elena nie chroni siebie. Ona chroni mnie”.

– Zobaczmy – rzuca krótko i wyciąga rękę.

– Daj spokój – mówi Elena. – To brukowiec. Same bzdury, jak zwykle, ja...

Więcej nie zdołała powiedzieć, bo Linn złapała za wystający róg i pociągnęła za gazetę. Laptop omal nie spadł na podłogę, ale Elenie udaje się go przytrzymać. Tymczasem Linn rozkłada dziennik popołudniowy „Aftonbladet”. Jak oparzona upuszcza gazetę, robiąc przy tym gwałtowny wdech. Gazeta spada na stół kuchenny, a Linn automatycznie odskakuje dwa kroki do tyłu.

– Linn – odzywa się Elena, podrywając się z krzesła. Staje między Linn a stołem. – Nie przejmuj się tym. Wiesz, że brukowce zawsze żerują na czymś takim, więc nie musisz...

Linn jej przerywa:

– Co on, do kurwy nędzy, robi w gazecie? – Odsuwa się, a jego twarz atakuje ją ze zdjęcia. „Ojciec”.

Nikczemna twarz Carla Waltera zajmuje pół strony w gazecie. Mężczyzna patrzy prosto w obiektyw bezdusznyimi, gadzimi oczami. Prosto w Linn. Potem Linn patrzy na nagłówek. „Mężczyzna skazany za zabójstwo podpisał wartą miliony umowę z dużym wydawnictwem”.

– Dlaczego... – wydusza z siebie szeptem.

Elena zdecydowanym ruchem bierze gazetę do ręki i ją zgniata, po czym podchodzi do zlewu, otwiera kosh na śmieci i wpycha ją do niego.

– Nie przejmuj się tym teraz, Linn. Zamknęli go na dobre. To, co zobaczyłaś, nic nie znaczy.

Linn wie, że to nieprawda. Umowa warta miliony? Z dużym wydawnictwem?

– Więc co? Zamierza napisać książkę? – wyrzuca z siebie. – I dostanie za to grubą kasę?

– Jasne – prycha Elena. – Będzie mógł wykorzystać te miliony na wszystkie wspaniałe rzeczy dostępne w kiosku w psychiatryku w Säter. Tani dezodorant, brzydką papeterię i przeterminowane wafelki w czekoladzie z białym nalotem czy jakieś tam inne cuda. Czego by nie napisał i ile by nie zarobił, i tak umrze w swoim pokoju w zakładzie psychiatrycznym. Musisz o tym pamiętać. Wszystko inne jest nieistotne.

Zanim Linn zdąży odpowiedzieć, rozlega się dzwonek do drzwi, więc aby nie utknąć w tej obezwładniającej próżni, wybiega na korytarz i otwiera drzwi.

– Jonna?

Mama Moi stoi na schodach i sprawia wrażenie zagubionej, ale uśmiecha się życzliwie. Lata nadużycia tabletek odcisnęły piętno na jej twarzy. Mimo że w ciągu ostatniego roku jej wzrok stał się przytomny, to ciało nadal obciążone jest poczuciem winy. Niestety proces przemiany Moi nie był tak wyrazisty.

– Cześć, Linn – mówi Jonna, po czym się wzdyga. – Ojej, co się stało?

– Stało? – pyta Linn.

– Jesteś blada jak ściana.

– A tak, ja... – Linn bierze głęboki wdech i odpycha od siebie obraz ojca, który utrwalił się na jej siatkówce. – Wszystko w porządku. Jestem tylko trochę zestresowana.

– Rozumiem – mówi Jonna. – W zasadzie chciałam zapytać, czy widziałyście się dziś z Moą? A może ona jest u was?

– Dopiero wróciłam do domu, więc nie wiem – odpowiada Linn. – Chcesz się napić kawy?

Jonna potrząsa głową.

– Za godzinę mam spotkanie z terapeutą w ośrodku w Malmö, więc niestety nie zdążę. Może Elena coś wie?

Elena, która wyszła z kuchni na korytarz, wita się z mamą Moi.

– Przykro mi – mówi szczerze zmartwionym głosem. – Nie wiem, gdzie ona jest. Ostatni raz widziałam ją... chyba dwa dni temu.

Jonna smutnieje i kiwa głową.

– No nic. Dzięki. Moa niewiele mi już mówi. Dokąd się wybiera i tak dalej. Mój sponsor uważa, że muszą dać jej czas i przestrzeń, ale...

Linn współczuje tej udręczonej i wyniszczonej kobiecie stojącej u nich na schodach. Jednocześnie wciąż trudno jest jej opanować nagłą i ostrą pogardę, która przeszzywa jej duszę. Córka Jonny przez pierwsze czternaście lat życia była ofiarą przemocy i znęcania się ze strony ojca, a w tym czasie jej matka odurzona lekami leżała na kanapie i na to wszystko pozwalała. Latem 2014 roku, kiedy Moa zabiła nie jedną, lecz dwie osoby, w tym ojca, Jonna też pozostawiła ją samej sobie. Nadużywała. Ucie-

kała od rzeczywistości. Przegapiła wszystko, co się wydarzyło. Porzuciła córkę. Półtora roku trzeźwości to oczywiście nie byle co, ale bez przesady. Linn rozumie Moę, która wciąż ma problem, by zaufać matce i się nią przejmować. Chciałaby jednak, żeby Moa nie odsuwała się od niej i od Eleny, jak to robi już od jakiegoś czasu. Ogólnie rzecz biorąc, można odnieść wrażenie, że w ciągu ostatnich dwóch lat dystans emocjonalny między nimi trzyma tylko się powiększył. Myśl o tym sprawia, że tępy, ćmiący ból rozlewa się po klatce piersiowej Linn.

To przecież nasza trójka była przeciwko całemu światu. „A teraz... teraz już nie jestem pewna” – myśli Linn.

– Próbowalaś do niej dzwonić? – sugeruje Linn.

Jonna patrzy w stronę ich domu, swojego i Moi, jakby córka miała zaraz z niego wyjść. Ujmuje w palce delikatny złoty krzyżek na łańcuszku zawieszonym na szyi i podciąga go do góry w taki sposób, że łańcuszek napina się na podbródku.

– Ona... zablokowała mój numer... znowu.

Elena podchodzi do Jonny i kładzie rękę na jej ramieniu.

– Słuchaj... ona ma szesnaście lat.

„Szesnaście i pół, tak naprawdę” – dodaje w myślach Linn i uśmiecha się w duchu.

– Daj jej trochę przestrzeni – ciągnie Elena. – Zaraz do niej zadzwonię i jeśli czegoś się dowiem, dam ci znać, okej? Na pewno wszystko jest w porządku. Moa to twardzielka, przecież wiesz.

Jonna kiwa głową z powątpiewaniem, dziękuje im obu i odchodzi w kierunku swojego domu, który znajduje się na tej samej ulicy, pięć domów dalej.

– Wierzysz w to? – pyta Linn, gdy Elena zamyka drzwi wejściowe.

– W co?

– Że wszystko jest w porządku z Moą?

Elena wzrusza ramionami.

– Myślę, że one już na zawsze zamieniły się rolami – odpowiada i znika z powrotem w kuchni. Linn idzie za nią.

– Co masz na myśli?

Elena otwiera szafkę nad okapem i wyjmuje z niej butelkę ciemnego rumu. „A więc to jest to miejsce, w którym też trzymamy teraz alkohol” – myśli Linn, ale nic nie mówi.

– No wiesz – zaczyna tłumaczyć Elena, wyciągając korek i wachając zawartość butelki. – Moa musiała być matką dla swojej matki przez większość życia. Teraz wreszcie to się zmieniło. – Bierze kryształową szklankę z witriny i nalewa sobie solidną porcję mocnego trunku. – Może już najwyższy czas, żeby Jonna mogła być matką, która się martwi i stara się panować nad sytuacją, a Moa mogła się zachowywać jak dziecko, nie sądzisz?

– Ale ona nie tylko wobec Jonny tak się zachowuje. Również do nas Moa się rzadko odzywa. Chyba ja też się trochę o nią martwię. No i... nie wiem. Brakuje mi... nas.

Elena patrzy na nią ze zrozumieniem, popijając rum.

– Mnie też.

Linn podnosi teczkę z krzesła. Patrzy na szklankę w ręku Eleny, bez słów odwraca się i idzie na górę, do gabinetu. Wkrótce z salonu zaczynają dobiegać stłumione dźwięki pianina.

W małym pokoju na poddaszu jest chłodno i przytulnie. Linn odkłada teczkę na biurko, zapala lampkę i zastanawia się, dlaczego nic nie powiedziała. O rumie. Jaki mamy dzisiaj dzień? „Środa. Mała sobota” – odpowiedziałyby zapewne Elena. Potem uśmiechnęłyby się tak, że blask jej oczu wdarłby się do serca Linn, która w jednym momencie zapomniałaby o wszystkim, co chciała powiedzieć. Kolejny raz.

W świetle lampy w szkłe obramowanego dyplomu ukończenia studiów prawniczych na Uniwersytecie w Lund odbija się sylwetka Linn. Na środku głowy sterczy kilka krótkich włosów w kolorze platynowego blond, więc stara się je wygładzić.

„Jak ładnie” – przypomina sobie słowa Eleny, gdy za pierwszym razem wróciła od fryzjera po ścięciu włosów i rozjaśnieniu ich na niemal biały kolor. „Ta fryzura nadaje ci groźny wygląd”. Potem kochały się tak namiętnie, jak zawsze. Nie może jednak zapomnieć o tym, co Elena powiedziała. Że jej też brakuje... czegoś. Czy myślały o tym samym? O ich trójce? O tym, że razem walczyły? Czy może Elena miała na myśli coś gorszego? Coś, co może oznaczać początek końca ich związku?

„Uzależnienie od alkoholu to jedyne, co mogłoby rozbić nasz związek” – myśli, pociągając nosem.

Natychmiast pojawia się poczucie winy. Elena nie ocenia Linn. Nigdy tego nie robiła. Dlaczego Linn nie potrafi być tak samo wyrozumiała w stosunku do niej? Na litość boską, Elena jest dorosła. A nawet bardziej niż „dorosła”. Pod koniec tego miesiąca kończy sześćdziesiąt lat.

„Pozwól kobiecie żyć, do cholery”. Wzrok Linn zatrzymuje się na oprawionym w szkło dokumencie wiszącym na ścianie. Dostrzega w nim swoje odbicie. Linn zaczyna się przyzwyczajać do nosa, który już nigdy nie będzie prosty po tym, co ojciec zrobił jej w przeklętej chatce Johana Kinnego.

„Licencjat z prawa – Uniwersytet w Lund”. I pomyśleć, że udało jej się to zrobić. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło. Pamięta styczniową uroczystość, jakby to było wczoraj. Jak udzielał jej się podniosły nastrój. Wszyscy tam byli, mama, Anton i Elena, by z nią świętować. Oprócz Moi.

Gdy Linn zaczyna odczuwać zbyt silny niepokój, wyjmuje z bocznej kieszeni teczki okrągłe, czarne plastikowe pudełko i wkłada pod wargę szaszetkę z nikotyną. W tym samym momencie dzwoni jej komórka w kieszeni marynarki. Minęło sporo czasu, odkąd bała się odbierać połączenia z nieznanych numerów, a mimo to niepewność wkrada się do jej głosu.

– Halo, tu Linn.

– Linn Walter?

„Jasna cholera”. Istnieją tylko dwie kategorie ludzi z tym charakterystycznym tonem głosu: handlowcy i dziennikarze. A w tej chwili nie ma ochoty rozmawiać ani z jednym, ani z drugim.

– Zgadza się – odpowiada bez emocji, zdejmując marynarkę i wieszając ją na krześle przy biurku.

– Bardzo mi miło. Nazywam się Helena Schinckel i dzwonię z gazety „Kvällsposten”.

– Schinckel?

– Tak – mówi dziewczyna po drugiej stronie słuchawki. – Wiesz. Schinckel Helena zawsze znajdzie gorący temat. – Śmieje się niepewnie z własnego żartu, po czym kontynuuje: – W każdym razie zastanawiam się, czy widziałś wiadomości o swoim ojcu, Carlu Walterze, i czy mogłabym...

Linn się rozłącza, zanim Helena Schinckel zdąży powiedzieć coś więcej. Jednocześnie słyszy w telefonie dźwięk powiadomienia. Czyta: „Trzecia ofiara Kobiety Laser?”.

Linn nie może powstrzymać myśli, które znów krążą wokół Moi.

Zmęczenie tkwiące tuż pod skórą jak nieprzemijająca groźba złowieszczo porusza się w jej ciele. Linn zamyka oczy i bierze głęboki oddech. Atak paniki dzięki Bogu nie nadchodzi. Telefon dzwoni ponownie. Jej żołądek skręca się w ostrym bólu. To Ulrika Rönn – szefowa Linn z Prokuratury Okręgowej w Malmö. Linn zaraz po ukończeniu studiów została przez nią zatrudniona na stanowisku asystentki. Od pierwszego dnia to stanowisko wymagało od niej pracy na najwyższych obrotach.

„Urlop – myśli Linn, próbując wziąć głęboki oddech. – Przydałby mi się cholernie długi urlop bez tej pieprzonej komórki”.

– Hej, Ulrika, co mogę dla ciebie zrobić? – odbiera telefon i mówi tak lekkim tonem, na jaki tylko potrafi się zdobyć. Wyjmuje laptop i kładzie go na biurku.

– Hej, mam nadzieję, że nie planowałaś nic na dzisiejszy wieczór – zaczyna Ulrika. Prosto z mostu, ale jak zwykle spokojnie i rzeczowo. – Co się stało z twoim telefonem służbowym?

Linn wyjmuje go z teczki i widzi, że się rozładował. – Przepraszam. Bateria padła. Co do moich planów... Dlaczego pytasz?

– Chodzi o sprawę Lindströma. Pojawiły się nowe informacje, które bezpośrednio przeczą zeznaniem jego sąsiadów, którzy są świadkami. Przesłałam ci to wszystko mailem. Wiem, że to dla ciebie całkiem

nowa sprawa, ale po prostu nie ma nikogo innego, kto mógłby się tym teraz zająć. Każdą nową informację trzeba przejrzeć. Porównaj daty i godziny. Sprawdź, czy znajdziesz jakieś luki.

– Luki?

– Coś mi mówi, że te nowe dowody są sfabrykowane.

Jeśli prokurator naczelna Ulrika Rönn przeczuwa, że to ściema, to prawdopodobnie ma rację – Linn zdążyła się już o tym przekonać. Zerka na zegarek. Siódma wieczorem, nic dziwnego, że ją skręca w brzuchu. Kiedy ostatni raz coś jadła?

– Nie ma sprawy, szefowo – odpowiada, otwierając laptopa. – Od razu się za to zabiorę.

Gdy kończą rozmawiać, do pokoju wchodzi Pan Syk z wysoko uniesionym ogonem. Wskazuje na biurko i siada tak, by nie mogła go dosięgnąć.

– Hej, kolego – mówi Linn. – Dziś też szykuje się długi dzień pracy.

Wyciąga rękę, żeby sprawdzić, czy kot da się pogłaskać. Pan Syk odwraca głowę i zamyka oczy. Linn wzdycha i wstukuje hasło do komputera.

Wprawdzie ma wyrzuty sumienia, że spędza w pracy dużo czasu, ale nawet ją to cieszy, ponieważ marzyła, by znaleźć się w tym miejscu. Zajmuje się ściganiem tych drani. Tych, którzy wykorzystują, molestują czy mordują swoje kobiety. Przypomina jej się zdjęcie ojca z gazety. Wzdryga się na samą myśl o tym. Odruchowo sięga ręką pod biurko w poszukiwaniu tego, co jest przyklejone pod spodem i o czym nie wie nawet Elena. Dotyka zimnego, śmiercionośnego metalu. Zoraki M 906. Mały turecki pistolet gazowy o wadze zaledwie pięciuset gramów, przemycony przez granicę, a następnie przerobiony na prawdziwą broń przez szwedzkiego handlarza bronią o elastycznym kręgosłupie moralnym i zamiłowaniu do pieniędzy. To jeden z paru sekretów rozmieszczonych w całym domu. Jego zabójczy potencjał ją uspokaja, mimo że pistolet może być ładowany tylko jednym nabojem. Gdyby jeszcze raz znalazła się w sytuacji zagrażającej życiu, jeden strzał wystarczy. Tym razem się nie zawaha, nie tak jak dwa lata temu. Przechodzą ją ciarki i otwiera skrzynkę odbiorczą.

Na świecie jest zbyt wielu takich jak Carl Walter i Johan Kinne, ale przynajmniej teraz Linn robi każdego dnia, co w jej mocy, by ich powstrzymać.

Rozdział 2

Leonora

Po ostatnim razie karabin jest w oplakanyam stanie. Celownik się zepsuł, więc teraz trzeba go ponownie zamontować i oddać próbny strzał, by mieć pewność, że znów można na nim polegać. Podnosi sztucer leżący na czerwono-białej ceracie i zagląda do lufy. Celownik leży na stole, obok zmiętego opakowania po marlboro z przemytu. Butelka z ciemnobrązowego szkła z olejem do broni stoi przy sprayu ze środkiem do czyszczenia broni z osadu po prochu. Jak powszechnie wiadomo, dbanie o broń to podstawa.

Słońce zaczęło już zachodzić. Na polach wokół farmy bażanty, zające i lisy szykują się na tę porę dnia, kiedy wykazują się większą aktywnością, a ludzie w tym czasie odpoczywają po długim dniu. Rzepak zaczął kwitnąć wyjątkowo wcześniej w tym roku i rozświetla półmrok intensywną żółtą barwą. Sprawia, że cała okolica słodko pachnie latem. W czasie zbiorów farmę zaatakują maleńkie, czarne owady. Teraz głównie komary są uciążliwe.

Leonora lub Leo, jak ją nazywają, nieobecna myślami, drapie czerwony bąbel na przedramieniu, po czym nasącza lniany skrawek obficie olejem i nakłada go na końcówkę długiego metalowego wycioru, odpowiadającego kalibrowi karabinu. Następnie wprowadza wycior do lufy. Od tyłu. Wylot lufy to najbardziej wrażliwa część broni, nawet jedno uszkodzenie może nieść ze sobą poważne konsekwencje. Trochę jak z ludźmi.

„Mężczyźni są w porządku pod warunkiem, że idą za nami i wtedy nie trzeba na nich patrzeć” – myśli Leo i szyderczo się uśmiecha. Każda cipa potrafi znieść tych skurwieli. Mogą ją nawet trochę podniecać. Wystarczy jednak, że obróci go przodem do siebie, a on wejdzie w jej głowę i w serce, to wyrządzi jej krzywdę. O tym też powszechnie wiadomo.

Pozostawia olej na piętnaście minut i w tym czasie nuci starą kołysankę, której słów nie pamięta. Następnie zmienia lnianą szmatkę na końcu wycioru na mosiężną szczotkę i przepycha przewód lufy dwadzieścia razy na całej długości, długimi, delikatnymi ruchami, tak jak kiedyś nauczyła ją matka. Następnie należy zetrzeć pozostałości. Kiedy stwierdza, że lufa jest dokładnie oczyszczona ze żrącego osadu prochu, po użyciu środka do usuwania pozostałości miedzi, bierze nylonową szczotkę, by porządnie zetrzeć zabrudzenia w przewodzie lufy. Na koniec przeciera lufę kilkoma suchymi lnianymi szmatkami i nanosi cienką warstwę oleju w jej wnętrzu.

Do kuchni wchodzi dużo młodsza kobieta. Drewniana podłoga skrzypi pod jej ciężkimi butami.

– Fuj, ale tu śmierdzi – mówi, marszcząc nos, i odkłada srebrny pistolet na kuchenny stół. PHX Phoenix Redback Ultralight kaliber 9 × 19 mm z magazynkiem o pojemności siedemnastu nabojów.

Leonora spokojnie kiwa głową, nie spuszczać wzroku z karabinu.

– Amoniak. Rozpuszczalnik do miedzi. Był już najwyższy czas.

Młoda kobieta siada naprzeciwko, obserwując płynne, wprawne ruchy starszej.

– Też muszę się tego nauczyć – mówi, wskazując na Leo, która pedantycznie montuje celownik na karabinie. – A teraz chyba trzeba oddać próbny strzał, żeby sprawdzić, czy trafi w cel?

– Zdecydowanie – odzywa się trzecia kobieta z ciężowym brzuchem, która pojawia się w drzwiach. – Chociaż w tym roku w Malmö strzelanie nie jest trudne.

Cała trójka wybucha śmiechem, a tymczasem nad miastem szybko zapada zmierzch.

Rozdział 3

Elena

„W ciągu pierwszych miesięcy tkanki miękkie ulegają rozkładowi, zjadane przez bakterie i grzyby. Po paru miesiącach zwykle pozostają tylko kości i obumarła tkanka – czyta Elena. – Po tak długim czasie prawie całe ciało powinno zamienić się w proch”. Przechodzi do następnej karty w przeglądarce, gdzie również nie znajduje żadnych nowych informacji. Ten tekst przeczytała już chyba tysiąc razy. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że w tym, co robi, jest jakaś patologia. Lekka obsesja. Robert-gwałciciel od dwóch lat leży tam, gdzie został zakopany. Pod pomarańczowymi kwiatami, które prezentują się na tym pagórku wyjątkowo urokliwie.

On nie wykopie się spod ziemi, nie przywlecze się tu w środku nocy i nie stanie nagle w drzwiach sypialni odziany w przegniłe, cuchnące trupem łachmany i nie wskaże na nią swoim już prawie zgniłym, oskarżycielskim palcem. Nie stanie się tak, jak to nieustannie dzieje się w jej snach. Prawdopodobnie ten palec już nawet nie istnieje. Nie może jednak przestać myśleć o Robercie. I o jego małej córeczce, która musi dorastać bez ojca.

Skład ziemi. Elena dowiedziała się, że jest to najważniejszy czynnik decydujący o tym, jak długo szkielet pozostaje nienaruszony po pochówku. Tutaj, w piaszczystych glebach Skanii, zaczyna rozkładać się znacznie później niż w miejscach położonych nieco dalej na północ. Ale minęły dwa lata. Z Roberta nie mogło zostać już wiele.

„Powinno być dobrze” – myśli, dopijając ostatnie krople rumu z kryształowej szklanki.

Cały dom zasnął. Tylko Elena nie. Jej nocna aktywność przerosła nawet Pana Syka, który ułożył się wygodnie na parapecie i twardo śpi. Elena, chcąc odsunąć od siebie złe myśli, otwiera nową kartę w przeglądarce i wchodzi na pierwszą stronę dziennika „Aftonbladet”. Carl Walter wpatruje się w nią złośliwie ze zdjęcia na górze strony. Gdy klika artykuł, przechodzą ją ciarki.

„Kto by pomyślał, że istnieje kobieta, która patrząc w te oczy, czuje miłość” – myśli. Pernilla. Maleństwo. Jeden z tysięcy powodów, dla których obie z Linn usunęły swoje profile z mediów społecznościowych. Stało się to nie do wytrzymania. Może zawsze tak było. Linn nie pisze już nawet do gazet i na pewno nie ma w planie nowej książki. Linn twierdzi, że to przez nadmiar obowiązków w pracy. Zapewne to tylko wygodna wymówka. Obecnie całą komunikacją z potencjalnymi fanami i osobami chcącymi przeprowadzić z nią wywiad zajmuje się wydawnictwo.

Elena najeżdża kursorem na sąsiednią kartę. Po raz kolejny zamierza przeczytać uspokajające słowa, że martwe ciało zniknęło na zawsze po dwóch latach leżenia w ziemi, ale widzi coś, co przyciąga jej uwagę. Link do zupełnie innego artykułu.

Trzecia ofiara Kobiety Laser? – brzmi tytuł.

Elena klika w nagłówek, by przejść do artykułu. Czyta o ostatnich tajemniczych zabójstwach w Malmö i nie może powstrzymać uśmiechu na ustach. Poprawia szczyrzyk, który teraz zawsze nosi w staniu, i podnosi szklankę, by się napić, ale okazuje się, że nic w niej nie ma. Stwierdza, że właściwie dziś jest mała sobota, więc wstaje, by sobie dolać. Wtedy kot podnosi głowę i spogląda na nią z parapetu.

To, że ani ona, ani Linn nie korzystają z mediów społecznościowych, jest tylko połową prawdy. To znaczy, Elena Covaci nie ma, ale lonliboi_20 już tak. Może przed pójściem spać powinna jeszcze tradycyjnie przejrzeć fora internetowe Reddit i Lookism.net?

Rozdział 4

Moa

W ciasnym barze przy niesławnej ulicy Istedgade w Kopenhadze muzyka gra trochę za głośno, by można było normalnie rozmawiać. Moa obserwuje hałaśliwych ludzi pijących tanie piwo, którzy próbują prowadzić pijackie rozmowy, przekrzykując ostre rockowe dźwięki. Przeważnie są to lumpy. Dzieciaki z marginesu. Outsiderzy, tacy jak ona. Duszący dym papierosów już jej nie przeszkadza, jak wtedy, gdy była tu po raz pierwszy. Chociaż Kopenhaga znajduje się zaledwie dwadzieścia minut jazdy pociągiem od Malmö, można odnieść wrażenie, że to zupełnie inny świat. Ludzie mają tu większą swobodę. Można nawet palić w pubach.

Przy barze stoi Veronica. Moa patrzy na jej długie, ciemnobrązowe włosy, które sięgają aż do pupy. Na szyi, pod niesforną gęstą falą włosów, zarówno naturalnych, jak i przedłużanych, znajduje się wyblakły zielony tatuaż: „I am a fuckup”.

Powiedziała Moi, że dwa lata temu koleżanka zrobiła jej to po pijaku. Ale Veronica wcale nie jest żadnym „fuckupem”. Jakby przyciągnięta czystą energią spojrzenia Moi, odwraca się i widzi, że Moa na nią patrzy, więc uśmiecha się do niej szeroko. Czubek jej nosa lekko się przy tym zakrzywia. To coś, co Moa zauważyła u niej przez ostatnie kilka miesięcy, kiedy intensywnie się w nią wpatrywała. Veronica jest typem osoby, która czuje się swobodnie, gdziekolwiek się pojawi. Jakby była naturalną częścią świata. Jakby w każdym miejscu czuła się jak u siebie. To jest piękne.

Moa próbowała zostać lesbijką ze względów politycznych. Bardzo się starała, ale bez skutku. Oczywiście dostrzega to, że Veronica – dziewiętnastoletnia striptizerka, którą poznała w Malmö jesienią ubiegłego roku – jest piękna. Seksowna. Tak, raz się ze sobą przespały i w zasadzie na tym się skończyło. Nie było tak jak w przypadku Linn i Eleny. Nic nie czuła. Jedynie w związkach z facetami coś czuła.

A na to nigdy, przenigdy nie przystanie. „Jebać to”, jak powiedziała by Veronica.

Do baru podchodzi nawalony mężczyzna w średnim wieku o ospowatej twarzy w kolorze świńskiego różu i staje zdecydowanie za blisko Veroniki. Coś do niej mówi, a Moa domyśla się, co to takiego. Może też sobie wyobrazić, jak pachnie jego oddech. Czuła to samo od swojego ojca częściej, niż by tego chciała.

Jedno spojrzenie na mężczyznę przy barze wystarczyło, by natychmiast cofnął się o krok. Kiedy Veronica otwiera usta i rzuca parę słów w jego stronę, chwytając jednocześnie swój złoty nóż motylkowy zawieszony na szyi na grubym łańcuszku, facet kuli się w sobie i znika wśród pijanej ludzkiej masy w lokalu.

Moa wybucha śmiechem i bawi się jasnożółtą plastikową zapalniczką. Zapala ją i gasi. Mężczyźni dość często próbują flirtować z Veronicą lub składać jej nieprzyzwoite propozycje. Albo podchodzą, by wygłosić opinie na temat jej ciała i wyglądu, mimo że nikt ich o to nie prosi. Można się tego spodziewać, gdy wygląda się tak, jak ona. Ale Veronica zawsze szybko daje im do zrozumienia, że marnują czas. Że to może okazać się dla nich niebezpieczne. Pewnie dzieje się tak dlatego, że pracuje w jednym z najbardziej obscurnych klubów ze striptizem w Kopenhadze, gdzie na każdej zmianie musi znosić to samo, ale tam dostaje za to sowicie wynagrodzenie... Poza godzinami pracy, kiedy jej za to nie płacą, Veronica absolutnie nie toleruje tego gówna. Wtedy stawia sprawę jasno.

W końcu Veronica dostaje od barmana dwie butelki zielonego Tuborga, wraca do stolika i siada. Zdmuchuje z twarzy długi kosmyk włosów i natychmiast zapala papierosa. Ma długie, akrylowe pa-

znokcie pokryte czarnym, błyszczącym lakierem. Na każdej wystającej kostce u dłoni ma wytatuowaną literę, które razem tworzą napis „GAME OVER”.

– Co to był za koleś? – pyta Moa i pociąga duży łyk. Kolejna rzecz, która jest lepsza tutaj, po drugiej stronie Öresundu. Nikogo nie obchodzi, że ktoś, kto ma niecałe siedemnaście lat, siedzi w barze i pije piwo z przyjaciółką. Przynajmniej nie na tyle, by coś z tym zrobić.

– Jakiś debil – odpowiada Veronica w dzwicznym dialekcie z Malmö. – Jak każdy z nich. Pieprzyć to. Poczekaj...

Ślini palec wskazujący i pochyla się do przodu. Pociera lekko skroń Moi.

– Farba do włosów, przegapiłaś jedno miejsce – uśmiecha się.

Moa wzrusza ramionami.

– Zmyje się, gdy następnym razem wezmę prysznic.

– Naprawdę dobrze ci w tym kruczoczarnym kolorze – mówi Veronica. – Jest cool. Raz próbowałam, ale wyglądałam jak trup, bo mam tak bladą skórę. Jedynie ciemny brąz się u mnie sprawdza. Właściwie to już od dawna chciałam przetestować czerwony. Taką prawdziwą czerwień, jak ta z klocków lego. Może kiedyś.

– A dlaczego nas to w ogóle obchodzi? – pyta Moa niepewnie.

– Otóż to! – Veronica uderza o stół butelką z piwem, tak że piana się w niej podnosi i zaczyna wylewać. – Masz rację. Patriarchat sprawia, że oczekiwania mężczyzn wkradają się w nasze umysły. Przekonanie, że wszystko, czym jesteśmy, to nasz wygląd. I że można wyglądać albo dobrze, albo źle.

– I jeszcze to twoje zadanie, żeby dobrze wyglądać – dodaje Moa. – Tak jak tego chcą mężczyźni.

Veronica potwierdza skinieniem głowy.

– Tak to już jest. Prawdziwe wyzwanie. Niezależnie od tego, jak bardzo jesteś świadoma, twój umysł łatwo może zostać zatruty. Lecz ci idioci, którzy przychodzą do klubu, nie rozumieją, że to oni są ofiarami, a ja oprawcą. Kiedy przekraczają próg Dollhouse Dreamland, wszystkie striptizerki i dziwki widzą dokładnie to samo: gruby, żalony i kurewsko naiwny portfel.

Zalotnie macha do grubasa przy barze, który tak się przejął jej uwagą, że upuścił na podłogę swoją szklankę z ginem i tonikiem. Veronica pokłada się ze śmiechu.

– Idioci – mówi cicho, po czym wypija duszkiem połowę swojego piwa.

W kieszeni Moi wibruje jej telefon. Moa go wyjmuje, widzi, że to jej mama, i odrzuca połączenie.

– Słuchaj, bo ty... mówiłaś o jakimś spotkaniu. Powiedziałaś, że za jakiś czas mogę dołączyć. Minęło już kilka miesięcy. Więc kiedy znowu się spotkacie?

Veronica odchyła się do tyłu na krzesle i krzyżuje ręce na smukłych piersiach. Jej skórzana kamizelka z second-handu pokryta jest przypinkami z logo różnych zespołów rockowych. Cała masa naszyjników różnej długości i rodzaju zwisa między piersiami. Jeden z tych nieco krótszych to łańcuszek zrobiony z żyłek. Nóż motylkowy wisi najniżej i lekko wybrzusza się pod czarnym podkoszulkiem w stylu vintage z logo zespołu rockowego L7.

Moa patrzy na swoje pomalowane na czarno paznokcie i skórzane bransoletki z ćwiekami. Bawi się opaską z zeszłorocznego Festiwalu Roskilde. Myśli, że może mimo wszystko powinna była odebrać telefon, żeby mama mogła się trochę uspokoić. Jednak wyrzuty sumienia mijają po kolejnym łyku. Nie ma teraz czasu, żeby martwić się o mamę.

– Słuchaj – mówi dalej. – Wiesz, to, o czym rozmawialiśmy... no... o śpianiu z facetami i tak dalej. Co tak naprawdę o tym myśleć? Czy jest to coś, o czym rozmawiacie na waszych spotkaniach?

Skubie skórę przy kciuku tak, że zaczyna lecieć krew. Wkłada palec do ust i się krzywi.

Veronica pochyla się nad stołem. Powoli unosi rękę i przesuwając kciukiem po bliźnie na skroni Moi. Bliźnię, która jest pozostałością po spotkaniu z Johanem Kinnem, kiedy to wraz z Eleną i Linn próbowały go uwięzić w jego obrzydliwej chatce, a Carl Walter pojawił się tam niczym anioł stróż i zły duch zarazem. Spotkanie, które zakończyło się czterodniową śpiączką Moi. Nie pamięta, w którym momencie to się stało i od czego ma tę bliznę. Tak samo jak tę na szyi czy te na plecach. Ostatnią rzeczą, jaką

pamięta z tamtej nocy, jest zbliżający się do niej Johan Kinne, następnie ostry ból z boku głowy, a potem dopiero moment wybudzenia na oddziale intensywnej terapii w szpitalu w Malmö. Linn i Elena mówią, że powinna się cieszyć, że nic nie pamięta. Ale diabli wiedzą, czy ona się z tym zgadza.

– Musisz pomyśleć o tym – mówi Veronica, przesuając opuszek palca po delikatnej krzywiznie bliźny. – Przez kogo to masz.

Szpera w wiszącej na oparciu krzesła, płóciennej torbie w kolorze wojskowej zieleni i wyciąga cienką, różową książeczkę.

– Przeczytaj to najpierw. I wtedy zrobimy razem jedną rzecz. Potem będziesz mogła pójść ze mną na następne spotkanie.

Moa patrzy na sfatygowaną i pomiętą książkę, którą trzyma w ręku. Valerie Solanas. Manifest SCUM. Na odwrocie znajduje się cytat: „Jedynę, co pozostaje cywilizowanym kobietom, to obalenie rządu, zburzenie istniejącego systemu gospodarczego i unicestwienie płci męskiej”.

– No i o to chodzi – mówi, wznosząc toast zieloną butelką z piwem, na który od razu odpowiada piękna, niebezpieczna i inteligentna Veronica.

Rozdział 5

Carl

Carl Walter siedzi bardzo spokojnie i obserwuje, jak młoda blondynka wchodzi do pokoju odwiedzin na trzecim piętrze trzydziestego drugiego oddziału w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym w Säter. Słyszy jej płytki oddech. Dostrzega cienką warstwę potu na czole, której prawdopodobnie nawet nie jest świadoma. Ma stylową, bordową jedwabną bluzkę, nieco ciemniejszą pod pachami. Dziewczyna o krągłych, kobiecych kształtach.

– Czy byli dla ciebie surowi? – pyta Carl, gdy siada naprzeciwko niego w zniszczonym, kwadratowym pomieszczeniu, które przypomina pokój przesłuchań na policji.

Wygląda na zdezorientowaną, wraca pamięcią do wydarzeń sprzed chwili, o co właśnie mu chodziło. Carl rozkoszuje się, gdy widzi, że kobieta niemal niezauważalnie zaciska powieki, wzdrygając się na myśl o tym, jak ja potraktowano. Napawa się świadomością, że została upokorzona.

– Byłam przygotowana na kontrolę – odzywa się z udawanym spokojem.

Następnie wyciąga ku niemu rękę nad stołem. Carl jest pod wrażeniem, że ręka nie drży.

– Helena Schinckel.

– Byłaś przygotowana na kontrolę? – mówi Carl i bierze jej dłoń między swoje ręce, ponieważ są skute kajdankami z krótkim srebrnym łańcuszkiem. – Niech zgadnę. Myślałaś, że będzie to coś w rodzaju kontroli na lotnisku, prawda? Zazwyczaj tak jest. Pewnie nie spodziewałaś się, że wizyta u niesławnego Carla Waltera, najniebezpieczniejszego człowieka w Szwecji będzie wymagała nieco więcej, co?

Helena Schinckel rumieni się aż po cebulki włosów, a on chłonie to, odchylając się do tyłu z szerokim uśmiechem.

Kobieta drapie się po szyi.

– Nie sądzę, żebyś był aż tak niebezpieczny. Nie byłam jednak przygotowana na... tak dokładną rewizję osobistą – odpowiada wyraźnie udawanym zuchwałym tonem.

Carl Walter przybiera smutny wyraz twarzy.

– Jeśli przeszukiwał cię ten skurwiel Jansson, to doskonale cię rozumiem. Wykorzystuje każdą okazję, by móc sobie pomacać – wzdycha i rozkłada ręce tak szeroko, jak to możliwe. – Robiłem, co w mojej mocy, zgłosiłem się na policję i tak dalej, ale chyba rozumiesz, Heleno, że nikt mnie nie słucha.

Wlepia w nią wzrok i widzi, że przynosi to zamierzony efekt. Helena Schinckel wpada w sidła jego jasnych, szaroniebieskich oczu. Tylko przez chwilę, ale to wystarczy. Może i ma prawie sześćdziesiąt lat, ale charyzma się nie starzeje.

Po chwili Helena odrywa od niego wzrok, wyciąga staromodny dyktafon i kładzie go na stole między nimi. Carl się śmieje. Ochryple i przeciągle.

– Zakaz używania telefonów komórkowych. Wiem. To bardzo wkurzające.

Helena włącza sprzęt do nagrywania.

– Jestem w zakładzie zamkniętym w Säter. Jest to placówka istniejąca od 1912 roku, zwana wówczas Sätters Hospital. Już na samym początku utworzono w niej pawilon objęty specjalnym nadzorem, tak zwany pawilon stały. Jest to zakład o wysokim poziomie bezpieczeństwa dla pacjentów z całego kraju, wymagających szczególnej opieki. Co roku wypisuje się i przyjmuje mniej więcej tę samą liczbę pacjentów. Wszystkie osoby leczone tu zgodnie z ustawą o sądowej opiece psychiatrycznej łączy to, że

popęlniły przestępstwo, a jednocześnie są uznawane za osoby z poważnymi zaburzeniami psychicznymi. W Säter nie odbywa się kary pozbawienia wolności na czas określony tylko do momentu, gdy lekarze uznają, że dana osoba jest na tyle zdrowa, by znów żyć w społeczeństwie. Ten dzień teoretycznie nigdy może nie nadejść i więźniowie doskonale zdają sobie z tego sprawę. Zwłaszcza Carl Walter, który siedzi tu obok mnie.

Helena wciska pauzę i wyłącza dyktafon.

– Mamy trzy godziny – mówi do Carla. W tym samym momencie rozlega się pukanie do drzwi i do sali wchodzi pielęgniarz w czarnych spodniach i jasnozielonym T-shircie.

– Kawy? – pyta.

– Chętnie, z mlekiem, poproszę – odpowiada Helena.

– Ja poproszę czarną – mówi Carl.

Pielęgniarz kiwa głową i wychodzi. W drzwiach znajduje się duża szyba z hartowanego szkła, a na zewnątrz podczas całej rozmowy Heleny z Carlem stoi inny pielęgniarz. Ten ma na sobie podobne czarne spodnie, ale zamiast zielonej koszulki – jaskrawoczerwoną bluzę. Od momentu przyjęcia do szpitala w lipcu 2014 roku Carl Walter przez większość czasu nie sprawiał problemów. To jego druga odsiadka w tym starym szpitalu. Wcześniej przebywał tu dwadzieścia lat, po czym został uznany za zdrowego i go wypuszczono. W czasie krótkiego pobytu na wolności usiłował zamordować byłą żonę Anne oraz córkę Linn. Spowodował też ciężki uszczerbek na zdrowiu Eleny i Moi. A na koniec brutalnie zabił policjanta, pedofila i zabójcę dzieci Johana Kinnego.

– Czy wiesz, że około dwudziestu procent wszystkich zwolnionych z Säter wraca na drogę przestępstwa? – pyta Carl Walter, splatając dłonie na stole przed sobą. Pochyla się do przodu. Jego spojrzenie wysysa Helenę coraz głębiej. Wie, że kontrast między lodowym błękitem jego oczu i czarnym T-shirtem, który ma na sobie, sprawia, że jego oczy błyszczą jeszcze mocniej.

– Trzynaście – poprawia go. – Można powiedzieć, że to porażka personelu oddziału psychiatrycznego – mówi Helena. – Albo twoja. Więc... dlaczego ci się nie udało, Carl?

Carl Walter parska pogardliwie i odchyła się na krześle, zirytowany zarówno jej bardziej asertywnym tonem, jak i bezpośrednim pytaniem. Zdecydowanie nie interesuje go uznanie swojej porażki. Kieruje rozmowę na inne tory:

– Czy to twoja pierwsza wizyta tutaj?

– Mhm. Mam nadzieję, że nie ostatnia.

– Wiesz, że już mam współautora mojej książki?

– Doskonale zdają sobie z tego sprawę i nie po to tu jestem.

Carl Walter mruczy coś pod nosem, gdy otwierają się drzwi i wchodzi pielęgniarz z dwoma plastikowymi kubkami z kawą.

– Wszystko w porządku? – pyta Helenę, spoglądając to na nią, to na Carla.

– Oczywiście – odpowiada Helena i wyjmuje notatnik.

Kiedy wyciąga wieczne pióro, pielęgniarz z niepokojem rzuca na nie okiem, przyzwyczajony do tego, że w takim miejscu jak to najróżniejsze rzeczy można zamienić na broń. Poza kilkoma rażącymi wyjątkami Carl Walter od momentu przyjęcia na oddział był bezkonfliktowy i układowy. Po twarzy pielęgniarza wyraźnie jednak widać, że jest przygotowany na zmianę w każdej chwili.

Około jedna trzecia osób osadzonych w Säter popełnia co najmniej jedno przestępstwo podczas pobytu na oddziale. W większości przypadków są to pomniejsze przestępstwa narkotykowe lub przemoc wobec członka personelu. Albo drobne kradzieże wśród więźniów. Ale niektórzy mogą też bez ostrzeżenia stać się naprawdę agresywni, zarówno wobec innych, jak i siebie samych.

Po przyjęciu do Säter, zanim przestępca z zaburzeniami psychicznymi zostanie umieszczony w jednym z wielu oddziałów, przeprowadza się indywidualną ocenę ryzyka. Tutaj, w oddziale numer 32, na trzecim i ostatnim piętrze kremowego betonowego budynku znajduje się od dwunastu do czterdziestu miejsc. Oddział numer 32 jest prawie zawsze pełny, przebywają w nim wszyscy – od seryjnych morderców i kanibali, po pedofilów i osoby skazane za spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Ce-

chę wspólną większości z nich, poza zaburzeniami psychicznymi, jest trudne dzieciństwo i zmaganie się z silnymi uzależnieniami.

– Jak to jest być tu z powrotem? – odzywa się Helena, gdy pielęgniarz, rzuciwszy ostatnie podejrzliwe spojrzenie na wieczne pióro, wychodzi, zostawiając ich samych.

Carl Walter splata dłonie nad głową i napina bicepsy. Helena się im przygląda. Zawiesza na nich wzrok na sekundę dłużej, niż wypada, a on to zauważa.

– Zakazali mi trenować – mówi i puszcza do niej oko.

– Naprawdę? – mówi Helena, której nie do końca udaje się ukryć, że się rumieni. – Czy aktywny tryb życia nie jest ważny dla zdrowia psychicznego?

– Okej, okej – uśmiecha się Carl. – „Zakazali” to chyba za dużo powiedziane. Uważają, że stałem się zbyt duży i silny przez to, że tyle ćwiczyłem na siłowni. Mogę więc trenować w ograniczonym zakresie, jak to nazywają. – Jego lodowato niebieskie oczy błyszczą. – Wiesz... tutaj raz do roku trzeba wypełnić formularz z samooceną dotyczącą zdrowia psychicznego i fizycznego. Sama przyznaj, jakie to głupie. Siedzi tu banda szaleńców, których uważa się za zbyt szurniętych, by mogli przebywać w zwykłym więzieniu, ale kiedy ci sami ludzie mają opowiadać o swoim samopoczuciu, ufa się ich osądowi?

Helena Schinckel zdejmując zębami nakrętkę z wiecznego pióra i rozpisuje je na leżącym przed nią notesie w linie. Lekko sepleni, mając nakrętkę w ustach:

– Mówisz ci ludzie i ich, Carl. Więc sam nie zaliczasz się do tego grona... jak to powiedziałeś... do grona szurniętych ludzi?

Carl kołysze się na krześle i zwiesza głowę.

– Zaburzenia psychiczne mogą być poważne. Nie oznacza to jednak, że muszą być długotrwałe.

Helena zakłada nakrętkę na końcówkę pióra i przekłada je między palcami, jednocześnie prostując plecy.

– A gdybyś tak spróbował odpowiedzieć na moje pytanie: jakie to uczucie być tu z powrotem?

Carl Walter wzrusza ramionami. Zaczyna się już nudzić.

– Jest okej. Jak już mówiłem, nie zamierzam tu długo zostać.

– Uważasz, że wyzdrowiałeś?

– Czy ktoś może być całkowicie zdrowy w tym miejscu? Przesłaś przez cały oddział, żeby się tu dostać, prawda? Widziałeś te ciężkie drzwi bezpieczeństwa. Małe pomieszczenie po lewej z telefonem na ścianie. Tak na marginesie, można tam tylko odbierać połączenia, a nie z niego dzwonić. To pomieszczenie znajduje się tuż obok toalety dla personelu, a Jansson, no cóż... myślę, że czeka z numerem dwa do czasu, aż przyjdzie do pracy, żeby nikt nie mógł spędzić miłej chwili na rozmowie z bliskimi. Ja pierdolę, tam zawsze śmierdzi kanalizacją.

– Poza tym to całkiem porządny oddział – próbuje go pocieszyć Helena.

– Porządny? Długi korytarz z pokojami. Jasne, świetlica jest nawet okej, choć narożna sofa powinna być wymieniona z dziesięć lat temu. Początkowo była czarna, ale teraz skóra zrobiła się szara. Stała już tutaj, gdy zamknęli mnie po raz pierwszy. Nie wolno nam przebywać ani w kuchni, ani w jadalni. Te pomieszczenia są przeznaczone wyłącznie dla personelu i drzwi do nich zamykają na klucz. Jadalnię otwierają o określonych godzinach, a jedzenie dostajemy w menażkach. I to nic wykwintnego, a w dodatku przez to, że przywożą je z Falun, za każdym razem jest ledwo ciepłe. A tak przy okazji, zauważyłaś, że telewizor w świetlicy jest przymocowany do blatu, na którym stoi? – Carl się uśmiecha.

– Przymocowany?

– Zdziwiłabyś się, jak wiele rzeczy jest tu chronionych w ten sposób. Obrazy na ścianach, choć kiepskie, też są przymocowane.

– Widziałam parę stolików z grammi planszowymi – mówi Helena w sposób, który, jak domyśla się Carl, ma być pokrępiający.

– Zakładają, że ludzie mają tu ochotę spędzać czas z innymi z oddziału – stwierdza Carl z chłodnym uśmiechem. – No cóż. Jakby to powiedzieć... Ludzie tutaj nie są zbyt mądry, delikatnie mówiąc. Przez

cały dzień grają tylko w gry komputerowe w swoich pokojach, czekając na moment, w którym rozdane są leki. Wtedy mrowie ludzi zbiera się w gabinecie. W środku tego pomieszczenia jest przytulniej. Rośliny doniczkowe, zdjęcia rodzin i tak dalej. Ale że ten oddział jest... jak ty się wyraziłaś... porządny? Nie, to chyba przesada, droga Heleno.

– Wolno ci wychodzić na dwór?

– Oczywiście, że tak – odpowiada Carl. – Jestem grzecznym chłopcem, który prawie cały czas dobrze się zachowuje. W ciągu ostatnich dwóch lat zdobyłem więc pewne przywileje, jak to się tutaj nazywa. Jednym z nich jest możliwość wyjścia na zewnątrz. Innym przywilejem jest swobodne poruszanie się po terenie wokół szpitala bez nadzoru personelu.

– I dostałeś ten przywilej? Chodzi mi o to swobodne poruszanie się.

– Jeszcze nie.

– A dlaczego nie?

Carl Walter pociera twarz, a łańcuch między jego dłońmi grzechocze.

– Sprawa wygląda następująco – zaczyna. – W 2014 roku wprowadzono wiele zmian w prawie, by zwiększyć bezpieczeństwo w oddziałach psychiatrii sądowej. Oprócz ogólnej kontroli przy wejściu zdecydowano, że pacjenci ze specjalnymi warunkami wypisu mogą wyłącznie korzystać ze sprzętu elektronicznego dostępnego w placówce. O wiele trudniej jest również dostać przywilej swobodnego poruszania się. Jak myślisz, dlaczego wprowadzono te zmiany akurat wtedy, gdy tu wróciłem?

Na ustach Heleny Schinckel po raz pierwszy pojawia się krzywy uśmiech.

– Myślisz, że to dlatego parlament wydał to rozporządzenie? Żeby móc monitorować i ograniczać właśnie ciebie? Ciekawe. – Zapisuje coś w notatniku krwistoczerwonym atramentem.

Carl Walter się zasepia.

– Oczywiście, że nie. Nie tylko dlatego. Nie mówi się tego oficjalnie, ale takie miejsca, jak to, to trochę Dzikie Zachód. Kraina bezprawia. Wystarczy wiedzieć, o ile więcej przestępstw się tu popełnia w porównaniu z tym, ile jest zgłaszanych. Zazwyczaj statystyki są fałszowane. Przecież siedzimy tu w zamknięciu, a prokurator i tak zwykle wnosi o oddalenie zarzutów.

Helena podnosi swój plastikowy kubek, dmucha w niego, a przed wypiciem kawy rzuca kolejne pytanie:

– Powiedziałeś, że nie zamierzasz tu długo zostać. Co przez to rozumiesz?

– Jak zapewne już sprawdziłaś, opieka psychiatryczna w oddziale zamkniętym dla osób ze specjalnymi warunkami wypisu nie jest zasądzana na określony czas w przeciwieństwie do tradycyjnej kary pozbawienia wolności. Przeciętnie człowiek przebywa tu niespełna pięć lat.

– Ty za pierwszym razem siedziałeś tu prawie dwadzieścia lat.

Carl zaciska pięści na blacie, nim zdoła się powstrzymać. Zmusza się, by je rozluźnić.

– Wiem – mówi i popija kawę, naśladowując tę młodą kobietę. – Tym razem tak nie będzie.

Helena Schinckel ponownie kieruje rozmowę na inne tory, zupełnie tak, jakby coś w jego zmienionym wyrazie twarzy ją przeraziło. Kiedy opowiada o podcaście, serii artykułów i scenariuszu filmowym, który chce napisać w czasie, gdy on będzie pracował nad autobiografią, Carl Walter zatrzymuje wzrok na wrażliwym miejscu tuż za uchem. Jakie to byłoby proste. Zanim ktokolwiek zdołałby tu dotrzeć, ta kurwa umierałaby na jego oczach, podczas gdy z jej tętnicy tryskałaby piękna, płomiennie czerwona krew.

Pozostawia to wszystko jednak w sferze fantazji. On jej potrzebuje. Tak, jak przed chwilą powiedział, w najbliższej przyszłości nie planuje żadnych morderstw w Säter. Ma za to plany wobec tej karierowiczki Heleny Schinckel. To będzie łatwe, tak łatwe jak ona.

Carl znowu znalazł się tutaj, na oddziale trzydziestym drugim. Wśród psycholi, którzy mają zwidy lub słyszą głosy. Jeden facet myśli, że jest nowym wcieleniem Johna Lennona, wysłanym przez Boga, by rozsiewać swoje nasienie wśród małych dziewczynek. Ale sytuacja wkrótce się zmieni. Jeśli istnieje

coś, czego Carl Walter jest w stu procentach pewien, to właśnie to: „Wydzie stąd. Wydzie i dokończy to, co powinien był dokończyć ponad dwadzieścia lat temu”.

Rozdział 6

Linn

Gdy Linn wychodzi z windy w swoim stosunkowo nowym miejscu pracy znajdującym się w jednym z morelowych budynków Centrum Pomocy Prawnej przy Porslinsgatan 4, Catrin Åkesson z Wydziału Kryminalnego nadchodzi szybkim krokiem z przeciwnej strony. Ciemnoszare nogawki spodni od garnituru powiewają wokół jej nóg, a pod marynarką, na wierzchu białej koszuli, można dostrzec kaburę z bronią.

– Kto zajmuje się sprawą Lindströma? Ty i Ulrika, prawda? – słychać z daleka, zanim Linn zdążyła się z nią przywitać.

Czuje znajome ściskanie w żołądku. Mocniej chwyta rączkę teczki. To ta sprawa, nad którą Linn siedziała pół nocy, porównując zeznania świadków.

– Dopiero się z nią zapoznałem – odpowiada i złości się, że głos jej zadrżał.

„To dlatego, że dokładnie wiem, co będzie dalej”. Stara się odsunąć od siebie tę myśl. „To może być dobra wiadomość – próbuje sobie wmówić. – Naprawdę może tak być”. Ale to, z jakim zirytowaniem Catrin wbija paznokcie w swoje jasnobrązowe afro, mówi zupełnie co innego.

– Jestem teraz w drodze do szpitala – mówi Catrin, zatrzymując się przed Linn. Linn zauważa worki pod oczami głównej śledczej i domyśla się, że sama ma podobne. Ile spała ostatniej nocy? Cztery godziny? To maks.

– Co się stało? – pyta. – Wczoraj zostałam poproszona o sprawdzenie wszystkiego, co dotyczy Lindströma. Miałam szukać nieścisłości.

– I? – dopytuje Catrin z nutką nadziei w głosie.

Linn czuje, jak opadają jej ramiona.

– Nic. W każdym razie ja nic nie znalazłam.

Z ust Catrin wrywa się jęk.

– Czyli tak jak zwykle. Nie zrozum mnie źle. Nic do ciebie nie mam ani do prokuratury. Absolutnie nie. Po prostu jestem totalnie sfrustrowana.

– Co się stało?

– To, co zwykle – wzdycha Catrin. – Mąż wykorzystał prawo do kontaktów z dziećmi jako kartę przetargową wobec byłej żony. Oni tak zawsze robią. Zmusił ją, przy wsparciu naszego państwa, by wyszła z ukrycia. A teraz kobieta leży w szpitalu z drenem w jednym płucu. Dźgnął ją nożem podczas przekazywania dzieci. W obecności koordynatora i obojga dzieci.

– O, Boże – szepcze Linn.

Obrazy jej mamy Anne leżącej w szpitalnym łóżku, zarówno przed ponad dwoma dekadami, jak i dwa lata temu, krążą na skraju pola pamięci jak śliniący się wilk, który próbuje się wedrzeć do środka. Linn robi, co w jej mocy, by odeprzeć to wszystko. Musi skupić się na teraźniejszości.

Z windy wychodzi Ulrika Rönn, która najwyraźniej została już o wszystkim powiadomiona telefonicznie. Jest przygnębiona.

– Czy te biedaczyska nie mogą mieć chwili wytchnienia? – pyta Linn, jakby sama siebie.

– Dajemy z siebie wszystko. Codziennie – odpowiada prokurator naczelna i przez chwilę trzyma dłoń na przedramieniu Linn. – To tyle, ile możemy zrobić.

Właśnie wtedy słychać dźwięk telefonu Ulriki. Spogląda na wyświetlacz i czyta z poważną miną.

– Niech to szlag – syczy.

– Co? – pytają jednocześnie Catrin i Linn.

– Fredrika Andersson. Pamiętacie, ta, która spędziła trzy noce w przytułku w Oxie ze swoim dwulatkiem?

Obie kiwają głowami.

– Właśnie dostałam od niej esemesa. Wycofuje zeznania. Nie zamierza współpracować przy dochodzeniu. Cytuję: „Przeprosił mnie. Spróbujemy jeszcze raz. Dla dobra Minny”.

Teoretycznie powódka nie musi współpracować przy oskarżeniu o naruszenie godności, ale trzy kobiety na korytarzu w Centrum Pomocy Prawnej wiedzą, że w praktyce praca nad tą sprawą bez jej udziału będzie o wiele trudniejsza. Zwłaszcza jeśli mężczyzna zdoła ją przekonać, by wycofała skargę i skłamała, by go chronić. Linn jest świadoma, że zaskakująco duży odsetek kobiet tak właśnie postępuje. Kłamią, by chronić mężów, mimo że to pieprzone dupki. Mężczyźni niemal bez wyjątku przekonują kobiety, że to dla dobra dzieci. A wtedy kobietom trudno się przeciwstawić.

Linn czuje, że zbiera jej się na wymioty.

– Przepraszam – wyrzuca z siebie i biegnie do najbliższej toalety.

Opiera się plecami o chłodne drzwi toalety, a pulsowanie w uszach narasta. Kręci jej się w głowie i Linn pochyla się do przodu. Musi się podpierać rękami o uda.

„Wdech przez nos, wydech przez usta. Wdech przez nos, wydech przez usta”.

Pojawia się nieprzyjemne drżenie w klatce piersiowej. W końcu jednak udaje jej się zapanować nad rozpoczynającym się atakiem paniki. Tym razem nie zawładnął Linn, jak to się czasem zdarza. Czasami jedyne, co pomaga w takiej sytuacji, to rozkleić się w ramionach Eleny i płakać, płakać, płakać... Najczęściej jednak temu płaczowi towarzyszy niepokojąca myśl: „Wtedy, dwa lata temu, udało nam się zrobić coś z tymi gnojami. Robiliśmy to już wcześniej i możemy zrobić ponownie”.

Za każdym razem, gdy ta myśl się pojawia, coraz trudniej ją od siebie odsunąć.

Rozdział 7

Linn

Linn siedzi na kanapie z podwiniętymi nogami przykryta kocem, który przypomina futro niedźwiedzia. Herbata w kubku przed nią na stole wystygła w trakcie rozmowy. Rozmowy, która trwa nieprzerwanie od prawie dwóch dni. Właściwie od dwóch lat. Zegar w korytarzu wybił ósmą, a Saxtorpsskogen pogrążył się w mroku. Elena siedzi przy niej, jej długie nogi są skrzyżowane, a zmarszczka na czole w czasie rozmowy się pogłębia. Na stołku przy pianinie siedzi Moa, która obiecała, że zaraz pójdzie do domu i pokaże mamie, że żyje.

– Dzisiaj myślałam, że znowu będę musiała wrócić do domu – mówi Linn cienkim głosem. – Chociaż byłam w pracy tylko przez jakieś pięć minut. Gdybym wiedziała, że będę się tak stresować, może nigdy bym się nie zdecydowała... Może nie nadaje się do tej pracy...

Elena kładzie dłoń na jej kolanie i je ściska.

– Nonsens – mówi i znów ściska ją za kolano. – Nie potrafię wyobrazić sobie nikogo, kto lepiej niż ty pomagałby ludziom pozbywać się tych drani.

– Ale ja przecież tego nie robię – mówi Linn beznamiętnie. – Pomagać? Powiedz to Sarze Lindström, która przebywa obecnie na intensywnej terapii z drenem w płucach. Albo Fredrice Andersson, która po raz trzeci w tym roku wróciła do agresywnego męża... bo powiedział, że przeprasza. Jak ja im pomagam?

Elena milknie, wyglądając na przybitą.

– W końcu tak się stanie. Kiedy same będą na to gotowe. Kiedy otrzymają o jeden cios za dużo. Wiesz, jak to jest.

Mięśnie szczęki Linn szybko się poruszają, po czym mówi:

– Tak, wiem, jak to jest. Zdecydowanie wiem. Ten jeden cios za dużo może być też ostatnim, jakiego taka kobieta doświadczy w swoim życiu.

Łzy spływają jej po policzkach. Linn wyciera je ze złością obiema rękami.

– Chciałabym móc sprawić, żeby... zrozumieli. Potrząsnąć nimi. Wykrzyzczyć im prosto w twarz. To właśnie robią ich tak zwani partnerzy...

Z ust Moi, która do tej pory siedziała cicho, wydobywa się krótki, chrapliwy oddech.

– To dlatego, że zabieracie się do tego od złej strony.

Obie, Elena i Linn, patrzą na nią zdumione. Moa, zamiast wyjaśnić, o co jej chodzi, otwiera czarny plecak, który trzyma między stopami. Szpera w nim przez chwilę i wyciąga cienką książkę z różową okładką. Rzuca ją na kanapę obok Linn tak, że spada wierzchem do góry.

– Córeczki tatusia – mówi Moa ochryplym głosem i dodaje: – Obciążary, które nienawidzą samych siebie.

Prostuje plecy.

– Ale mogą się zmienić. Ostatecznie. Ale nie na początku. Najpierw trzeba dopaść mężczyzn. Tych popaprać.

Linn przyciąga do siebie książkę i przygląda się okładce.

– Czytałam to bardzo dawno temu.

– Ja też – mówi Elena.

Linn otwiera książkę na stronie drugiej i czyta na głos fragment przedmowy:

– SCUM to niebezpieczny tekst. SCUM wpływa na kobiety. To tekst, który na zawsze zmienia czytelnika. Natychmiast stajesz się podłą i niebezpieczną suką. Bezczelną, agresywną, egoistyczną, nadgorliwą kobietą z piekła rodem. Arogancką i rżącą ze śmiechu Władczynią Wszechświata, która zaczyna marzyć o tym, by wbić szpikulec w dupę pierwszemu lepszemu mężczyźnie.

– I o to chodzi! – Moa podnosi się ze stołka przy pianinie i podekscytowana chodzi po pokoju. – Znajdźmy męża tej Fredriki i zabijmy go. I męża Sary.

– Jestem na „nie” – mówi Linn, przesuwając palcami po dolnym brzegu swetra. – Zdecydowanie nie.

– Ton twojego głosu mówi co innego – odgryza się Moa lodowatym głosem.

Linn przechodzi dreszcz na myśl o Moi sprzed dwóch lat. Jak trzymała pistolet i strzeliła gwałcicielowi Robertowi prosto w twarz, podczas gdy ona z Eleną stały oszołomione obok niej. Jeśli istnieje ktoś, kogo należy traktować poważnie w przypadku takich gróźb, jest to Moa.

– Ton mojego głosu mówi, że powinnaś zrozumieć, że to, co zrobiłaś, co my zrobiliśmy dwa lata temu, było... no wiesz... Czy rozumiesz, jakie miałyśmy szczęście, że uszło nam to na sucho? Nie mogę uwierzyć, w to, co mówisz, Moa.

– SCUM to tekst, który zmienia ludzi – tłumaczy Moa, po czym podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. – Kot chce wejść do środka. Wpuszczę go.

Gdy Moa wróciła, a Pan Syk spokojnie wszedł do salonu, traktując wszystkich jak powietrze, i zniknął z powrotem w kuchni, Elena się odzywa:

– Czy wiesz, kim była Valerie Solanas? Jak żyła i w jaki sposób zmarła? I co zrobiła?

– Wiem – odpowiada Moa. – I istnieje wiele kobiet, które wzięły sobie jej przesłanie do serca.

Elena kontynuuje: – Była prostytutką, chorą psychicznie. Postrzeliła Andy’ego Warhola, ponieważ uważała, że zrujnował jej życie.

Moa unosi pogardliwie brwi.

– Mówisz to tak, jakby zastrzelenie jakiegos pieprzonego gnoja było czymś złym. Dwa lata temu mówiłaś co innego. A może to musi dotyczyć ciebie samej, żebyś uważała, że to jest w porządku?

Elena powoli kręci głową.

– To nie było fair.

– ... a niektóre z moich najlepszych koleżanek to dziwki, pogódźcie się z tym – podsumowuje Moa, ciężko opadając na taboret przy pianinie.

– Gdybyś pozwoliła mi dokończyć, a nie atakowała jak dziecko – mówi Elena, tym razem ostrzejszym tonem. – Chciałam powiedzieć, że też czytałam tę książkę, kiedy byłam młoda. I ja to rozumiem. Bez dwóch zdań. To, co przeczytała Linn, jest prawdą. Po lekturze tego tekstu stajesz się inną osobą. I ja... zgadzam się z tobą, że człowiek ma ochotę coś zrobić.

Linn nabiera powietrza, jakby chciała wyrazić sprzeciw, ale Elena podnosi rękę.

– Coś, czego nie wolno zrobić – mówi dalej – i to moim zdaniem Valerie Solanas zrobiła zupełnie nie tak, to poświęcić życie tej walce. Jasne, Warhol był draniem. Zmarnował jej sztukę. Jaki był ostateczny rezultat? On nie zginął, za to ona została aresztowana za atak z użyciem broni i skazana na karę pozbawienia wolności. Potem zmarła, samotna i chora, pogrążona w narkotykach i alkoholu, w zapuszczonym pokoju hotelowym gdzieś w slumsach.

– Ona była zupełnie sama – sprzeciwia się Moa. – A my nie.

Między trzema kobietami zapada cisza. Do momentu, aż Linn ją przerywa.

– Czy wy obie zwariowałyście? Nie ma mowy. Nie będziemy do nikogo znowu strzelać. Nigdy więcej. Jak już mówiałam, miałyśmy niesamowite szczęście, że nam się upiekło. I to zarówno w przypadku twojego ojca, Moa, jak i Roberta. I w pewnym sensie wcale nam się nie udało od tego uciec.

Elena przechyla głowę na bok z powątpiewaniem.

– Więc chcesz powiedzieć, że uważasz, że ci się upiekło? – pyta Linn Elenę. – Ty, która każdego pieprzonego dnia siedzisz i googlujesz, ile czasu trwa rozkład zwłok w ziemi? Która latem 2014 roku lubiła czasem trochę wypić, ale od tamtej pory pije coraz więcej i coraz częściej? Ty, która na co dzień no-

sisz w staniku ten cholerny szczyryk? Wyjaśnij mi, proszę, w jaki sposób uszło ci na sucho to, co zrobiłyśmy.

Kieruje wzrok na Moę i coraz bardziej podnosi głos:

– I ty, Moa, na zewnątrz taka cholerna twardzielka. Jak niby tobie udało się od tego uwolnić? Jedyne, co robisz, to uciekasz. Uciekasz od swojej mamy, która w końcu wróciła do życia, uciekasz od nas, uciekasz do Kopenhagi, do barów, pewnie też do alkoholu i... Powiedziałaś, że niektóre z twoich najlepszych koleżanek to dziwki? Czy nie rozumiesz, że wszystko, co robisz, wynika z tego, że dzień po dniu żyjesz tym, co zrobiłaś? Obie uciekacie. Przez cały czas. Gdzieś tam w środku. Z sercem w gardle. I nie zrozumcie mnie źle, ja też uciekam, Bóg mi świadkiem. I oczywiście ja też chcę coś zrobić. Na serio. Jeśli mamy jednak kiedykolwiek zaznać spokoju i przestać uciekać, to ostatecznie, co powinnyśmy zrobić, to powtórzyć coś, co choćby przypomina to, co zrobiłyśmy dwa lata temu. Nie możemy tego zrobić. Ja nie mogę. Bez względu na to, jak kuszące to się wydaje. Muszę... się zatrzymać.

Po tej długiej przemowie znów przez dłuższą chwilę panuje cisza. Lekki wiosenny deszcz zaczyna bębnić o szyby, a Linn nagle czuje silną potrzebę, by wyruszyć na nocne podglądanie, by stać w cieniu i potajemnie obserwować życie innych ludzi przez okna. Zobaczyć, że oni też kłócą się, płaczą, piją i przeżywają kryzysy. Bez względu na to, jakie pozory stwarzają na zewnątrz.

Elena zakłada włosy za ucho.

– Musimy się zatrzymać, wszystkie. Masz rację.

Moa prycha. Elena posyła jej znaczące spojrzenie, po czym mówi dalej:

– Pytanie brzmi, czy mamy do tego prawo?

– Nie. Robimy to tylko po to, by zaspokoić nasze ego – odpowiada szybko Moa. – I przestań udawać, że to, co właśnie nam powiedziałaś, nie wkurwia cię, Linn. To, że nie chcesz nic zrobić. Jesteś taka dobra w analizowaniu innych. Ale co z tobą w takim razie? Dlaczego pracujesz tam, gdzie pracujesz? No tak, ponieważ uważasz, że istnieje legalny sposób prowadzenia tej walki. Mam dla ciebie nowinę: nie istnieje. I widzę to nawet ja, mając zaledwie szesnaście lat, ale ty nie. To jest, kurwa, chore.

Linn odpowiada przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście, że jestem wkurwiona, i oczywiście, że chcę coś zrobić. Przecież to właśnie powiedziałam. Ale tak, uważam, że powinnyśmy to zrobić zgodnie z prawem. Mężczyźni codziennie są skazywani na karę więzienia, więc nie mów, że nic nie robię. Poza tym pamiętam to wszystko, co się stało.

Moa spuszcza wzrok, słysząc gniew w głosie Linn.

– Przepraszam. Nie chciałam... wiem, jak bardzo... to wszystko cię dotknęło.

Po raz kolejny długa cisza wypełnia salon, a wiosenny deszcz sływa po oknach jak łyż.

– Może nie musimy nikogo zabijać? – w końcu odzywa się Elena.

– Jak to? – dziwi się Moa.

– No wiecie, przecież to oczywiste, że i tak wszystkie chcemy coś zrobić. Praktycznie musimy. Żadna z nas nie jest w stanie wytrzymać bezczynności. Ty też nie, Linn. Więc... Ten skurwiol, który dźgnął żonę w płuco, tak że trafiła do szpitala. Może po prostu możemy, no nie wiem... przestraszyć go tak, żeby zrozumiał? Tak, żeby przestał.

Moa ponownie podnosi się ze stołka przy pianinie z błyskiem ożywienia w oczach.

– Jestem totalnie za!

Linn kładzie głowę na oparciu kanapy i przyciska kciuk i palec wskazujący do powiek.

Rozdział 8

Leonora

Gospodarstwo niedaleko Fjellie jest podupadłe. Sterty gruzu i zardzewiałe stare maszyny wypełniają zarówno podwórze, jak i stodołę. W studni z tyłu znajduje się mnóstwo zszarzałych desek z dawno nieużywanego budynku, a szarobiałe tynk domu mieszkalnego w większości już odpadł. Odstonięta stara czerwona cegła również zaczęła się kruszyć. Drewniane podłogi w środku domu są chropowate i każdego dnia przynajmniej jednej z kobiet wbija się drzazga w stopę. Mimo wszystko farma jest miejscem, w którym można złapać oddech. Miejscem, w którym można poczuć prawdziwą wolność. I to Leo sprawiła, że tak się stało, sprowadzając tu odpowiednie kobiety.

– Co mamy zobaczyć, Tina? – pyta kobietę w zaawansowanej ciąży, która podłącza komórkę do telewizora.

– Idiotów – odpowiada Tina, uśmiechając się pogardliwie w stronę fotela, w którym siedzi Leo. – Veronica zabrała Moę na misję próbną i udało im się nagrać... No cóż, zobaczysz, to jest totalnie porąbane – potrząsa głową ubawiona.

– Moę? Tę małą?

– Może się okazać, że zwerbowanie jej do naszej grupy to była nasza najlepsza decyzja od dawna. Wydaje się, że niczego się nie boi, przynajmniej tak twierdzi Veronica.

Leo powoli kiwa głową z aprobatą.

– Zaproś ją na następne spotkanie. Potrzebujemy młodej, nieokiełznanej agresji. Z pewnością możemy się od niej nauczyć tyle samo, ile ona od nas.

Ekran telewizora zaczyna migotać i pojawia się kadr z nakręconego filmu. Na wytartej sofie z brązo-wozółtego materiału siedzą jeszcze trzy inne podeksycytowane kobiety. Trzy wojowniczkki, jak by powiedziała Leo. W kuchni słychać stukanie garnków i włączone radio.

– Signe! Chcemy teraz to zobaczyć! Zupa może chwilę poczekać.

Signe, właścicielka farmy i jedyna osoba powyżej siedemdziesiątki w tej grupie, pojawia się w drzwiach do salonu, trzymając kuchenną ścierkę w pokrytych bliznami dłoniach.

– Co będziemy oglądać?

Leo wskazuje na Tinę, która uruchamia film na telefonie. Obraz na ekranie telewizora zaczyna się poruszać. Adela, Bahar i Evelyn pochylają się do przodu na kanapie. Tina powoli siada na taborecie przed fotelem. W filmie słychać Veronicę, która mówi szeptem, że znajduje się w lesie. Inna osoba szepcze w odpowiedzi. Ruszają do przodu.

– Spójrzcie teraz – mówi Tina, która już raz widziała to ujęcie.

Poniżej niskiego zbocza pokrytego opadłymi liśćmi, za lasem wylania się polana. Na polanie coś stoi. Jakiś słup? Wysoki drewniany pal z wyrzeźbioną twarzą u podstawy. Wokół niego na ziemi siedzi około dziesięciorga ludzi w szarobrązowych ubraniach. Nie ludzi, znowu by poprawiła. Mężczyzn. Bydlaków. Wszyscy siedzą po turecku i kołyszają się na boki.

Adela wybucha śmiechem.

– Myślałam, że to bajka, ale rozumiem, że to prawda? – zwraca się do siedzącej w fotelu liderki. – To chyba obóz dla mężczyzn Sixtena Törnholma? Ten, który przemieszcza się po kraju?

Leo porusza twierdząco głową.

– Wygląda na to, że zabawią w Skanii trochę dłużej niż zwykle. Chyba uważają, że mężczyźni tu, na południu, potrzebują teraz wsparcia – uśmiecha się szyderczo. – Nastaly ciężkie czasy dla tych szumowin.

Bahar kwituje to prychnięciem.

– Więc oni tak na serio siedzą i co...? Oddają cześć wielkiemu drewnianemu słupowi w lesie?

– Drewnianemu fallusowi – koryguje Leo.

Bahar potrząsa głową.

– Idioci. Wiedzialiśmy już wcześniej, że to debile. Ale sądzę, że są niebezpieczni. Dopóki tylko kołyszają się w lesie wokół wielkiego drewnianego kutasa, to chyba nikogo nie krzywdzą, nie sędzicie?

Leonora kieruje pytające spojrzenie na Tinę, która bawi się telefonem.

– Poczekaj chwilę. To nie wszystko, co udało im się uwiecznić na filmie. Jest tego więcej.

Rozdział 9

Carl

Między 2012 a 2015 rokiem z kliniki psychiatrycznej w Säter uciekło czterdzieści pięć osób. Innymi słowy: niewiele. Nieco ponad dziesięć rocznie. Carl doskonale wie dlaczego. Dla osoby, która zdobyła zaufanie, a następnie straciła je z powodu ucieczki, droga do uzyskania przywilejów – takich, jak swobodne poruszanie się czy przepustka – jest bardzo długa. Wystarczająco długa, aby zniechęcić większość ludzi.

Znaczna część osób, które mimo to uciekły w ciągu ostatnich trzech lat, po prostu nie wróciła z przepustki o umówionej porze. Według raportów o ucieczkach – o które Carl mógł poprosić, ponieważ są to dokumenty publiczne – prawie wszyscy z nich wrócili jednak do Säter jeszcze tego samego dnia. Oczywiście niektóre informacje z raportów są poufne, ale Carl zdawał sobie sprawę, że przy odrobinie inteligencji i wiedzy wyniesionej z pobytu w zakładzie można się z nich wiele dowiedzieć. Na przykład, że kilku osobom, w sumie chyba z dziesięciu, w ciągu ostatnich trzech lat udało się przebywać na wolności przez kilka dni, a może nawet tydzień. Potem albo wracali dobrowolnie, albo byli sprowadzani przez policję po zgłoszeniu ich zaginięcia.

„To powinno wystarczyć” – myśli. Tydzień to odpowiednio dużo czasu, by zrobić, co trzeba. Ta trzymająca się kurczowo życia, jebana suka na wózku inwalidzkim i jej dwoje obrzydliwych bachorów muszą umrzeć. Jakim cudem te nieszczęsne gnojki mogły być jego, to prawdziwa zagadka. Chyba że Anne miała romans, tak jak zawsze podejrzewał.

Większość ucieczek z terenu kliniki ma miejsce podczas tak zwanego swobodnego poruszania się, kiedy to uznaje się, że pacjent zachowuje się na tyle dobrze, że można mu pozwolić na spacerowanie po terenie szpitala bez personelu deptającego po piętach. Jeśli będziesz zachowywać się nienagannie, pozwolą ci nawet popływać w jeziorze Ljustern.

Carl prycha. Fakt, że aż dziesięciu osobom rocznie udaje się zmobilizować do ucieczki, jest ewenementem, jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie leki, którymi faszczą ludzi w tym przeklętym miejscu. Carl dostaje stabilizator nastroju – lit. Czasami podają mu też środki uspokajające i nasenne, jeśli ich potrzebuje. Upierają się, by brał olanzapinę z powodu schizofrenii, którą rzekomo ma, o czym sam ich przekonał. Zwykle potrafi ich oszukać, że zażywa lekarstwo jak grzeszny chłopiec, a tymczasem chowa kapsułkę między palcami, by następnie oddać ją komuś innemu. Haloperidol to kolejny hit i mimo, że jest bardzo starym lekiem, nadal stosują go w Säter. Większość ludzi tutaj ma mózgi w połowie przeżarte silnymi substancjami chemicznymi. Ale nie on. Zręczne palce to tylko jeden z wielu talentów Carla Waltera, jeśli można tak powiedzieć.

Owszem, raz dostał ataku furii, gdy grał w karty z tłustym Oldérem. Skończyło się na tym, że Carl najpierw leżał związany pasem przez szesnaście godzin, potem musiał siedzieć w izolatce przez cztery dni, a następnie zmuszono go do zażycia otumaniającego koktajlu narkotykowego. Obecnie personel poprzestaje na podawaniu pacjentowi litu i olanzapiny. Natomiast Carl ucieka się do mniej brutalnych sposobów okazywania niezadowolenia, gdy na przykład ktoś oszukuje w grze w karty. W zasadzie nikt już teraz nie ma odwagi grać z nim nieczysto. Często w zupełności wystarczy codzienne oglądanie spaślaka Oldéra z opaską na oku, którego nie dało się uratować po tym, jak Carl złożył jedną z kart do gry i wbił mu ją prosto w gałkę oczną. Widok ten przypomina wszystkim, do czego Carl jest zdolny.

Carl wychodzi na spaceriak między budynkami, kwadrat o wymiarach mniej więcej trzydzieści na trzydzieści metrów, i zwraca twarz ku wiosennemu słońcu. Z jakiegoś powodu grzeje mniej intensywnie

w tym miejscu. Mniej prawdziwie. Jakby Säter było zakątkiem świata, który nie zasługuje na słońce. Kawałek dalej na placu starszy mężczyzna porusza się z pomocą chodzika. Po trawniku skacze sroka. Znajduje coś między nogami i atakuje to dziobem. Carl z zazdrością obserwuje czarno-białego ptaka, który po chwili zrywa się i odlatuje nad dachem budynku, ku wolności.

Nie ma reguły, która określa, że pacjenta można przenieść z oddziału zamkniętego na otwarty oddział psychiatrii sądowej. Carl jednak już dawno odrzucił tę możliwość. Jest też mało prawdopodobne, że sąd przyzna mu prawo do swobodnego poruszania się lub wyda przepustkę, nawet jeśli przekona ordynatora do złożenia wniosku w jego imieniu. Co mogłoby mu się udać za jakieś dziesięć lat. To, co zrobił, uważane jest po prostu za zbyt poważne przestępstwo. W 2014 roku sto sześć osób zakończyło leczenie psychiatryczne. Dwanaście z nich ponownie dopuściło się czynu przestępczego. Nikt nie zrobił tego tak brutalnie jak Carl Walter.

Carl siada na ławce obok wejścia i przygląda się innym pacjentom znajdującym się na dworze. Odużone cienie ludzi, którymi kiedyś byli. Większość z nich jest młodsza od niego. Bardzo niewielki odsetek, zaledwie osiem procent osób przyjętych do Säter, ma ponad pięćdziesiąt pięć lat. On sam w listopadzie skończy sześćdziesiąt. Według niego oznacza to, że ludzie dojrzewają z biegiem lat. W większości przypadków. Choć pewnie nie wszyscy.

„Jednak niewiele osób doświadczyło tego, co ja” – myśli.

Wsadza palce pod kołnierzyk czarnej koszulki i wyczuwa okrągłą bliznę na ramieniu. Miejsce, gdzie dwa lata temu postrzeliła go jego własna pieprzona córka. Napina mięśnie klatki piersiowej i bada palcami ich twardość. Stwierdza, że mimo ograniczonego dostępu do ćwiczeń udało mu się utrzymać dobrą formę. Zaraz sześćdziesiątka na karku, a wydaje się, jak by wczoraj skończył osiemnaście lat i wreszcie mógł kierować własnym losem. Co się stało z tymi wszystkimi latami, które upłynęły?

Mężczyzna pochmurnieje. Zbyt wiele z nich spędził za murami tego przeklętego miejsca. Jedno jest pewne: jeśli Carl Walter dopnie swego, nie będzie obchodził sześćdziesiątych urodzin w niewoli. Kiedy jeden z pielęgniarzy przechodzi obok niego, Carl podnosi rękę i do niego macha, a tamten radośnie odmachuje.

Pielęgniarze. Tak chcą być teraz nazywani. Nie strażnicy. Dla dobrego samopoczucia pacjentów.

Gdy pielęgniarz odchodzi, Carl spluwa na ziemię. Wolałby zrobić coś zupełnie innego niż wesoło machać do niego. Ale jeśli we wtorek ma pojechać do miasta do sklepu spożywczego Willys, to musi tak się zgrzywać. Wtorek. Jest pewien, że sobie poradzi. O ile tylko inni będą się zachowywać jak należy.

Rozdział 10

Leonora

Przy sprzyjających warunkach pocisk ze sztucera na łosie może przelecieć parę kilometrów. Dlatego oddanie strzału z kilkuset metrów nie stanowi żadnego problemu. W mieście wiatr praktycznie nie zmienia toru pocisku, a dodatkowo, by nie ryzykować, że kula, przechodząc przez ofiarę na wylot lub rozpadając się na kawałki, przypadkowo zrani którąś z kobiet, Leonora skierowała broń w dół i zadbała o porządną kulochwyty, w postaci jednej z ciemnobrązowych, porowatych, starych ceglanych ścian Dworca Centralnego w Malmö.

Tutaj, na ostatnim piętrze parkingu, ma czas, by zająć odpowiednią pozycję do strzału i perfekcyjnie ustawić celownik. Znajduje się tu też kilka dróg ucieczki na wypadek, gdyby ktoś wbrew wszelkim oczekiwaniom zorientował się, z której strony padł strzał. Nigdy się jednak tak nie dzieje. A w każdym razie nie do końca. Kiedy pada strzał, zwykle ludzie wpadają w panikę i nie są zdolni do przemyślanej oceny kątów strzału.

Leonora kładzie karabin na ramieniu i patrzy przez lunetę. Dotyka policzkiem delikatnej drewnianej kolby i przesywa ją przyjemny dreszcz. Bahar kuca za nią i analizuje każdy najmniejszy ruch Leonory, podczas gdy Veronica pilnuje wjazdu na parking. Leo namierza ofiarę za pomocą celownika i wkrótce ją znajduje. Czwartha ofiara. Przypadkowy facet. Nie jest nikim szczególnym, tyle że uosabia wszystko, czego nienawidzą. Biały mężczyzna w średnim wieku, siedzący w ogródku kawiarni Espresso House na tyłach Dworca Centralnego. Drzwi obrotowe znajdujące się po prawej stronie kawiarni są w ciągłym ruchu. Wcale nie widać czerwonej plamki lasera na jego białej koszuli z krótkimi rękawami, mimo że gazety uparcie przypisują jej ten epitet. Leo naprawdę nie może pojąć, dlaczego ktoś miałby być tak głupi, by ostrzec osobę, do której zamierza strzelać z celownika laserowego. Ale to oczywiste. Mężczyzna Laser był właśnie tym mężczyzną.

– Jeśli namierzanie celu trwa zbyt długo – Leo instruuje Bahar szeptem – lepiej ponownie opuścić karabin, odczekać chwilę i naprowadzić go na cel jeszcze raz. Gdy ręce się zmęczą i zaczną drżeć, strzał rzadko jest celny. Zobacz, jak opieram stopy o filar, a kolana służą mi za podparcie.

Bahar kiwa głową ze zrozumieniem i drapie się po głowie. Leo nigdy nie pojmie, dlaczego Bahar upiera się przy noszeniu tej peruki, ale... każdy we własnym tempie musi się wyzłocić od demonów przeszłości. Albo... prawie każdy. Przynajmniej dotyczy to kobiet. Mężczyzn powinno się od razu wybić. Leonora znowu podnosi broń. W trakcie rozmowy ponownie namierza przez lunetę mężczyznę przy stoliku do kawy. Widzi, jak podnosi bułeczkę cynamonową, bierze do ust duży kęs, a w kącikach ust ma pełno okruchów, które podczas żucia spadają z powrotem na stół.

– Znajdź cel – mówi Leo. – Upewnij się, że podkładka z tyłu kolby ściśle przylega do ramienia. Zrób wdech, a następnie powoli wypuść powietrze przez usta.

Tłumik na końcu karabinu sprawia, że jest on cięższy, ale siedzenie w skulonej pozycji zapewnia jej dobre podparcie.

– Kiedy kończysz wydech, pociągnij za spust, tak lekko i tak powoli, że ledwo zauważasz jakiś ruch. Jeśli nawet się nie zorientujesz, kiedy pocisk zostaje wystrzelony, to znaczy, że dobrze trafisz.

Leonora bierze wdech. Wypuszcza powietrze. Pociąga za spust.

Huk, który następuje później, jest stłumiony, ale nieszczególnie cichy. Koszula rozrywa się tuż nad sercem mężczyzny w kawiarnianym ogródku. Pojawia się duża dziura, która szybko staje się jaskrawo-czerwona. Pozornie bezpieczna codzienność ludzi zgromadzonych wokół również zostaje przerwana.

Przynajmniej dla połowy z nich. Leo prycha. Nigdy nie spotkała kobiety, która czułaby się w stu procentach bezpiecznie w miejscu publicznym, więc dlaczego mężczyźni mieliby mieć ten luksus?

Dlaczego tylko kobiety muszą traktować kluczyki samochodowe jako potencjalną broń i wykonywać udawane połączenia z telefonów, ponieważ akurat ktoś idzie za nimi w ciemnym przejściu? I oczywiście prosić się nawzajem o potwierdzenie esemesem, że bezpiecznie dotarły do domu, gdy rozchodzą się po wieczornym wyjściu? I wybierać miejsce parkingowe w zależności od tego, jak jest oświetlone? Mijając zaparkowaną na poboczu furgonetkę z włączonym silnikiem, trzęsąc się ze strachu z przyspieszonym tętnem? I zawsze, ale to zawsze mieć świadomość, że jakiś mężczyzna gdzieś w pobliżu może właśnie teraz chcieć je zgwałcić lub skrzywdzić?

„*No mas* – nigdy więcej” – jak powiedzieliby Hiszpanie.

Nadszedł czas, by teraz ci zwyrodnialcy zaczęli się bać.

Czwarta ofiara nie zdążyła nawet zareagować. Mężczyzna padł martwy, a głowa stuknęła w filiżankę kawy i cynamonową bułkę. Pocisk, odłamki kości i rozbryzgi krwi lądują na ciemnej ceglanej ścianie za nim. Chwilę później rozlegają się krzyki.

Leonora wstaje spokojnie, podnosi z betonowej podłogi zużytą łuskę i kiwa głową w stronę Bahar. Wskazuje w dół, w stronę kawiarni.

– Widzisz. Zaczyna się chaos. Ludzie rzucają się w każdą stronę. Telefonują. Wrzeszczą. Przewracają rzeczy. My wsiądziemy do samochodu i zdążymy odjechać daleko stąd, zanim gliny w ogóle tu przyjadą. I proszę, zbliżyliśmy się o krok do naszego celu.

Veronica, która poszła do białego volvo w chwili, gdy padł strzał, podjeżdża obok nich i uśmiecha się szeroko z fotela kierowcy.

– Wskakujcie – mówi przez opuszczoną szybę. – Jeśli się pospieszymy, zdążymy na happy hour na Małym Rynku. Musimy to ucić piwem.

Rozdział 11

Linn

Linn kolejny raz stoi przed oprawionym w szkło dyplomem ukończenia studiów na Uniwersytecie w Lund. Miał zmienić jej życie, przywrócić równowagę. Dać jej władzę, by mogła dopaść wszystkich drani. Lecz Moa i Elena mają rację. Musi to przyznać, choć bardzo nie chce. Wszystko, co dał jej ten papier, to praca, praca i jeszcze raz praca. Praca, która poza tym niezwykle rzadko prowadzi do wyroku skazującego. A nawet jeśli tak się dzieje, może to oznaczać trzymiesięczny nadzór kuratora lub w najlepszym razie rok więzienia. Tych dupków nigdy tak naprawdę nie wsadzają do pudła. Nie tak na dobre. Nie tak, jak na to zasługują.

A nawet jeśli wydadzą porządny wyrok, najwyraźniej nadal nic nie stoi na przeszkodzie, by podpisywali umowy warte miliony z największymi wydawnictwami w kraju i stali się narodowymi celebrytami z rzeszami wielbicieli.

Wzdryga się i wygładza swoje krótkie, rozjaśnione włosy, które jak zwykle sterczą na środku głowy. Z jednej strony, trudno jej się pogodzić z tym, jak szybko Elena i Moa przystały na nowy plan. Z drugiej strony doskonale je rozumie. Plan nie jest aż taki zły. Musi to przyznać.

Po podjęciu decyzji, że będą działać, Linn spodziewała się ataku paniki, ale jak dotąd nie nastąpił. Pomimo tego, do czego się teraz przygotowują. To, co czuje, to nie stres, ale coś innego. Coś... nie do końca negatywnego, i to ją dziwi. Czarne spodnie bojówki, czarny golf. Przesuwa dłońią wzdłuż rękawa.

Teraz zaczynają działać. Znowu na poważnie. Obiecały sobie, że nikogo nie zabiją. Zachowają ostrożność. Nie będą podejmować pochopnych decyzji. Postarają się unikać niepotrzebnego ryzyka. Ten skurwiel nie może się dowiedzieć, kim one są. Będzie tak przerażony, że pozwoli odejść żonie, zostawiając ją i dzieci w spokoju na zawsze.

Elena wchodzi do pokoju. Linn się odwraca i kiedy widzi ją w czarnej, obcistej sukience, mimowolnie bierze głęboki wdech. Rumieni się i czuje przyjemne mrowienie w brzuchu. Czy jej reakcja na tę kobietę zawsze będzie taka sama? Uśmiecha się, gdy Elena chowa długie włosy pod czarną chustkę i spina je w kucyk nisko na karku, jak pirat.

– Pomyślałam o jednej rzeczy – mówi Elena i odwzajemnia uśmiech, widząc pełne zachwyty spojrzenie Linn.

– Ja myślę o milionie rzeczy – stwierdza Linn. – Nie wszystkie z nich są nieprzyjemne.

Moa, będąc na schodach w drodze do nich na górę, słyszy, jak rozmawiają. Zatrzymuje się i mówi coś cichym i czułym głosem, prawdopodobnie do kota, który z pewnym zainteresowaniem śledził ich przygotowania. Wkrótce potem słychać stłumione „au, kurwa”. Moa wchodzi do gabinetu z palcem wskazującym w ustach.

– Pan Syk to zdecydowanie zbyt ładne imię dla tego zwierzaka – mówi. – Powinien się nazywać Szajs. Szajs Szatana von Saxtorp.

Pomimo napiętej atmosfery – a może właśnie z jej powodu – Elena i Linn wybuchają nerwowym śmiechem.

– Chyba nie próbowałaś go pogłaskać? – zgaduje Linn.

– To dla tego kota prawdziwe maltretowanie – dodaje Elena.

– A właśnie, co chciałaś powiedzieć przed chwilą? – pyta Linn.

Elena upewnia się, że uwaga skupia się na niej.

– No tak – zaczyna. – Myślałam o tym, jak najlepiej wywołać przerażenie u tego bydlaka. I już wykombinowałam.

– Strzelaj – mówi Moa, siadając ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

– Absolutnie żadnego strzelania – oświadcza Linn i obawiając się, że Moa zauważy broń przyklejoną od spodu biurka, staje między nimi.

– Ee, tak się tylko mówi – tłumaczy Moa.

Elena nieświadomie dotyka swojej lewej piersi, w miejscu, gdzie ma schowany szczyrzyk w staniku, i mówi dalej.

– Nie powiemy zbyt wiele – instruuje. – Ale to, co powiemy, musi być... przemyślane. Kogo w tej chwili boją się wszyscy mężczyźni w całej Skanii?

– Kobiety Laser – mówią zgodnie Moa i Linn.

– Właśnie. – Elena unosi palec w powietrzu. – Więc musimy sprawić, żeby ten dupek myślał, że jesteśmy... nią. Rozumiecie? Teraz dostanie od nas ostrzeżenie, że to on zostanie zastrzelony jako następny, jeśli nie zostawi żony w spokoju. Potem znikamy. Myślę, że będziemy tam najwyżej pięć minut. Szybko wejdziemy do środka. Wyjdziemy równie szybko. Zanim się pokapuje, co właśnie się stało. Musimy bardzo wyraźnie zaznaczyć, że to my strzelamy do mężczyzn, zgoda? Wiemy, że jest prawdziwym tchórzem, który wyżywa się na słabszych i mniejszych od siebie. Więc pewnie się przestraszy i przystanie na to bez wahania.

Moa wciąga powietrze przez zęby.

– Ale jeśli prawdziwa Kobieta Laser się dowie, że się za nią podajemy...

– Niby jak? – pyta Elena, a Moa przekrzywia głowę i wzrusza ramionami.

– No dobra, nie wiem.

Linn zastanawia się i bębni palcami o dolną wargę.

– Jeszcze jedna rzecz. On mieszka na osiedlu domków jednorodzinnych w Helsingborgu. Jak my się tam dostaniemy?

– Ty się tym nie przejmuj. Zajmę się tym – odpowiada Elena i mruga do niej.

– Ale jak? – pyta zaciekawiona Moa.

Elena wkłada rękę z tyłu spodni i wyciąga płaski, czarny pakunek. Rozwija go i oczom Linn ukazują się kilka dziwnych narzędzi.

– Przez ostatnie dwa lata nie tylko marnowałam czas, zapijając smutki, jak niektórzy sądzą – mówi wymownym tonem i rzuca krótkie spojrzenie Linn. – Również wiele się nauczyłam w tym czasie.

– Co to jest? – pyta Moa.

– Komplet wytrychów – odpowiada Elena.

– Skąd to masz?

– Z Darknetu.

– Darknet? – dopytuje Linn i zamiera. – U nas w domu? Czy rozumiesz, jak by to wyglądało, gdyby ktoś... no nie wiem... śledził nas w internecie? Co z moją pracą i w ogóle?

Elena przewraca oczami.

– Właśnie o to chodzi w przeglądarkach typu Tor i Darknet, że nie da się ich śledzić. Oczywiście nie powiązałam złożonych zamówień z naszym adresem domowym ani z moim adresem mailowym. Możesz być spokojna, kochanie.

– Zamówień? – pyta Linn. – Liczba mnoga?

Elena nie odpowiada na pytanie, ale wyciąga rękę do Moi i wstaje.

– Powinny się tam znajdować drzwi do ogrodu – mówi dalej Elena. – Wiesz, jak to jest z zabezpieczeniem tylnego wejścia w większości szwedzkich domów. Wystarczy, że dostanę się do tych drzwi, wtedy wprowadzę nas do środka. To dzielnica domków jednorodzinnych, co oznacza, że w pobliżu są sąsiedzi, więc musimy być cicho jak prawdziwi ninja.

Moa niemal podskakuje w miejscu.

– To brzmi super. W końcu, kurwa, znowu coś robimy. Wiecie... – kończy mówić z błyskiem w oku.
– Brakowało mi tego. Brakowało mi nas.

Gdy w odpowiedzi Elena z uśmiechem przytula Moę, Linn czuje w żołądku przyjemne uczucie. Ona też za tym tęskniła. Oczywiście jest wewnętrznie rozdarta. W tym wszystkim jest jednak jakiś pośpiech. Gotowość do działania. Być może świadomość posiadania władzy.

Linn waha się przez chwilę, gdy Elena i Moa idą przed nią, opuszczając pokój. Ogląda się przez ramię. Znowu się waha. Następnie wyjmuje przerobiony turecki pistolet z kryjówki pod biurkiem i wpycha go do kieszeni na nogawce swoich czarnych spodni, starając się wyciszyć wszystkie sygnały alarmowe, które rozbrzmiewają w jej ciele. Nic się nie stanie, jeśli będą mieć przy sobie jeden nabój. Tylko jeden. Na wszelki wypadek.

Potem Linn odwraca się plecami do swojego dyplomu ukończenia studiów prawniczych i wychodzi z pokoju z mocno bijącym sercem.

Rozdział 12

Linn

Gdy Elena parkuje tesłę dwie przecznice od domu tego zasańca Lindströma, z siedzenia pasażera dochodzi dźwięk komórki.

– No, coś ty... wzięłaś ze sobą telefon? – pyta siedząca z tyłu Moa pełnym wyrzutu tonem.

– Kurwa mać – mówi Linn. – Myślałam, że zostawiłam go w domu na korytarzu. To... o, cholera. To mama. Muszę odebrać. Potem zostawię komórkę w samochodzie, okej?

Elena lekko ściska ją za udo.

– Spokojnie. Nie panikuj. Zaczekamy z Moą na zewnątrz.

Linn patrzy na zegarek w komórce. Dochodzi pierwsza w nocy. Mama może i jest nocnym markiem, ale zwykle nie dzwoni w środku nocy.

„Chyba że coś się stało” – odzywa się złowieszczy głos z najbardziej mrocznych zakamarków mózgu. Linn przełyka ślinę. Przypomina sobie, że ojciec znów jest w Säter, tym razem na dobre, i wciska zieloną słuchawkę na ekranie telefonu.

– Linn – mówi natychmiast mama, nie czekając na powitanie. – Nic poważnego się nie stało, więc się nie martw.

„Że w ogóle musimy to sobie mówić” – myśli Linn i czuje, jak jeszcze bardziej wzbiera w niej stary, znajomy gniew.

– Okej – odpowiada, przeciągając palcem wskazującym po wypukłości w kieszeni na prawej nogawce. – To dobrze. O co w takim razie chodzi?

– No, więc... – mówi Anne z ociąganiem. – Anton jest tu ze mną, dlatego nie musisz się martwić. Mam... towarzystwo. Od wielu dni jednak myślę i myślę, i po prostu muszę z tobą porozmawiać. Musimy, no jak to powiedzieć... zasięgnąć twojej opinii.

– Mojej opinii? – Linn wygląda przez okno samochodu i widzi Elenę i Moę, ubrane na czarno niczym rasowi przestępcy, jak rozmawiają, trzymając głowy blisko siebie. Wygląda to bardzo dziwnie. Jak przerwa w kręceniu filmu czy coś w tym rodzaju.

– No nie wiem, jak to nazwać. Co noc mam koszmary, odkąd zobaczyłam...

Linn zaciska powieki i szczypie się w czubek nosa. Nie ma na to czasu, ale nie może też tak po prostu spławić mamy. Po ataku, który miał miejsce dwa lata temu i który cudem przeżyła, Anne jeszcze bardziej niż kiedykolwiek odizolowała się od świata. Linn nie ma najmniejszych wątpliwości, że matka cierpi na fobię społeczną. Przestała prowadzić kursy komputerowe w klubie osiedlowym w Häljarp, a zakupy zwykle robi dla niej Anton.

– Co zobaczyłaś? – pyta Linn, zmuszając się do zachowania przyjaznego tonu głosu.

– Artykuł, Linn. Nie widziałaś go? O... Carlu.

Żołądek natychmiast reaguje, skręcając się w ciasny supeł. Linn wie, że zaraz przedostanie się przez gardło. Kwaśny i kłujący ból, który wydaje się nie mieć końca.

– Tak, widziałam. Ale to niczego nie zmienia, mam, to...

– I jeszcze te wszystkie morderstwa w Malmö – przerywa Anne. – Przecież ty tam pracujesz. Wiem, że strzelano tylko do mężczyzn, ale... cóż, wygląda na to, że ten zabójca strzela na oślep. Czy nie mogłabyś pomyśleć o podjęciu pracy tutaj, w Landskronie?

– Serio, mam. Dzwonisz do mnie o pierwszej w nocy, żeby omówić moje wybory zawodowe?

Elena, stojąca przed samochodem, obraca zegarek na ręce i demonstracyjnie stuka w niego palcem wskazującym. Linn podnosi rękę, by pokazać, że już prawie skończyła.

– Nie, właściwie nie po to dzwonię. – Głos Anne nagle słabnie, a Linn natychmiast żałuje, że użyła ostrzejszego tonu wobec mamy. – Chyba przede wszystkim chciałam porozmawiać o tym, co przeczytałam w „Aftonbladet”. O książce Carla. Mówisz, że to niczego nie zmienia, ale to nieprawda. To... budzi dawne, bolesne wspomnienia. Chodzi nie tylko o nas, ale o wszystkich. Poza tym od momentu pojawienia się tej informacji w gazecie jedna dziennikarka uparcie wydzwaniania i zadaje pytania. Nieważne, ile razy powiem jej „nie”, ona po prostu nie przestaje. Już nie mam siły, Linn. Muszę o wszystkim zapomnieć, ale to niemożliwe.

Linn szuka w pamięci i przypomina sobie ten jej żartobliwy tekst. „Schinckel Helena zawsze znajdzie gorący temat”.

– Czy ona nazywa się Schinckel, ta, która tak ciągle wydzwaniania i zwraca ci głowę?

– Tak, to ona – odpowiada Anne. – Helena.

– Też do mnie dzwoniła kilka razy. Jutro się z nią skontaktuję i powiem jej, żeby się opanowała, dobrze? Niech wie, że musi przystopować.

– Dziękuję ci, będę naprawdę wdzięczna. Ale...

– Ale? – mówi Linn zniecierpliwiona i kładzie rękę na klamce.

– Może mogłabyś wpaść do mnie? Tylko na kawę. Może jutro? W końcu jest niedziela. Bardzo chciałabym się z tobą spotkać. Tak po prostu.

Linn czuje, że serce jej mięknie. Jednocześnie myśli o tych wszystkich zadaniach, które Ulrika powierzyła jej na weekend. Pękająca w szwach teczka z dokumentami, papierkowa robota, która nigdy się nie kończy.

– Oczywiście, mam – mówi mimo to. – Wpadnę po południu, koło trzeciej.

Linn się rozłącza i zostawia telefon w schowku. Szybko wysiada z samochodu, zanim zdąży zmienić zdanie. Moa z Eleną do niej podchodzą. Elena wskazuje palcem.

– W tamtą stronę. Dwie przecznice stąd. Zróbmy to szybko, żebyśmy mogli wrócić do domu i położyć się spać jak normalni ludzie.

Linn przygląda się ich cieniom w blasku pomarańczowego światła latarni. Trzy smukłe, czarne postacie, które bezszelestnie skradają się po ścieżce. Ktoś upuścił jasnoniebieski smoczek na trawie obok. Linn uważa, by nie nadepnąć czarnego ślimaka bez skorupki, który pełźnie po asfalcie. Czuje ciężar broni na prawej nodze.

„Normalni ludzie. Jasne. Tak to nazwijmy”.

Rozdział 13

Linn

Linn ogląda się przez ramię. Od sąsiedniego domu, który wygląda dokładnie tak samo jak ten i wszystkie inne na tej ulicy, dzieli ją najwyżej dziesięć metrów. Szara cegła wapienno-piaskowa, czarne dachy. Domy z lat osiemdziesiątych. Z trzydzieści takich samych w jednym rzędzie, ustawionych długimi bokami do siebie. W oknie na piętrze sąsiedniego domu jest zaciągnięta roleta. Dolną kondygnację przesłania wysoki, ciemnobrązowy drewniany płot, który ma stwarzać złudzenie prywatności. Linn jednak wie, że w takich miejscach jak to akustyka jest słaba. Kiedy niemal potyka się o zdezelowane metalowe grabie oparte o zielony kosz na śmieci, stwierdza, że musi się skupić na wykonywanym zadaniu. Byle do przodu. Jedna rzecz na raz.

– Drzwi ogrodowe prowadzą prosto do sypialni – szepcze Elena, gdy podchodzą bliżej. Kiwa głową, wskazując przez szybę okrytą kołdrą wybrzuszenie.

On tam leży. Ten drań, który wbił żonie nóż w płuco w trakcie przekazywania jej dzieci. Dzieci, które w wyniku długotrwałych batalii prawnych zmuszone były do kontaktu z nim nawet w czasie jego pobytu w więzieniu, dokąd trafił skazany za znęcanie się nad ich matką. Matce przyznano wyłączną opiekę nad dziećmi nieco ponad rok temu, ale prawo do kontaktów z dzieckiem jest surowe. „Dla dobra dzieci”, tak to się nazywa. Linn jednak jest świadoma, że prawie zawsze jest na odwrót. Ojcowie wykorzystują prawo do spędzania czasu z dziećmi jako kolejny sposób kontrolowania matek. Czasami podstępem zmuszają dzieci do ujawnienia miejsca zamieszkania matki, jeśli jej dane osobowe są chronione. Zbyt spotyka się z tym w swojej pracy.

Linn wie, że siedemdziesiąt procent śmiertelnych przypadków przemocy wobec kobiet w Szwecji popełniają mężczyźni, z którymi ofiary były związane w momencie śmierci lub w przeszłości. Kobiety, którym udaje się wyjść ze związku, zanim mężczyzna je zabije, najczęściej przez resztę życia cierpią na zespół stresu pourazowego, depresję, zaburzenia lękowe, uzależnienia lub mają skłonności do samookaleczania się. Wszystko to wydaje się dla nich jeszcze trudniejsze w momencie, gdy mężczyzna uświadamia sobie, że dzieci są właśnie tym ogniwem, którego potrzebuje, by nadal być częścią życia kobiety. By nadal mieć nad nią kontrolę.

Linn przechodziła przez to już tyle razy. Zarówno jako ofiara, jak i od niedawna – w pracy. To syzofowa praca. Ciężko to pojąć, że dopiero w 1982 roku przemoc domowa stała się w Szwecji przestępstwem ściganym z oskarżenia publicznego. Przedtem postrzegano ją jako problem, z którym każdy musi poradzić sobie sam, a nie coś, w co powinno ingerować państwo. Nie było to problem społeczny. „To kompletnie chore” – myśli Linn. 1982 rok. Zaledwie dwadzieścia cztery lata przed jej narodzinami. Rok, w którym wszystko kręciło się wokół Ingemara Stenmarka, Ronalda Reagana i przeboju kinowego Tootsie. Piosenka Eye of the Tiger znalazła się na szczycie listy przebojów. To wszystko niezbyt przypomina starożytność. A jednak według szwedzkiego prawa w tamtym czasie przemoc w czterech ścianach nikogo nie powinna była obchodzić. Jeśli mężczyzna bił żonę, była to ich prywatna sprawa. Dziś jest podobnie – pobicie żony na śmierć przez mężczyznę najwyraźniej traktowane jest jak „tragedia rodzinna”, a nie jak brutalne morderstwo.

Gniew, który Linn tak dobrze zna, powraca, grasując w jej ciele jak oszalały potwór o ostrych zębach. Gniew, który tak dawno temu skłonił ją do napisania debiutanckiej książki. Ten sam, który sprawił, że pisała te wszystkie felietony oraz artykuły i brała udział w każdym sporze w internecie. Ale od tamtej pory ukrywa to uczucie pod ciężką pokrywą. Bo nie da się żyć z ciągłym gniewem buzującym na po-

wierzchni. Owszem, próbowała wykorzystać go w sposób produktywny, o czym świadczy ten oszklony papier na ścianie w domu, ale...

– No i proszę – odzywa się szeptem Elena, przerywając rozmyślenia Linn.

– Otwarte? – szepcze Moa tuż za nimi.

– Cii – mówi Elena.

Delikatnie pociąga za srebrną klamkę. Słychać kliknięcie, a potem da się otworzyć. Granatowa zasłona powiewa przez uchylone na kilka centymetrów drzwi poruszana podmuchem wiatru. Elena odwraca głowę w stronę Linn i Moi, przykładając palec wskazujący do ust. Księżyc dziś nie świeci mocno i choć stoją blisko siebie, nie widzą się wyraźnie. Z sąsiedztwa dobiega dźwięk rytmicznej, dudniącej muzyki, w tle słabo słychać pobliską autostradę, ale poza tym w okolicy, prawdopodobnie zamieszkaną głównie przez rodziny z dziećmi, jest zupełnie spokojnie. Znowu zaglądną przez szybę.

Tuż za drzwiami znajduje się podwójne łóżko, w którym leży ten brutal Lindström. Wygląda na potężnego gościa. Kołdra miarowo unosi się i opada, a przy każdym wdechu mężczyzny rozlega się stłumione chrapanie.

Elena bardzo powoli otwiera drzwi, na tyle, by mogły się przez nie prześlizgnąć. Mężczyzna na łóżku jak dotąd nie zareagował. Nie ma pewności, że tego nie zrobi.

Nagle Elena zaczyna machać rękami przed twarzą jak opętana, raz po raz przesuwając palcami po policzku. Moa przykładła dłoń do ust i kuli się, by powstrzymać śmiech. Gdy serce Linn nieomal stanęło, uzmysławia sobie, co się stało. Elena weszła twarzą w pajęczynę. Linn, mimo powagi sytuacji, uśmiecha się i potrząsa głową. Potem dostrzega małego, jasnobrązowego pająka, który wspina się po głowie Eleny.

– Czekaj, stój spokojnie – bezgłośnie mówi do Eleny i daje znaki na migi.

Elena natychmiast zastyga w bezruchu i zaciska powieki. Zapewne wstrzymuje oddech. Słychać kolejne stłumione chrapanie. Linn, zdejmując małe ośmionogie stworzonko z pirackiej chusty na głowie Eleny, modli się, by Lindström się nie obudził z powodu zmiany temperatury w sypialni. Przynajmniej dopóki nie wejdą do środka i nie zamkną za sobą drzwi.

– No i już – mówi Linn, poruszając ustami bez wydawania dźwięku, i wyrzuca pająka. Klepie Elenę lekko w ramię, gdy zdaje sobie sprawę, że ta wciąż stoi z zamkniętymi oczami. Elena najpierw otwiera jedno oko i wykonuje pytający gest. Linn bezgłośnie wyjaśnia, że wyrzuciła bestię, ociera dłonią o dłoń i kiwa głową tak uspokajająco, jak tylko potrafi. Elena się wzdryga, otrząsa z obrzydzeniem, a potem otwiera drugie oko. W jej spojrzeniu kryją się zarówno skrucha, jak i wdzięczność. Dziwne, ale to bezbronne małe stworzenie chyba bardziej niż samo włamanie ponosiło winę za przyspieszone tętno Eleny.

Moa, która przez cały czas stała przy drzwiach i obserwowała sypialnię, macha do nich.

„Chodźcie tu” – daje znać ręką. „No już!”

W zaciemnionej sypialni Lindströma trzy kobiety po cichu ustawiają się u stóp łóżka. Lata osiemdziesiąte wciąż są tu żywe. Obok łóżka wisi plakat z czarną panterą. Pościel chyba jest czarna. Na ścianie nad wezgłowieм wisi lustro z nadrukowanym motywem Jacka Daniels’a i kolejny plakat, na którym dziewczyna w stylu pin-up z trwałą ondulacją i napuszoną grzywką siedzi okrakiem na motocyklu w samych stringach, ramonesce i butach na wysokim obcasie.

„Najwyraźniej niektórzy utknęli w 1987 roku” – myśli Linn i najciszej, jak tylko potrafi, wyjmuje lartkę z kieszeni spodni na lewej nogawce.

Już samo obudzenie się w środku nocy, gdy przy twoim łóżku stoją trzy ubrane na czarno, groźne postacie, powinno przerazić każdego. Mają nadzieję, że ta przewaga wystarczy, by go sparaliżować. To i atrapa pistoletu, który ma przy sobie Moa. One wiedzą, że nie jest prawdziwy, ale Lindström o tym nie będzie wiedział. Moa już trzyma w ręku treningową broń. Założyła też czarną kominiarkę. Elena miała takie trzy. Niby przypadkiem.

– Darknet – wyjaśniła ponownie, gdy Linn ją o nie zapytała.

Linn zastanawia się, co jeszcze Elena pozamawiała w ciągu ostatnich dwóch lat, a co ważniejsze – dlaczego. „Wydaje ci się, że dobrze kogoś znasz” – myśli i naciąga na twarz kominiarkę, po czym pod-

nosi latarkę, którą zamierza świecić Lindströmowi w twarz.

Zakładają, że pójdzie szybko. Chcą obudzić Lindströma, przerazić go na śmierć, najpierw tym, że w ogóle tu są. Pokażą mu atrapę pistoletu, a następnie zakomunikują, że jeśli natychmiast nie zostawi swojej żony i dzieci w spokoju, wrócą i go zabiją. Że jest wielu ludzi, którzy mają go na oku. Że teraz nadeszły nowe czasy, czasy Kobiety Laser. Linn gorąco pragnie, żeby tak się stało.

Coś zaczyna szarpać zakończenia nerwowe w jej ciele. Adrenalina. Noradrenalina. Pewnie też dopamina i serotonina. Może nawet endorfiny. Bo to, co czuje, to odurzenie. Musi to przyznać. Czuje je na skórze jak falę przyjemności. Stres oczywiście też. Pewien niepokój – a jakże. Okej, może nawet odrobinę strachu. Również podekscytowanie. Haj. Prawie ten sam stan, który osiąga, podglądając innych przez okna. Poczucie władzy i determinacji. O wiele więcej niż może dać jej praca. Wszystko podsycane gniewem wobec tej nędznej góry tłuszczu śpiącej niecały metr od nich. I wobec wszystkich takich jak on, których żony i dzieci stały się ofiarami i którzy najprawdopodobniej nigdy nie przestaną ich gnębić, o ile nie wydarzy się coś, co nimi wstrząśnie.

„A więc dobrze, proszę bardzo: coś, co nim wstrząśnie” – myśli Linn.

Patrzy w prawo na Moę, która powoli podnosi atrapę pistoletu. Następnie w lewo, na Elenę, która w kominiarce na głowie i z kawałkiem taśmy naprawczej w rękach podchodzi bliżej Lindströma chrapiącego na łóżku. Linn przełyka ślinę. Czuje, jak kropla potu spływa jej po plecach. Teraz, cholera, nie może stchórzyć. Rozdyma nozdrza i kiwa głową w stronę Eleny.

– Teraz – szepcze Elena.

W tym samym momencie, gdy Linn włącza latarkę i świeci nią prosto w twarz Lindströmowi, Elena zakleja mu usta kawałkiem taśmy. Jak można się było spodziewać, mężczyzna natychmiast się budzi. Próbuje usiąść, ale wtedy Moa wdrapuje się na łóżko, siada obok niego i mocno przyciska atrapę pistoletu do jego skroni. To sprawia, że w jednej chwili mężczyzna zastyga w bezruchu.

– Teraz, kurwa, słuchaj uważnie – syczy Elena niskim, zniekształconym głosem. – Moja przyjaciółka jest gotowa odstrzelić ci łeb, jeśli tylko poruszysz się choćby o milimetr, czy to jasne?

Nic się nie dzieje. Lindström błądzi dziko wzrokiem, oślepiony przez latarkę, ale mimo to próbuje rozpoznać, kim są osoby znajdujące się u niego w pokoju i ile ich jest.

– Powiedziałam „czy to jasne” – syczy znowu Elena, uderzając Lindströma w policzek grzbietem dłoni.

Lindström odchrząkuje i mówi niewyraźnie coś przez taśmę. Pewnie: „Okej, okej”. Potwierdza skinięciem głowy. Po chwili znowu kiwa głową. Wyciąga obie ręce przed siebie, ale kiedy próbuje usiąść, Elena stanowczym ruchem przyciska go z powrotem do łóżka.

– Leż – mówi.

Oddech Lindströma jest szybki i płytki. Opada z powrotem na poduszkę i bierze głęboki oddech przez nos. I jeszcze jeden. Znowu coś mamrocze przez taśmę, coś, co brzmi jak „dobrze, dobrze”. Trochę się wierci, ale pozostaje w pozycji leżącej.

– A więc tak – kontynuuje Elena. – Ja wiem, że ty wiesz, że wielu mężczyzn ostatnio zostało zastrzelonych, zgadza się? Jeśli tak, to przytaknij.

Lindström szeroko otwiera oczy, jednocześnie starając się unikać ostrego blasku latarki, ale Linn cały czas celuje nią w jego twarz. Mężczyzna nerwowo postępuje. Według Linn to piękny dźwięk.

– No cóż, to dlatego, że trzeba skończyć z mężczyznami, którzy myślą, że cały świat należy do nich, rozumiesz? – Elena nagle znowu go uderza. Linn musi przyznać, że agresja Eleny wzbudza w niej zarówno zaskoczenie, jak i podniecenie.

Lindström parska, ale porusza twierdząco głową.

– Strzelamy do mężczyzn, którzy są gnojami. Tak więc cała sprawa jest bardzo prosta – mówi Elena tym samym ostrym tonem. – Ty przestaniesz być gnojem, a wtedy my nie będziemy musiały wracać, żeby cię zastrzelić. Umowa stoi?

– Tak – odpowiada z rezygnacją Lindström przez taśmę, która z jednej strony lekko odkleiła się od brody, odsłaniając prawy kącik ust.

– I nie mów tego tylko po to, żeby się nas pozbyć, a potem wrócić do starych nawyków, rozumiesz? Bo dowiemy się o tym, jeśli nie przestaniesz być gnojem, jasne? A teraz zostawisz... – Elena przerywa i kieruje wzrok na Linn, która dodaje:

– Sarę i dzieci.

– Sarę i dzieci w spokoju – dokańcza Elena. – Od tej pory będziesz trzymał się od nich z daleka, czy to, kurwa, jasne? Pod żadnym pozorem nie wolno ci się z nimi kontaktować. Od teraz są dla ciebie martwi, okej? W przeciwnym razie to ty będziesz martwy. A jeśli coś zrobisz, od razu się o tym dowiemy. Tego jednego możesz być cholernie pewien.

– Ja... rozumiem – mówi Lindström. Taśma jest teraz przyklejona już tylko do połowy. Cały czas próbuje spojrzeć na Moę. Ale za każdym razem, gdy odwraca głowę w jej stronę, ona przyciska mu łufę do głowy, co sprawia, że mężczyzna się wzdyga i z powrotem patrzy przed siebie. Spojrzenie Moi jest mroczne. Nienawistne. Podekscytowane.

– Powiedz to! – podnosi głos Elena.

– J-ja zostawię Sarę i dzieci w spokoju. Od dziś są dla mnie martwi. Obiecuję – Lindström znowu wierci się na łóżku.

Elena wygląda na usatysfakcjonowaną, obchodzi łóżko dookoła i kieruje się w stronę drzwi ogrodowych. Będzie wychodzić jako pierwsza, za nią Linn, a na końcu Moa, która z bronią w ręku stanowi w oczach Lindströma największe zagrożenie.

– Grzeczny chłopiec – mówi cicho Elena, kładąc dłoń na klamce. – I jeśli naprawdę dotrzymasz obietnicy, nie będziemy musiały wracać i rozwalać ci łąba. Coś, co w przeciwnym razie możemy zrobić gdziekolwiek i kiedykolwiek. Zaufaj mi. Będziemy cię mieć na oku. Wiemy wszystko o tym, kim jesteś i czym się zajmujesz.

Gdy Elena popycha drzwi, żeby wyjść, Moa na moment traci czujność i nie patrzy na Lindströma, a potem wszystko dzieje się bardzo szybko.

Lindström błyskawicznie uderza w atrapę broni i robi to z taką siłą, że pistolet wylatuje z ręki Moi. Moa krzyczy, zaskoczona tym, co stało. Następnie mężczyzna przewraca się i szarpie za kołdrę, co sprawia, że Moa spada po drugiej stronie łóżka. Lindström dwoma niespodziewanie zwinnymi ruchami otwiera szufladę w szafce nocnej, a gdy Linn widzi błysk metalu i to, co zamierza stamtąd wyjąć, działa instynktownie. Jakby coś z zewnątrz przejęło kontrolę nad jej ciałem.

– Gdzie on się podział, do cholery? – słyszy, jak Moa histerycznie krzyczy na podłodze obok łóżka. Jakby ta atrapa pistoletu miała naprawdę jakieś znaczenie i mogła je teraz uratować. Nie może i Linn jest o tym przekonana.

Latarka spada na łóżko, gdy prawą ręką sięga po pistolet w kieszeni nogawki. Promień światła pada z materaca ukośnie w górę, na plakat z czarną panterą.

Zostało jej najwyżej kilka sekund, zanim Lindström zostanie zwycięzcą tego wieczoru. Najprawdopodobniej ma w swoim pistolecie więcej nabojów niż jeden.

Elena zatrzymuje się w pół kroku i się odwraca. Moa znowu krzyczy z przerażenia, bezsilna wobec ataku Lindströma. Elena z traskiem otwiera drzwi na oścież i chwytą Moę za ramię.

– Biegnij, Moa. Teraz! – krzyczy.

Ponieważ Lindström uważa, że największe zagrożenie znajduje się na podłodze przy łóżku, gdzie leży Moa, nie patrzy teraz na Linn, tylko na Moę. W chwili, gdy ma podnieść rękę z błyszczącą srebrną bronią w stronę Moi, Linn robi trzy duże kroki w jego kierunku. Nie ma czasu na zastanowienie. Nie można sobie pozwolić na spudłowanie. Ma tylko jedną szansę.

Gdy Lindström zaczyna wyrzucać z siebie przekleństwa, a Linn słyszy kliknięcie broni, przykładając swój odbezpieczony turecki pistolet do jego skroni, szybkim ruchem kciuka odciaga kurek i naciska spust.

Rozdział 14

Linn

Strzał był zaskakująco głośny jak na tak niewielką broń. Linn testowała pistolet w lesie, ale wtedy nie sądziła, że huk jest tak donośny. Może ta różnica w odbiorze ma podłoże psychologiczne, bo stało się to w nocy, gdy świat wokół śpi. Taki kontrast. Linn wyobraża sobie, że ten strzał obudził pewnie cały cholerny Helsingborg.

Kątem oka zauważa, jak Elena szybko zamyka drzwi ogrodowe i zaciąga granatowe zasłony, tymczasem Moa wycofuje się na pupie, próbując wcisnąć się w kąt z dala od ciała Lindströma. Jej oddech jest ciężki, a oczy zaszkłone. Mocno trzyma przed sobą atrapę pistoletu, jakby wierzyła, że może ją ona ochronić przed tym wszystkim. Linn dzwoni w uszach od huk, zatacza się na nogach.

Lindström natomiast upadł na lewy bok. Gdy Linn wystrzeliła, klęczał na łóżku, zwrócony do niej prawym bokiem. Od tej strony dziura w głowie nie wygląda na zbyt dużą, ale ponieważ Linn trzymała lufę przyciśniętą bezpośrednio do skroni, skóra wokół krawędzi jest zwęglona. Czuć mdły swąd spalonego ciała i osmalonych włosów, mieszający się z ostrym zapachem prochu.

Linn powstrzymuje nudności. Przyciska palec wskazujący przez kaptur do ucha i puszcza. Powtarza to parę razy.

„Kto, kurwa, trzyma naładowaną broń w szafce nocnej?”

Nie ma wątpliwości, że dziura po kuli z drugiej strony głowy Lindströma jest znacznie większa, mimo że jej nie widzi. Nie musi. Krew, fragmenty czaszki i mózgu rozbryzgane na lustrze z motywem Jacka Danielsa zdradzają wszystko.

Elena gwałtownie nabiera powietrza, zdejmuje kominiarkę i mówi:

– Co ty, kurwa...? Skąd ty to wzięłaś?

Gdy duży kawałek szaroróżowego mózgu powoli ześlizguje się po wielkiej literze D w logo whisky na lustrze, Elena podchodzi do Linn i odbiera jej pistolet.

– Linn? – mówi łagodnym tonem.

– Ja... Chciałam dmuchać na zimne – wydobywa z siebie Linn po ocknięciu się wreszcie z umyślnego paraliżu. – Na wypadek, gdyby coś się stało.

Kręci jej się w głowie, a młodości się nasilają. Dusi się przez czarną dzianinę kominiarki. Linn musi usiąść, kiedy szaroróżowy kawałek mózgu odrywa się od dolnej krawędzi lustra i spada na prawy policzek Lindströma leżącego w łóżku, z dźwiękiem, który w jej wyobrażeniu jest jak mokre młażnięcie.

„Ma swój mózg na twarzy”.

Linn opada na ławkę stojącą tuż za nią. Coś się przewraca. Toczy się przez chwilę i spada na podłogę.

– Sąsiedzi – piszczy Moa, która właśnie podniosła się na nogi, unikając patrzenia na zwłoki. – Zadzwoń na policję. Musimy stąd wiać.

Linn kiwa potakująco głową, ale nadal nie rusza się z miejsca. „Absolutnie żadnego strzelania” – słyszy w myślach własne słowa.

„Jesteśmy skończonymi kretynkami – myśli. – Czy naprawdę myślałyśmy, że wszystko pójdzie tak łatwo, jak zaplanowałyśmy? Kiedy tak kiedykolwiek się dzieje?”

Pociąga ze złością za dolną część kominiarki, aby zaczerpnąć powietrza, i zauważa, że blondynka na motocyklu wygląda teraz tak, jakby miała piegi na całym ciele.

Krew Lindströma, która rozprysnęła się na plakacie z dziewczyną pin-up. Lindström nie żyje. Bo Linn go zastrzeliła. Nie Moa. Nie Elena. Ona. Linn. Jak to, do cholery, możliwe, że znowu znalazły się w takiej sytuacji?

„Miałyśmy go tylko nastraszyć”.

– Linn!

Wzdryga się, gdy Elena wypowiada jej imię, a jej ton świadczy o tym, że to nie pierwszy raz.

– Co?

– Musimy się stąd wydost... .

Cała trójka zamiera, gdy z tyłu domu rozlega się głos.

– Erik? Hej... Eriku, wszystko w porządku? – To głos mężczyzny. Prawdopodobnie sąsiada, który oczywiście usłyszał strzał i przyszedł się upewnić, czy nic się nie stało. Który idzie prosto do drzwi ogrodowych, gdzie, jak wie, Lindström ma swoją sypialnię i...

„Sąsiad może mieć przy sobie jakąś broń” – myśli Linn.

Niezależnie od tego, nie może ich zobaczyć.

– Co, kurwa, robimy? – szepcze Moa. – Załóż to z powrotem – mówi do Eleny, machając trzymaną w rękę kominiarką.

Elena robi to, co każe Moa, obraca kaptur w odpowiednią stronę, upewnia się, że zasłony są szczelnie zaciągnięte i wskazuje na wyjście z sypialni. Łapie Linn za rękę i podciąga z ławki, do której przywarła.

– Wygląda na to, że musimy wymknąć się frontowymi drzwiami, i to cholernie szybko – wydusza z siebie po cichu. – Weź latarkę, Linn. Mamy może minutę, żeby się stąd wydostać. I to maks.

Linn wstaje, wdzięczna, że Elena przejęła inicjatywę. Moa również się podniosła i już zmierza ku wyjściu. Linn słyszy metaliczny odgłos i stłumione przekleństwo dochodzące z zewnątrz, z tyłu domu.

„Grabie. O mało też o nie się nie potknęłam. Zanim to wszystko się stało. Gdy byłam jeszcze człowiekiem, który nie strzelił innej osobie w głowę. Gdybym się o nie potknęła, Lindström pewnie by się obudził, a wtedy może nie...”

Ostry ból twarzy przerywa jej rozmyślenia. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że Elena musiała ją lekko uderzyć. Mocno, bo zabolalo nawet przez kominiarkę.

– Przepraszam – szepcze Elena. – Ale teraz nie ma czasu na załamywanie się. Później przyjdzie na to pora. Kiedy będziemy daleko stąd.

Na zewnątrz słychać kolejne przekleństwo, a potem rozlega się tak głośnie pukanie w okno, że wszystkie podskakują i energicznie wybiegają z sypialni. Linn zachowuje przytomność umysłu i zamyka za sobą drzwi, co w razie potrzeby pozwoli im zyskać kilka dodatkowych, niezauważalnych sekund.

– Tam – mówi szeptem Elena, podczas gdy z tyłu domu dochodzi krzyk sąsiada, który po raz kolejny woła imię Lindströma. Elena wskazuje drzwi wejściowe znajdujące się kilka metrów dalej. – Damy radę. Jak wyjdziemy, musimy biec, ile sił w nogach, trzymając się jak najdłużej w cieniu, a potem... – Elena gwałtownie staje w miejscu, sprawiając, że Moa wbiega prosto na jej plecy.

– O nie, nie, nie. Ja pierdolę – w głosie Eleny daje się wyczuć nowy ton głębokiego niepokoju.

– Co ty robisz, do cholery, musimy się spieszyć – syczy nerwowo Moa.

Linn również się zatrzymuje i podąża za wzrokiem Eleny. I wtedy rozumie. Zakrywa usta ręką.

„Kurwa, kurwa, kurwa”.

Mają przejebane. Na zawsze. To nie podlega dyskusji. Linn ma trudności z oddychaniem. Przygląda się ubraniu przed sobą, a ucisk w klatce piersiowej powraca. Jakby ten ciuch promieniował złem. W korytarzu na miękkim materiałowym wieszaku wisi czarna skórzana kamizelka. Z dużym, czarno-biało-czerwonym znakiem na plecach skierowanym w ich stronę. To jeszcze nic w porównaniu z tym, co teraz uświadamia sobie Linn. „Kto, kurwa, trzyma naładowaną broń w szafce nocnej?” – zastanawiała się przed chwilą. A teraz odpowiedź krzyczy jej w twarz.

„Ja pierdolę, strzeliłam w głowę koleśowi z Hells Angels. Już po nas”.

– Halo, trzeba stąd spadać – mówi Moa głosem na granicy hysterii.

– Muszę... wrócić do sypialni. – Linn słyszy siebie, jakby mówiła przez wyjący huragan emocjonalnego chaosu.

Elena odwraca się na pięcie, widzi, że Linn również zauważyła kamizelkę, i szepcze: – Wracać? Czyś ty oszalała?

Myśli obijają się wewnątrz jej czaszki niczym naćpane wiewiórki, ale Linn wie, że to, co powiedziała, ma sens. To ważne, żeby tam wrócić. Zastanawia się przez chwilę i przypomina sobie, o co jej chodziło.

– Łuska – mówi zadziwiająco niskim głosem. – Muszę zabrać pustą łuskę. Wiem dokładnie, gdzie wylądowała. To mi zajmie dziesięć sekund.

Dobrze wie, co Elena myśli. Że to dziesięć sekund, których nie mają, ale mimo to kiwa głową. Moa popiskuje.

– Tylko się pospiesz – jęczy.

Elena popycha Linn. – Tak. Teraz albo nigdy.

Linn odwraca się w stronę zamkniętych drzwi sypialni. Za nimi znajdują się blade zwłoki jednoprotowca Lindströma, a na ścianie rozmazany jest jego mózg. Jeśli sąsiad chwyci za klamkę drzwi do ogrodu, to się dowie, że są otwarte, wejdzie do środka i wszystko zobaczy. Zobaczy Linn. Naprawdę teraz albo nigdy.

Linn rusza w stronę sypialni, a gdy kładzie rękę na klamce, dociera do niej pomruk męskiego głosu.

Czy już zdążył wejść do sypialni?

Nie, wtedy raczej by krzyczał.

Może sąsiad też jest przestępcą? Z bronią w rękę? Linn, czując, że to może być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu, opiera się o drzwi i je popycha, po czym szybko się kuli.

Ktoś stoi w ciemności na zewnątrz i próbuje oświetlić wnętrze przez okno. Najprawdopodobniej za pomocą komórki. „Na zewnątrz” – Linn musi to sobie powtarzać. Nie wewnątrz w pokoju. Jeszcze nie.

Linn kręci się w głowie od przyływu adrenaliny, ale natychmiast zauważa małą metalową łuskę w złotym kolorze na dywanie przy łóżku. Bez chwili namysłu, szybko pochyla się, by ją podnieść. W momencie, gdy Linn zamierza wyprostować plecy, osoba na zewnątrz łapie za klamkę. Potem drzwi się otwierają, a przez pokój przechodzi zimny podmuch nocnego wiatru. Linn nie ma czasu na zastanawianie się. RzUCA się do przodu, wzdłuż krawędzi łóżka, gdy sąsiad wchodzi do środka. Linn łąduje jedną ręką w czymś zimnym i mokrym. Czuje metaliczny zapach i od razu wie, że to krew Lindströma.

Drzwi do ogrodu są szeroko otwarte. Zasłony trzepoczą. Linn wstrzymuje oddech. W uszach czuje pulsowanie jak uderzenia młotkiem i mocno przygryza wewnętrzną stronę policzków, żeby nie krzyknąć. Nie ma nic, czym mogłaby się obronić. Chyba że udałoby jej się znaleźć broń Lindströma? Po drugiej stronie, przez prześwit pod łóżkiem dostrzeżga dwie gołe, owłosione stopy.

– Erik? – mężczyzna, który mieszka obok, wszedł do pokoju. Linn widzi na podłodze światło latarki z jego telefonu, które po chwili przesuwają się nad łóżko. – O kurwa! Ja pierdołę! – przeklina, gdy widzi zwłoki.

Potem zapada martwa cisza. Co on, do diabła, robi?

Linn otwiera szeroko usta, żeby nie wydać żadnego dźwięku, kiedy oddycha, i wpuszcza do ciała trochę tlenu, żeby nie zemdleć.

„Nie podchodź tu, nie podchodź, nie podchodź”.

Ale mężczyzna, który właśnie znalazł swojego sąsiada zastrzelonego we własnym łóżku, nie przechodzi na drugą stronę łóżka. Po chwili znów widzi jego stopy przy drzwiach do ogrodu. Mężczyzna wycofuje się przez próg, wychodzi z domu i zaczyna mówić:

– Dzwoń z Desiréevägen 11, przyslijcie tu policję i karetkę.

Głos powoli cichnie i się oddala. Słychać tylko niewyraźny pomruk.

Linn nie ma wyboru. Nie może tu leżeć, kiedy zjawią się niebieskie światła służb. Mimo że ciało i umysł protestują, mocno ściska łuskę po naboju jedną ręką, zmuszając tym samym mięśnie do pracy. Wstaje zeszywniała i najciszej, jak potrafi, biegnie zgięta w pół w stronę korytarza, gdzie czekają Elena z Moą.

– Czy on...? – szepcze Elena drżącym głosem.

Linn przytakuje. – Wezwał służby. Musimy wiać, w tej chwili.

Elena odwraca się i otwiera drzwi wejściowe. Lekko je uchyla, przez wąską szparę wygląda na zewnątrz, po czym ruchem głowy wskazuje, że mogą wyjść.

– Teraz – szepcze. – Biegnijmy.

Linn rzuca ostatnie spojrzenie na kamizelkę motocyklową na korytarzu, pospiesznie modli się w duchu i wybiega z domu za Moą i Eleną w ciemność nocy.

Rozdział 15

Moa

Dziesięć minut po drugiej w nocy Moa staje przed drzwiami wejściowymi i podnosi gipsową rzeźbę, która ma przedstawiać anioła z rozpostartymi skrzydłami. Otwiera drzwi najciszej, jak potrafi, i wchodzi do domu. Jej ciało płonie. A może to jej dusza. Nie jest to jednak szkodliwy ogień. Nie pokrywa czernią i sadzą, wręcz przeciwnie. Wydaje się, że czyści wszystko wokół siebie. Tak jak dwa lata temu. Rozgrzewa. Wzmacnia. Serce Moa nadal mocno bije. Domyśla się, że to samo dotyczy Linn i Eleny, które poszły do siebie.

Ostrożnie zdejmuje buty w korytarzu. Rano, gdy będzie jasno, sprawdzi, czy nie ma na nich śladów krwi. Na razie musi być cicho. Teraz, gdy jej mama jest trzeźwa, sprawy mają się inaczej. Dawniej Moa mogła hałasować, ile wlezie, a ona i tak niczego nie zauważała, odurzona lekami. Denerwuje ją to, że teraz mama poświęca jej tyle uwagi przez cały pieprzony czas, mimo że gdzieś tam w środku Moa pragnęła tego przez całe życie. Dziwne, że to możliwe. Zarówno kocha, jak i nienawidzi to nowe wcielenie mamy. Jej rozmyślenia przerywa dobiegający z kuchni głos:

– Zajrzyj, tu, proszę, zanim pójdziesz do swojego pokoju.

„Cholera. Nie śpi!”.

Moa pociera czoło. Zastanawia się, czy widać po niej, jak bardzo jest zestresowana. Albo raczej podniecona. Rozciąga szyję, bierze głęboki wdech i wchodzi do kuchni. Mama siedzi nieruchomo przy kuchennym stole przy świetle z lampki nad okapem. Stary szlafrok, który tak obrzydliwie do niej przysroś, wyrzuciła. Nowy całkiem ładnie pachnie.

– A gdzie ty byłaś? – pyta mama.

Czy ona siedzi tu i czeka na mnie przy pustym stole? Ciekawe, jak długo już tak siedzi?

– Cholera, ale mnie przestraszyłaś – mówi Moa. – Po co siedzisz tu w ciemności i czaisz się jak jakiś pojebany psychol?

– Nie przeklinaj i odpowiedz na moje pytanie – prosi mama. Jej ton natychmiast staje się ostrzejszy i surowszy, co rozjusza Moę. Od razu podnosi głos:

– Chyba powinnaś mieć to gdzieś, co? Tak jak to było przez całe moje życie.

Mama wydaje z siebie długie westchnienie.

– Nie, Moa. Wcale nie. Podejdz tu, żebyśmy mogła poczuć twój oddech.

– Mój oddech? – mówi Moa lodowatym tonem. – Wiesz co, w tej rodzinie jest tylko jedna osoba, która lubi być cały czas nawalona, i tym kimś, do cholery, nie jestem ja. I to na pewno.

Stawia cztery ciężkie kroki do przodu i wypuszcza powietrze z płuc, prosto w twarz matki.

Widzi, że wzięła sobie jej słowa do serca, ale Moa musi przyznać, że nauczyła się lepiej panować nad sobą w ciągu prawie półtorarocznej trzeźwości.

– Dziękuję – mówi mama ze smutkiem w głosie. – Gdzie byłaś?

„Nigdzie, tylko poszłam zastrzelić jednego faceta, jebaną męską świnię, żeby już nigdy nikogo nie skrzywdził!” – myśli Moa i natychmiast czuje, jak jej tętno i podniecenie znów rosną.

– Na dworze – odpowiada. Podchodzi do lodówki i wyjmuje z niej puszkę napoju gazowanego. – A teraz idę spać. A ty siedź tu sobie dalej jak jakiś bandzior, skoro sprawia ci to przyjemność.

Po czym pospiesznie wychodzi z kuchni i idzie na górę do swojego pokoju. Myśli szybko ją dopadają.

Zastrzeliły pierdoloną męską świnię. Tak. Właśnie tak. Ale teraz nie przeżyła tego w ten sam sposób jak dwa poprzednie razy. Nie tak jak wtedy, gdy zastrzeliła ojca, i nie tak jak wtedy, gdy zastrzeliła Roberta. Bo wówczas miała czternaście lat i nie mogła zostać pociągnięta do odpowiedzialności karnej. Teraz ma szesnaście i pół, a to oznacza, że może iść do więzienia... a przynajmniej tak jej się wydaje.

„Muszę zapytać Veronicę”.

Nieważne, że jest po drugiej w nocy. Przez swój harmonogram pracy w klubie ze striptizem Veronica zazwyczaj śpi w dzień i nie śpi w nocy. I rzeczywiście, odpowiada po czterech sygnałach. Muzyka w tle dudni tak głośno, że musi krzyknąć.

– Zaczekaj – krzyczy. – Wyjdę na zewnątrz!

Moa słyszy głośne głosy, muzykę i śmiech, czekając na Veronicę. Ktoś wykrzykuje jakiś toast. Potem dźwięki cichną i Moa orientuje się, że Veronica wyszła na ulicę Istedgade, przed klub Dollhouse Dreamland, w którym pracuje. Widzi ją oczami wyobraźni w niebotycznie wysokich obcasach i obcisłej sukience, która ledwie zakrywa to, co najistotniejsze. Jej włosy dziko opadające na plecy. Moa mówi, że musi się z nią zobaczyć, że to ważne i że ma kilka pytań. Veronica cierpliwie słucha, a potem odpowiada:

– Zresztą i tak nadeszła pora na ciebie.

– Pora?

– Tak – mówi Veronica i podaje jej czas i miejsce, po czym kończy rozmowę słowami: – Myślę, że już najwyższy czas, byś poznała Leonorę.

Rozdział 16

Elena

Kot leży na ciemnobrązowym pianinie i demonstracyjnie wpatruje się w Elenę, która opadła na kanapę z laptopem na kolanach i dużą szklanką ciemnego rumu u boku. Trzecią, od kiedy wrócili do domu. Czuje mrowienie i szumi jej w głowie, nie ma siły się przed tym bronić. Jest w pół do czwartej nad ranem. Trochę to trwało, ale w końcu Linn się uspokoiła. Teraz tylko Elena i kot nie śpią. To już prawie tradycja. Bez względu na to, co robi, nie jest w stanie zasnąć.

Donośne tykanie zegara w korytarzu to jej jedyne towarzystwo, gdy wlewa w siebie kolejny duży łyk uzdrawiającego trunku. Kojącego nerwy. Pytanie tylko, czy ona chce kozić nerwy. Pod pewnymi względami ma więcej wspólnego z Moą niż z Linn.

Linn była całkowicie zdruzgotana, nim zasnęła. W kółko roztrząsała minioną noc – co zrobiły, dlaczego w ogóle wzięła ze sobą broń, że zaczną ich ścigać Hells Angels, że nigdy nie powinny były jechać do Helsingborgu, że zrujnowała sobie karierę, życie, że jest teraz morderczynią. Elena starała się ją pocieszać i mówiła, że rozumie, ale... nie do końca. To znaczy oczywiście, że rozumie, ale się nie zgadza. Właściwie to raczej jest tego samego zdania, co Moa. Trudno jej dopatrzeć się czegoś negatywnego w tym, co właśnie zrobiły, o ile im się upieczą. To jedyna chmura niepokoju, która jawi się na horyzoncie. Poza tym jest całkiem... zadowolona. Elena czuje, jak na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech i otwiera laptopa.

Tak, zgadza się z Moą. Tęskniła za tym. Za poczuciem, że jest się częścią czegoś naprawdę ważnego. Przełomowego. Czegoś, co ma znaczenie. Uczucie to tylko się nasiliło, odkąd kilka miesięcy temu pojawiły się informacje o tak zwanej Kobiecie Laser z Malmö. Naprawdę istnieje kobieta, która coś robi. Elena fantazjowała. Marzyła. Zamawiała rzeczy w Darknecie i snuła plany. Choć żadnego z nich nie wprowadziła w życie. Musiały się spotkać we trzy, zanim faktycznie coś się wydarzyło, tak jakby połączenie Moji, Linn i jej samej było... magiczne. W pewnym sensie tak jest. Dzięki nim świat pozbył się trzech pojebów.

To, że ich pierwszą ofiarą padł łajdak z gangu motocyklowego, było czystym przypadkiem. Elena wcale nie szukała potajemnie strasznych typów, którymi trzeba się zająć. A biorąc pod uwagę, że Linn najwyraźniej miała w domu naładowaną broń i nic o tym nie mówiła, Elena nie czuje się już tak winna z powodu swoich tajemnic.

Wchodzi na jedno z forów dla inceli i loguje się pod pseudonimem lonliboi_20, który od pół roku należy do lojalnego członka tej grupy. Wyświetla czternaście nowo rozpoczętych wątków. Następnie loguje się kolejno na inne fora. Jedna zakładka na każdy śmierdzący ściek w tej otwartej sieci. Tutaj. To właśnie tutaj znajdują się zdecydowanie najgorsze śmiecie wśród mężczyzn. Ci, którzy zdecydowanie zasługują na rozstrzelanie, nawet bez procesu. Jedyne, z czym nie może się pogodzić, jeśli chodzi o Kobietę Laser, jest to, że tak bezmyślnie zabija... właściwie kogokolwiek. Nawet mężczyzn, którzy są w porządku. A na tych forach można znaleźć wielu takich, o których Elena chętnie by jej dała cynk.

Wiosną przed dwoma laty, kiedy Linn, Elena i Moa się poznały i rozpoczęła się ich... współpraca, przyjaźń i pakt, dwudziestodwuletni Amerykanin Elliot Rodger wygłaszał na takim właśnie forum swoje radykalne i mizoginistyczne poglądy. Na forach internetowe dla inceli można znaleźć najbardziej chore rzeczy, jakie Elena widziała poza Darknetem. Nie pojmuje, dlaczego nie są całkowicie zakazane.

Elliot Rodger opublikował mizoginistyczny manifest i zamieścił film na YouTube, po czym w kalifornijskim akademiku zadźgał nożem dwóch współlokatorów i ich kolegę, a następnie wsiadł do samo-

chodu i zastrzelił jeszcze kilka innych przypadkowych osób. Zanim odebrał sobie życie, ranił czternaście osób i zabił sześć. Pozostawił po sobie manifest zatytułowany *My Twisted World* (Mój pokręcony świat), przedstawiający jego chory, porąbany światopogląd, wzmocniony przez silne poczucie przynależności do świata inceli.

Incel – skrót od involuntary celibate – to osoba, która żyje w mimowolnym celibacie.

Elena nigdy wcześniej nie słyszała tego terminu, ale zaczęła szukać w internecie informacji w związku ze strasznym czynem Rodgera. Otworzył się przed nią zupełnie nowy, przerażający świat. Z mężczyznami, którzy zarówno nienawidzili, jak i pożąдали kobiet.

Szybko zdała sobie sprawę, że każda pyskata kobieta, która pojawia się na tych forach, stosunkowo szybko zostaje wyrzucona, więc stworzyła użytkownika lonliboi_20 i zmieniła podejście. Lonliboi jest na wszystkich forach dla inceli. Ich członkami są setki tysięcy mężczyzn. Od czasu, gdy dołączyła do nich jako incel, prowadzi infiltrację, a im bardziej zbliża się do mężczyzn na forach, tym większą ma świadomość, że stanowią ogromne niebezpieczeństwo. Wzdryga się i osuwa na kanapie.

Oczywiście wielu członków forów to postaci tragiczne. Przeraziłwie samotni. Smutni. Żałośni. Mężczyźni o niskim poczuciu własnej wartości. Myśli samobójcze to chleb powszedni. Jednak wielu użytkowników to również agresywni i nienawistni ludzie. Dzisiaj akurat Elena czuje się pokrzepiona wydarzeniami ostatniej nocy. Musi trochę poczytać i wyobrazić sobie, że następnym razem trafią na jednego z tych idiotów.

Jest całkowicie pewna, że pragnie następnego raz. Tak. Naprawdę tego chce. I jest przekonana, że Moa z Linn też na to pójda, jeśli pokaże im wszystko, co znalazła na tych głównianych forach.

Znowu popija rum i klika wątek na samej górze. Czterdzieści tysięcy aktywnych użytkowników na forum. Nienawiść do kobiet i podżeganie do przemocy – jak zwykle.

„Hołd dla ER” to nazwa wątku z największą liczbą postów. ER jak Elliot Rodger. Wiele osób zachęca, by „zrobić jak ER” lub mówi, że zamierza „zrobić jak ER”. To znaczy mordować kobiety. A potem zabić samego siebie.

Elena wzdycha, przewija w dół i jak zwykle dostaje gęsiej skórki, gdy widzi pełne nienawiści teksty, których z każdą godziną przybywa. Tykanie zegara na korytarzu nagle odbiera jako zły omen.

Omija wątki „Kobiety są z natury dziwkami” oraz „Ile kobiet byś zgwałcił, gdybyś wiedział, że ujdzie ci to na sucho”. Jej wzrok pada na nazwę użytkownika, którym ostatnio szczególnie się zainteresowała. FuckAlana. Jest dostępny online. Alana to dziewczyna, która w 1993 roku założyła listę mailingową dla osób mających trudności z poznaniem kogoś i ukuła termin „incel”, ale szybko się okazało, że jej przeznaczoną dla wszystkich inicjatywę przejęli agresywni i mizoginiczni mężczyźni.

FuckAlana pisze posty po szwedzku, a od innych użytkowników różni się tym, że często rozpoczyna wątki długimi filozoficznymi dyskusjami i zachęca mężczyzn do śledzenia swoich wpisów. Chociaż Elenie jeszcze nie udało się ustalić, gdzie mieliby to zrobić. Zakłada, że jeśli ktoś sobie na to zasłuży, to w prywatnej wiadomości dostanie zaproszenie do jeszcze bardziej sekretnych miejsc niż te publiczne fora.

Ostatnio rozpoczęty przez FuckAlana wątek nosi tytuł „Współczesne społeczeństwo działa na niekorzyść mężczyzn”. Elena czyta pierwszy wpis w tym wątku:

„W społeczeństwie istnieje ścisła hierarchia oparta na wyglądzie. Problem polega na tym, że kobiety są zbyt wybredne, o czym dobrze wiecie, drodzy truecele. 80% kobiet wybiera 20% mężczyzn – chadów. Samców alfa. Tych najprzystojniejszych. Rynek seksualny jest napędzany przez kobiety, ale to od mężczyzn oczekuje się, że wykonają pierwszy ruch. To szaleństwo. Chciałbym zaznaczyć, że seks jest prawem człowieka. Mężczyźni potrzebują i mają prawo domagać się od kobiet troski i seksualnej otwartości. Kobiety są z natury złe. To one są czarnymi charakterami w tym kontekście. To kwestia biologii. Swoim feminizmem zaraziły całe szwedzkie społeczeństwo do tego stopnia, że nawet normalni nie mogą dziś znaleźć partnera. Tylko chady zdobywają kobiety i to WSZYSTKIE kobiety. Ponieważ współczesne kobiety same zarabiają pieniądze, nie muszą już wymieniać seksu za bezpieczeństwo finansowe, co dodatkowo pogarsza sytuację nas, mężczyzn. I nic nie można zrobić, by zwiększyć swoje

szanse, może poza cholernie kosztowną operacją plastyczną i setkami godzin spędzonych na siłowni. Być może mamy tylko trzy możliwości: zrobić to, co RodGER, powiesić się albo być skazanym na życie w wiecznej samotności... Przyznam, że coraz częściej myślę, żeby odwalić ten numER, który prowadzi do ostatecznego rozwiązania”.

Elena widzi napływające odpowiedzi do tego wątku.

„SWECEL007: Wkrótce zacznę gwałcić.

UGLY4LIFE: Po prostu chcę się zastrzelić.

SEBBE77: Zamierzam kupić karabin.

SWECEL007: Dobrze, że jesteś, FuckAlana. My, szwedzcy incele, potrzebujemy silnego przywódcy, który wskaże nam drogę”.

No i zaczyna się. Elena nie po raz pierwszy widzi, że szwedzcy incele określają FuckAlanę mianem takiego właśnie lidera. Klika okienko i jako lonliboi_20 odpowiada w wątku:

„I tak nie zdobędziesz kobiet, jeśli jesteś tak brzydki jak ja. Nieważne, jak dużo trenujesz, i tak zostaniesz pokonany przez jakiegoś chada, gdy tylko się pojawi. Bo chad też może trenować”.

A może FuckAlana też staje się coraz bardziej radykalny? Przez chwilę zastanawia się nad wysłaniem do niego prywatnej wiadomości, ale stwierdza, że jest za wcześnie i że jest zbyt pijana. Przed opublikowaniem postu musiała poprawić kilka słów, bo pomyliła klawisze, a nie byłoby dobrze, gdyby...

W tym momencie zdaje sobie sprawę, że szklanka, którą właśnie podniosła do ust, jest pusta. Krzywi się. Wstaje, napełnia ją przy potępiającym spojrzeniu Pana Syka, po czym wraca na kanapę i do komputera. Zagląda do wątku „Oceń mnie” i robi jej się smutno. Cała strona z młodymi chłopakami, którzy wyglądają zupełnie normalnie. Wcale nie jacyś szczególnie brzydcy. Tak jak w przypadku Elliota Rodgera, który też ubzdurał sobie, że jest brzydki i że z tego powodu nie mógł zdobyć kobiety.

„Bo przecież nie liczy się to, jakim jest się człowiekiem, prawda?” – myśli z przekąsem i odbija jej się rumem tak mocno, że szczypie ją w nosie. FuckAlana naprawdę jest kimś, kogo ona, Linn i Moa powinny załatwić. Na zawsze.

„W Skanii rozpoczął się obóz dla mężczyzn” – czyta tytuł innego wątku, właśnie rozpoczętego przez użytkownika FuckAlana. Klika.

„Sixten Törnholm, człowiek, który założył Killhjälpem, od kilku lat prowadzi również warsztaty dla mężczyzn, którzy mają trudności z odnalezieniem się w życiu. Cieszą się one tak dużą popularnością, że przekształciły się w dwudniowe zjazdy, a w planie są również zjazdy w Finlandii i Norwegii. W wywiadzie dla „Aftonbladet” mówi, że te obozy pozwalają młodym chłopakom uciec od feminizacji płci męskiej, jaka panuje we współczesnej Szwecji. Jego obóz dla mężczyzn to miejsce, w którym faktycznie celebrytuje się męskość, coś, czego dziś bardzo brakuje młodym chłopakom. Często słyszymy, że mężczyźni nie mają racji. Że są niebezpieczni. Że są gorsi. Mężczyźni nie mają dobrych wzorców do naśladowania. Kobiety przejęły kontrolę w najważniejszych obszarach życia, a statystyki samobójstw mówią same za siebie. Więcej chłopców niż dziewcząt popełnia samobójstwo. Więcej chłopców niż dziewcząt nie radzi sobie w szkole. Więcej chłopców niż dziewcząt jest bezrobotnych. I nie ma nikogo, kto przejąłby rolę silnego, męskiego przewodnika dla młodego, zdezorientowanego w sprawach płci pokolenia, które myśli, że wystarczy wybrać sobie pleć i zacząć używać odpowiednich zaimków osobowych. Uważam, że Sixten Törnholm to najlepsze, co spotkało Szwecję od bardzo dawna, a każdy na tym forum powinien się udać przynajmniej raz na jego warsztaty. Człowiek staje się po nich innym mężczyzną. Bardziej dominującym i męskim, silniejszym i lepszym mężczyzną, który potrafi przejrzeć na wylot te feminazystowskie genderowe brednie i feminizację płci męskiej”.

Elena pisze w wątku krótką odpowiedź, choć może powinna poczekać z tym do jutra:

„Sixten Törnholm to przecież pierdolony chad. Czy widziałeś jego twarz wysmarowaną samoopalaczem i umięśnione ciało? Tę rozpiętą koszulę? Co ktoś taki, jak on może zaoferować nam, truecelom?”

Pieprzyć go. I ciebie też, FuckAlana. Tylko udajesz incela. Założę się, że masz mocno zarysowaną linię szczęki, szerokie nadgarstki i w ogóle”.

Gdy już zamierza się wylogować, widzi, że zaczynają napływać lajki i odpowiedzi na komentarz lonliboi_20.

Rozdział 17

Carl

Wtorkowy wieczór w Säter. Czy istnieje coś bardziej przygnębiającego? Owszem, centrum miasta ze starymi drewnianymi domami przy wąskich brukowanych uliczkach jest całkiem ładne, ale nie można powiedzieć, że te cztery i pół tysiąca mieszkańców to jakieś wybitne jednostki. Wszyscy są tu spokojni, a małe sklepiki, które desperacko walczą o przetrwanie, nazywają się na przykład „Ekologiczne Jajka od Cariny” czy „Ja & Alice”. Carl Walter wzdryga się na myśl o banalności otaczającej go rzeczywistości, podczas gdy biały minibus z oddziału psychiatrii sądowej mija grupkę przyszczytanych nastolatków z brzydko pomalowanymi przerobionymi samochodami, tak zwanymi EPA traktorami, przed pizzérią w Säter. Przydałoby się porządnie przyłożyć każdemu z nich, tak żeby poluzowały im się aparaty ortodontyczne, a czapki z daszkiem fruwałyby na wszystkie strony.

Jest jednak coś fajnego w Säter, a mianowicie duży system wąwozów na północny wschód od centrum miasta, rezerwat przyrody Säterdalen. Celem dzisiejszej wycieczki, jak już wiadomo, jest sklep Willys, a ponieważ Carl od jakiegoś czasu zachowuje się wzorowo, dostał zielone światło, by też pojechać. Z Willys do gospodarstwa w Säterdalen jest nie więcej niż osiemset czy dziewięćset metrów, trzeba tylko iść wzdłuż rzeki Ljusterån, a potem wiać, ile sił w nogach. System wąwozów składa się z jednego głównego i ponad trzydziestu pięciu bocznych odgałęzień. Łatwo się tam ukryć. W niektórych miejscach wąwóz schodzi w dół nawet pięćdziesiąt metrów. Carl Walter może za to podziękować mulistej glebie w Säter. Jeśli istnieje jakieś miejsce, gdzie można się na chwilę oddalić, przegrupować i ruszyć dalej niezauważenie, jest to właśnie system wąwozów.

„Jeśli Schinckel nie stchórzyła – myśli Carl – to pójdzie jak po maśle”.

Carl kilkakrotnie zaciska i rozwiera dłonie. Jak szybko uda mu się przebiec te osiemset, dziewięćset metrów? Może w cztery minuty? Trzy, jeśli naprawdę się wysili? Rekordziści świata w sprincie przebiegają czterysta metrów w niecałe czterdzieści cztery sekundy – sprawdził to w księdze rekordów Guinnessa, którą mają na oddziale. Carl niemal czuje na twarzy powiew świeżego powietrza. Widzi migoczące gwiazdy, pod którymi będzie spał dzisiejszej nocy. Pierwszym krokiem jest wywołanie zamieszania, a w tym Carl Walter jest dobry. Uśmiecha się szyderczo i rozgląda po busie, gdy kierowca włącza kierunkowskaz i skręca na parking przy sklepie Willys.

W minibusie siedzi Oldér, ten tłuścioch z piracką przepaską na oku. W wycieczce do miasta bierze udział także trzech innych kolesi, których mózgi są w różnych stadiach rozkładu chemicznego. Dwóch z nich jest wrażliwych, wystarczy ich lekko szturchnąć, by wybuchli, a nad tym trzecim, o imieniu Lillis, Carl starannie pracował od kilku tygodni. Sprawił, by uwierzył, że Carl to jego najlepszy przyjaciel. Razem z nimi jest też trzech pracowników Säter, w tym kierowca.

To będzie jednak bez znaczenia.

Kiedy bus się zatrzymuje i wszyscy ustawiają się w kolejce, by wysiąść, Carl stara się stanąć bezpośrednio za Lillisem. Kwaśny zapach brudnego menela sprawia, że chce mu się rzygać. Lillis ma wiele zalet, ale dbanie o higienę osobistą nie jest jedną z nich. Przed Lillisem stoi Oldér i z niecierpliwością spogląda w stronę wejścia do Willys, gdzie jak zwykle kupi ten paskudny tort książniczki z zieloną polewą, który pochłonie w samotności w swoim pokoju przed telewizorem. Carl jednak wie, że dziś Oldér nawet nie wejdzie do sklepu. Przed Oldérem wysiada jedna osoba z personelu, a następnie dwóch kolesi. Mieszanka wybuchowa. Przewidywalni, mimo że są psychopatami. Gdy Oldér robi pierwszy krok w dół na schodkach, Carl wyjmuje szczoteczkę do zębów, którą w ciągu kilku spokojnych wieczorów

tak naostrzył, że powstała ostra broń. Owinął ją taśmą znaną w kąciaku majsterkowicza, żeby można było ją dobrze chwycić.

Lillis wzdryga się lekko, gdy Carl wciska mu ją do ręki i nachyla się do niego, po czym szybko szepcze:

– Oldér chce cię zabić w Willys. Powiedział mi. On chce cię zadźgać.

Lillis, kretyn, którym łatwo można manipulować, reaguje natychmiast i w taki sposób, jak oczekiwał Carl. Z rykiem rzuca się na Oldéra, przez co ten grubas wypada z busa, krzycząc ze zdziwienia. Lillis łąduje na nim i Carl widzi, jak szybko zaczyna go dźgać. Jeden raz, dwa, trzy, cztery. Krew rozpryskuje się w powietrzu pięknymi łukami, zanim ktokolwiek zdąży zareagować. Ci dwaj, którzy szli przed nimi, odwracają się i włączają się do bójk. Jak zwierzęta kierujące się instynktem też atakują Oldéra, który tak głośno się drze ze strachu przed śmiercią, że muszą go słyszeć nawet w sąsiedniej gminie. Przeklinają, krzyczą i kopią. Lillisowi udaje się zadać jeszcze kilka ciosów, nim kolejne trzy osoby nie dołączą do kotłowaniny na chodniku. Personel próbuje powstrzymać to szaleństwo, w którym uczestniczą cztery bardzo niebezpieczne osoby, które nagle wpadły na pomysł, że się pozabijają.

Podczas gdy uwaga wszystkich skupia się na krwawej bijatyce, a ludzie wokół zaczynają krzyczeć i filmować, Carl Walter po cichu przemyka na drugą stronę busa.

Potem biegnie szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Rozdział 18

Moa

W obskurnej garderobie w Dollhouse Dreamland leżą porzrzucone stringi, boa z piór i brokat w tubkach, jakby przeszła tędy parada równości. W powietrzu unosi się zapach skwaśniałego rozlanego szampana. Z wnętrza lokalu dobiega pobudzające wyobraźnię dudnienie muzyki, ale tu, w garderobie, jest bardziej stłumione, prawie jak ostatnie uderzenie plugawego serca. Moa patrzy, jak Veronica bierze chusteczkę nawilżaną i wyciera się nią pod pachami, następnie między nogami, po czym nakłada świeży dezodorant. Zgniatą chusteczkę i krzywiąc się, wrzuca ją do przepełnionego kosza w kącie. Potem napatyka spojrzenie Moi w ciągnącym się wzdłuż ściany pękniętym lustrze nad toaletką.

– Fuck – mówi. – Trzyście godzin to zdecydowanie za długo. Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie wpisywała się na podwójną zmianę.

Moa przygryza dolną wargę i przygląda się smukłej Azjatce z ogromnymi silikonowymi piersiami, jak ubiera się w skomplikowany strój pokryty pętelkami i paskami, poprawiając jednocześnie szminkę i włosy. Próbuje przy tym zachować równowagę, chwiejąc się na obcasach wysokich na co najmniej dwaście centymetrów. Po przejrzaniu się po raz ostatni w lustrze Azjatka wychodzi z pokoju przez drzwi prowadzące na scenę, zostawiając je same.

– Miałyśmy rękawiczki, maski i tak dalej – mówi Moa, nie mogąc porzucić tematu rozmowy, który wałkuje już od dwóch dni. – A co, jeśli znajdą nasze włosy czy coś takiego w sypialni tego łajdaka?

– Ale ty przecież nic nie zrobiłaś, tak? Nic poza włamaniem.

Moa błędnie.

– A jeśli miał w domu monitoring?

Veronica, słysząc to, poważnieje, czego Moa pewnie się spodziewała.

– Takie typy zwykle go mają – odpowiada po chwili zastanowienia. – Nic już nie poradzisz. I tak jesteś ostatnią osobą, którą ktoś by podejrzewał. Tak samo jak twoje dwie znajome. Zawsze szuka się sprawców w bliskim kręgu ofiary, to standard. A jeśli jeszcze ten facet był z gangu HA, na pewno ma wielu wrogów i to oni będą głównymi podejrzanymi.

Veronica zakłada obcisłe, czarne dzinsy i spryskuje się perfumami między piersiami, po czym obwiesza się wszystkimi swoimi naszyjnikami. Na koniec wkłada czarną koszulkę na ramiączkach, a następnie tę samą skórzaną kamizelkę z przypinkami, którą zawsze nosi.

– A tak w ogóle – kontynuuje, zwracając się do Moi i wzburzając palcami swoją już i tak nastroszoną czuprynę. – Jakie to było uczucie? Mimo wszystko to musiało być niesamowite, prawda? Przyznaj się.

Moa uśmiecha się trochę niepewnie. Po chwili jednak przytakuje.

– No tak – odpowiada przeciągle. – Było. Chociaż wolałabym nie widzieć, kiedy czaszka... – rysuje dłoń w powietrzu, obok własnej głowy, eksplozję i wydaje odgłos wybuchu.

Veronica wygląda poważnie i tłumii ziewnięcie.

– Brudna robota, to na pewno. Chyba tak musi być. Dobrze, że idziesz na dzisiejsze spotkanie. Myślę, że to jest dokładnie to, czego potrzebujesz. Chodź, musimy się pospieszyć. Pociąg odjeżdża za piętnaście minut.

Siedem kobiet siedzi bez słowa w pokoju dziennym na podupadłej farmie pod Fjelle w Skanii. Słońce właśnie wzeszło. Veronica, która o piątej rano skończyła trzynastogodzinną zmianę w klubie ze striptizem, przeciągle ziewa i nalewa sobie kawy. Czeka, aż lek na ADHD, który właśnie wysypała z kapsułki i połknęła, zacznie działać.

– Kapsułki do przechowywania – wyjaśniła, gdy Moa zapytała, co to jest. – Jeśli połknę się je w całości, lek uwalniany jest po trochu. A w ten sposób dostaję wszystko naraz. I jeśli nie masz ADHD, to działa trochę jak speed. Dobry sposób, żeby nie usnąć i nie odczuwać głodu.

Moa rozgląda się po słabo oświetlonym pomieszczeniu. Tapety wyglądają jak z ubiegłego wieku. W zasadzie wszystko tu tak wygląda. Meble – ciężkie i brązowe, a kanapa tak zniszczona, że w kilku miejscach przez przetarcia w żółto-brązowej tapicerce widać piankowe wypełnienie. W powietrzu unosi się zapach ziemi i zasuszonych staruszków. Trzy młode kobiety siedzą na kanapie obok siebie, a jedna – sporo starsza od pozostałych – odpoczywa w czarnym skórzanym fotelu. Na taborecie przed telewizorem zajęła miejsce liderka. To widać od razu.

Moa i Veronica siedzą ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przed kanapą, stolik kawowy odsunięto na bok. Napięcie wisi w powietrzu, ale nie jest ono negatywne. Wszystkie kobiety wydają się bardzo szczęśliwe, że Moa tu jest. Znały już jej imię i tak dalej. Przytulały ją serdecznie na powitanie.

– No to jesteśmy już wszystkie oprócz Adeli, która dostała specjalne zadanie – zaczęła liderka, głaszcząc po grzbiecie dużego rudego kota leżącego na jej kolanach. Kobieta około czterdziestki. Ma na sobie brązowe spodnie myśliwskie z wieloma kieszeniami na nogawkach, rozpiętą koszulę z polaru w czerwonej kratę, a pod nią czarny podkoszulek. Skóra kobiety jest pomarszczona i wygląda na wyjątkowo grubą. Jakby poparzona od słońca. Może to także zasługa papierosów. Przez cały czas trzyma w ustach zapalonego papierosa. Gdy tylko jeden się kończy, odpala kolejnego, a w trakcie rozmowy co chwilę strzupuje popiół spadający na podkoszulek. Jakość powietrza w tym miejscu pozostawia wiele do życzenia i Moę szczypią jej wrażliwe oczy, ale oczywiście w życiu by tego nie skomentowała.

– Witaj, Moa – mówi liderka. – Mam na imię Leonora, ale wszyscy mówią na mnie Leo.

– Cześć – mówi niepewnie Moa. – I dziękuję, że mogę tu być.

Leo kiwa głową w stronę Veroniki.

– Jeśli wszystko, co powiedziała o tobie Veronica, jest prawdą, to jesteś nie tylko mile widziana, ale wręcz niezbędna w takiej grupie jak nasza. To my powinniśmy ci dziękować za to, że tu jesteś, a nie odwrotnie.

W żołądku Moi coś się zaczyna dziać. Uczucie ciepła – już zapomniała, że potrafi je odczuwać. Uczucie, które w ostatnich latach pojawiało się tylko wtedy, gdy spędzała czas z Eleną i Linn. Moa wie, co to jest. Czuje się mile widziana. Zaakceptowana. Bezpieczna. Patrzy na karabin oparty o ścianę lufą do góry tuż za Leo. Leo widzi to spojrzenie i się śmieje. Sięga do tyłu i podnosi karabin.

– Ta półautomatyczna strzelba – zaczyna – to Breda B12i z automatycznym ładowaniem. Kosztowała dwadzieścia pięć tysięcy. Prawdą, że ładna?

Moa kiwa głową i wyciąga rękę, by dotknąć broni. Leo wyraźnie to cieszy.

– Jest zabezpieczona, ale załadowana, więc bądź ostrożna.

Moa cofa rękę, gdy w myślach pojawia się obraz zmasakrowanej głowy Lindströma.

– Może potem – wydobywa z siebie.

Leo się śmieje.

– Kiedy tylko zechcesz. Powiedz mi Moa, czy wiesz, kim jesteśmy?

Dziewczyna kręci głową.

– Falochrony – tak siebie nazywamy. Ale w mediach mówią na nas Kobieta Laser. – Leo robi pauzę, jakby chciała ocenić reakcję Moi.

W tym samym momencie najstarsza kobieta w pokoju pogardliwie prychna.

– A kiedy to niby użyłyśmy celownika laserowego? – mówi skrzeczącym głosem, wywołując tym śmiech pozostałych.

Moa odchrząkuje.

– Ja... wiedziałam o tym. A raczej Veronica powiedziała mi, że to wy jesteście tymi, które... no właśnie. Co oznacza w takim razie należenie do Falochronów?

Leonora jest wyraźnie zadowolona z tego pytania, zdejmując kota z kolan, po czym zapala kolejnego papierosa.

– Czytałaś manifest? – pyta, mrużąc oczy w kłębach papierosowego dymu.

– Tak. Trzy razy – odpowiada Moa i prostuje plecy.

– I?

– I myślę, że kobieta, która to napisała, ma całkowitą rację.

Młodsze kobiety na kanapie pomrukują z uznaniem.

– To prawda – zgadza się Leo. – Zgadzam się z tobą. Jesteś młoda, więc pewnie niewiele wiesz o teorii, która się za tym kryje. Mówi się, że feminizm przychodzi falami. Wiesz coś o tym?

Moa potrząsa głową.

– Tak czy inaczej tak to już jest – Leo się zaciąga. – Tina, jakie to fale?

Jedna z kobiet siedzących na kanapie, blondynka w zaawansowanej ciąży, natychmiast recytuje z pamięci:

– Pierwsza fala dotyczyła prawa wyborczego oraz równouprawnienia kobiet i mężczyzn. W czasie drugiej fali walczono o dowartościowanie roli kobiety w społeczeństwie. Trzecia fala rozpoczęła się w latach dziewięćdziesiątych i chciała pokazać, że role płciowe są w istocie czymś stworzonym przez kulturę, skupiono się także na indywidualizmie i różnorodności. Mówi się, że czwarta fala, dotycząca wielowymiarowej analizy praw kobiet, trwa teraz oraz że feminizm czwartej fali wkracza do sieci.

Leonora teatralnie wdycha.

– Właśnie tak. Fala za falą, niemal cały ocean feminizmu, jeśli wierzyć temu, co się słyszy. Żyjemy w czwartej fali. I dokąd nas to zaprowadziło? Czy mamy równouprawnienie? Nie, nawet tutaj, w Szwecji, która podobno zaszła tak daleko pod tym względem. Czy kobiety są bezpieczne na ulicach lub we własnych domach? Nie, nie są. Piętnaście kobiet rocznie jest nadal mordowanych przez mężów. W jednym z tak zwanych najbardziej feministycznych krajów na świecie. Jakie więc wnioski można wyciągnąć z tych fal?

Moa unosi brwi.

– Nie wiem.

– Można stwierdzić, że nie warto zaczynać piątej, szóstej i siódmej fali. Bo na nic się nie zdadzą. Oczywiście z każdą z fal dokonują się małe postępy, ale jeśli chcemy zobaczyć zmianę, taką prawdziwą, jeszcze za naszego życia, musimy stać się kimś innym. Dlatego nazywamy siebie Falochronami. Zrozumiałyśmy, że nie można płynąć z prądem. I uważamy, podobnie jak ty, że Valerie Solanas miała rację. Postąpiła słusznie. Jesteśmy czarownicami i dziwkami, najgorszym koszmarem mężczyzn. Zamierzamy zabić tylu mężczyzn, ilu nam się uda, i mamy nadzieję, że zainspirujemy inne kobiety do pójścia w nasze ślady. Twoja obecność tutaj to krok we właściwym kierunku.

Moa jest tylko częściowo zdumiona. Veronica opowiadała jej o grupie. Jak Signe, właścicielka farmy, i Leonora poznały się w grupie wsparcia dla maltretowanych kobiet i wspólnie postanowiły podjąć drastyczne kroki.

– Miałaś ojca, który był prawdziwym draniem, prawda? – pyta Leo.

Moa spuszcza wzrok, bawi się paznokciem i kiwa głową bez słowa. Potem czuje palec pod brodą. Leo przysunęła się bliżej na taborecie, delikatnie unosi głowę Moi i patrzy jej prosto w oczy.

– To nie jest twój wstyd. Nawet o tym tak nie myśl.

– Opowiedz o swojej siostrze – mówi ciemnowłosa kobieta siedząca na kanapie.

Leo kiwa głową.

– Jestem bliźniaczką, Moa. Nie chodzi o znak zodiaku, ale o osobę, która urodziła się razem z drugim człowiekiem. A w każdym razie prawie. Urodziłyśmy się w odstępie trzech dni, ja i moja siostra. To

dość niezwykle, ale czasami się zdarza. Wiesz, gdzie jest dziś moja siostra bliźniaczka?

Moa potrząsa przecząco głową.

– Leży pochowana na cmentarzu. Miała cztery lata. Mój ojczym stracił do niej cierpliwość, kiedy zachorowała na zapalenie ucha i płakała w nocy. Chciał ją uciszyć i... udało mu się. – Głos Leo się zmienia. Staje się słabszy. – Na zawsze. Powiedział później, że nie chciał, ale co z tego, skoro to zrobił. Tak to już jest z tymi sukkinsynami. Nawet jeśli nie chcą, to i tak są śmiertelnie niebezpieczni.

– O Boże – głos Moi się łamie. – Tak mi przykro.

– Mnie też. Nam też. Smucenie się nic tu nie pomoże. Trzeba to przekuć w złość. W niepohamowaną wściekłość.

Prostuje się i wskazuje na starszą kobietę w fotelu.

– To jest Signe, a to jej gospodarstwo. Ma siedemdziesiąt jeden lat, a uwolniła się od osobistego piekła dopiero w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Rozumiesz? Całe swoje pieprzone życie mieszkała tu ze starszym bratem. Bratem, który regularnie ją gwałcił i bił.

– Gdzie on teraz jest? – pyta Moa.

Signe unosi podbródek.

– Jest pochowany pod kupą gnoju, razem z dzieckiem powstałym z jego nasienia. Kiedy zmarł, stałam się właścicielką gospodarstwa, a jemu jest dobrze tam, gdzie jest, pod kupą śmierdzącego gówna.

– Tina, tam na kanapie, ona... cóż, Tina, możesz pokazać?

Moa odwraca się w chwili, gdy rozlega się odgłos siorbania. Na kanapie siedzi blondynka z wielkim brzuchem i wyjmuje sztuczną szczękę.

– Mam sztuczne zęby, odkąd skończyłam dwadzieścia dwa lata, kiedy to mąż wybił mi moje prawdziwe – mówi, lekko sepleniąc, po czym wpycha sztuczną szczękę z powrotem do ust.

Ciemnowłosa kobieta siedząca obok Tiny robi głęboki wdech. I wydech. Następnie łapie się za włosy i zdejmuje je z głowy. Moa wydaje z siebie jęk przerażenia.

– Jestem Bahar – mówi kobieta, pochylając się do przodu w taki sposób, by Moa mogła zobaczyć czubek jej głowy pokryty jedną wielką, czerwoną blizną. – Mąż chciał oblać mi twarz kwasem, bo uważał, że zachowałam się nieprzyzwoicie. Udało mi się jednak schylić głowę do przodu, więc zamiast w twarz trafił tutaj. Mieszki włosowe zostały przeżarte i od tamtej pory jestem prawie łysa.

Trzecia kobieta na kanapie, pulchna, rudowłosa dziewczyna, poklepuje Bahar po ramieniu ze współczuciem.

– A ja mam na imię Evelyn – mówi. – Uciekłam od męża z sześciolletnią córeczką, bo podejrzewałam, że ją molestuje. Ukrywałam się przez niemal rok, zanim znalazła nas policja. Fakt, że porwałam córkę, jak to najwyraźniej nazywają, gdy próbuje się uratować dziecko przed zgwałceniem, sprawił, że wyszłam na złego rodzica, a ojcę przyznali wyłączną opiekę nad naszą córką Amandą. Mnie z kolei dali prawo do spotkań co drugi weekend, i to tylko w obecności kuratora. Zostałam też skazana na karę więzienia.

– Gdzie jest teraz Amanda? – pyta Moa.

Evelyn głośno przełyka ślinę i mówi ochryplym głosem:

– Sześć lat później popełniła samobójstwo. Kiedy miała dwanaście lat. Pozostawiła po sobie list, w którym dokładnie opisała, co zrobił jej ojciec. Okazało się, że moje podejrzania były słuszne i że sąd przyznał wyłączną opiekę nad moją córką gwałcicielowi.

Moę zaczyna mdlić, gdy słyszy ból w głosie Evelyn. Matka obwinia się za okropne życie i śmierć córki. To słysząc.

– Robię to ze względu na Amandę – kończy Evelyn, spoglądając smutno w sufit, tak jakby córka mogła to słyszeć z góry, z nieba. – I za wszystkie dziewczynki na całym świecie, które przechodzą przez takie samo piekło jak ona.

Zapada długa cisza, po czym Veronica, teraz z wyraźnie bardziej nerwową mową ciała i mimiką, ciągnie wątek.

– Mnie już znasz – mówi. – Uciekłam z domu w wieku czternastu lat. Moi rodzice byli uzależnieni od heroiny. Pomyślałam, że życie na ulicy musi być lepsze niż życie z nimi. Okazało się, że to prawda. Było ciężko, ale od tego dnia jestem też wolna. Nie mam rodzeństwa. To znaczy... z wyjątkiem wszystkich sióstr w tej grupie. I jestem cholernie szczęśliwa, mogąc powiedzieć, że mam teraz kolejną siostrę.

Chwyta dłoń Moi i ją ściska. Ręka Veroniki jest zimna i blada, a jej czarne akrylowe paznokcie wyglądają jak groty włóczni.

Moa rozgląda się dookoła. Patrzy kolejno na wszystkie kobiety, jedną po drugiej. W końcu zwraca się do Leo.

– Mam na imię Moa – mówi niepewnie. Potem jej głos staje się spokojniejszy: – Kiedy miałam czternaście lat, zastrzeliłam swojego ojca, który był prawdziwym gnojem. Potem zastrzeliłam jednego gwałciciela. I jeśli mogę, chciałabym bardzo zostać waszą siostrą. Falochronem.

Rozdział 19

Linn

Linn siedzi w małej kanciapie przy Porslinsgatan 4 w Malmö, która jest jej biurem. Domyśla się, że tak to po prostu działa – osoba najmłodsza stażem dostaje najgorsze miejsce. Przypuszcza, że mogło to być pomieszczenie gospodarcze, ale jakoś udało się tu wcisnąć malutkie biurko z komputerem, szarą koszmarną szafkę na dokumenty oraz wszystko inne, co jest potrzebne w codziennej pracy.

„Z wyjątkiem tlenu” – myśli Linn, po raz tysięczny żałując, że nie ma okna.

Linn z narastającym bólem brzucha czyta długą rozmowę na czacie wyświetloną na ekranie laptopa. Jako asystentka Linn ma za zadanie pomagać prokuratorce Ulrice Rönn we wszystkim, czego może potrzebować. Jedną z takich rzeczy jest na przykład odczytywanie rozmowy z czatu podczas rozprawy. Linn wkłada saszetkę z nikotyną pod wargę, wypija kilka łyków wody i stara się nie czuć się aż tak źle z powodu tego całego gówna, którym dzień w dzień przesiąka, ale to trudne. Osadza się jak cienka warstwa na jej duszy. Taka, której nie da się zmyć, ale która rośnie coraz bardziej i bardziej. Linn czyta:

„- Widziałem cię, ty dziwko, jak wracałaś z nim z kiosku. Pieprzyliście się?

- Nie, no błagam cię. Po prostu spotkałam kolegę przed kioskiem. KOLEGĘ. Nic nie robiliśmy. Tylko rozmawialiśmy przez chwilę.

- Kłamiesz. Ja to wiem. Jesteś samolubną dziwką, która nie myśli o nikim poza sobą. Kolega. Myślisz, że jak to, kurwa, dla mnie wygląda? I dla wszystkich innych? Jak ty tak puszczasz się na mieście, gdy tylko idę do pracy? Nie kumasz, że ludzie gadają? I to ja wychodzę na idiotę, kiedy moja dziewczyna bez przerwy puszcza się z innymi facetami”.

Linn przełyka ślinę. Musi zrobić przerwę. Po przygotowaniu się do tej rozprawy ma napisać projekt prostszego pozwu, dotyczącego przestępstwa z użyciem noża. Następnie musi zaproponować, jak zaklasyfikować sprawę, która oscyluje pomiędzy usiłowaniem zabójstwa, napaścią ze szczególnym okrucieństwem a spowodowaniem ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Zadanie, na które zdecydowanie nie ma ochoty, ponieważ oznacza kolejną warstwę brudu, lub nawet trzy, na błonie jej duszy. Potem musi wypełnić formularz wniosku o odszkodowanie od prokuratora generalnego w sprawie dotyczącej mężczyzny, który przebywał w areszcie, ale sąd postanowił oddalić zarzuty.

Mimo ogromu niekończącej się pracy zakładka otwarta na końcu w przeglądarce internetowej nieustannie przyciąga wzrok Linn. Inni ludzie stale sprawdzają media społecznościowe podczas pracy, ale nie Linn. Ona już ich nawet nie ma. Ale trudno jej się powstrzymać przed ciągłym odświeżaniem stron gazet.

Wiadomość o nagłej śmierci Lindströma pojawiła się wczoraj późnym wieczorem. Na początku były to bardzo zwięzłe teksty. W willi w Helsingborgu znaleziono martwego mężczyznę, teren został zabezpieczony, a policja wszczęła dochodzenie w sprawie poważnego przestępstwa. Poinformowano najbliższych krewnych. Linn stara się, by to ostatnie zdanie zbytnio jej nie dotknęło. Wie, jak Lindström traktował swoich najbliższych, i nie sądzi, żeby się smucili, gdy wiadomość o tym dotarła do jego byłej żony i dzieci. Linn jest zdenerwowana, nie ma co do tego wątpliwości. Zupełnie nie wie, czy mogły zostać jakieś ślady, które wskazywałyby, że to one. Raczej nie, ale przecież tak samo myśli większość przestępców, którzy są przekonani, że nikt ich nie złapie. A jest też trochę... dumna? Nie, może nie. Zadowolona? Tak. Mimo że sprawa z Lindströmem nie potoczyła się tak, jak planowały, a Linn została morderczynią, to przynajmniej Sara Lindström już nigdy nie będzie narażona na niebezpieczeństwo ze

strony tego agresywnego drania. I dzieci również. Ani żadna inna kobieta. Świat stał się lepszy bez tego gnojka Lindströma i to jest niezaprzeczalne. I tyle.

„Ale jego rodzice nie chcą się z tym zgodzić. Ani rodzeństwo. Może nawet jego dzieci też nie”. Nie może przestać o tym myśleć. Jak, do cholery, Elena i Moa mają zamiar to naprawić? Wydaje im się, że wszystko jest takie oczywiste. Niemal łatwe. Linn już chyba po raz dziesiąty dzisiaj wchodzi na stronę internetową „Aftonbladet” i przeszukuje wiadomości, aż trafia na właściwą.

Dzisiejsze artykuły są nieco bardziej szczegółowe. Komendant policji w Helsingborgu udzielił informacji, że chodzi o mężczyznę, który jest już znany policji – tak to się mówi, gdy styl życia jakiegoś drania wpędza go w kłopoty. Powiedział również, że wszczęto wstępne dochodzenie w sprawie morderstwa, ponieważ nie ma żadnych wątpliwości, że mężczyzna został zabity. Policja prosi o kontakt wszystkich, którzy uważają, że mogą wnieść coś do sprawy. Kiedy dziennikarz pyta, czy mają jakichś podejrzanych, komendant odpowiada, że w tej chwili nie chcą się ograniczać do żadnych hipotez.

Natomiast na forum Flashback wypowiedzi mają inny ton. Szybkie wymyślenie teorii, a następnie trzymanie się jej raczej jest wymogiem w tysiącach wątków o bieżących przestępstwach. Nie minęło wiele godzin od ukazania się pierwszego artykułu w mediach, a forumowicze dokopali się do informacji o Lindströmie. Że nie płacił podatków, został wielokrotnie oskarżony o pobicia, o przestępstwo związane z posiadaniem broni palnej, kilka drobnych przestępstw narkotykowych i dwa przypadki utrudniania śledztwa. I że był raczej nowym członkiem Hells Angels. Jeden z użytkowników jest całkowicie przekonany o tym, kto stoi za morderstwem, i podał nazwiska dwóch osób, z którymi Lindström miał niedokończone interesy. Inny z kolei myśli, że to facet z gangu motocyklowego Bandidos. Trzeci twierdzi, że to na pewno jego była żona wynajęła płatnego zabójcę.

„Nie jest to wcale dalekie od prawdy” – myśli Linn i przechodzi ją dreszcz.

Po jakichś stu postach w wątku jeden użytkownik zastanawia się, czy to może być nowa ofiara Kobiety Laser, ale ta teoria szybko zostaje odrzucona z powodu innej koncepcji. Komuś udało się również zdobyć informację, że był to strzał w głowę z bliskiej odległości, prawdopodobnie z broni ręcznej, podczas gdy wszystkie ofiary Kobiety Laser zostały zastrzelone z karabinów oraz z większej odległości. Linn jest załamana. To oczywiste, że osoba, która napisała ten post, ma wgląd w śledztwo. To nie przypadek, że wielu dziennikarzy wchodzi na Flashbacka, by zdobyć informacje na temat nierozwiązanych bieżących spraw. Piszą tu pracownicy wymiaru sprawiedliwości, którzy nie boją się rozpowszechnić informacji poufnych. Czasem dlatego, że dostają za to spore pieniądze, czasem pewnie dla samej satysfakcji, że jako pierwsi wnoszą nowe informacje do tej grupowej masturbacji, która odbywa się na Flashbacku.

Linn podskakuje, gdy rozlega się pukanie w drzwi, które są lekko uchylone, by mogła w ogóle oddychać.

– Tak? – mówi, szybko zamykając wszystkie zakładki niezwiązane z pracą.

Catrin Åkesson wchodzi do pokoju, w którym od razu robi się tłoczno. Linn nie ma nawet krzesła dla gości, więc Catrin opiera się o framugę i krzyżuje ręce na piersiach, z niedowierzaniem rozglądając się po maleńkiej przestrzeni.

– Serio, nie wydaje mi się, żebyś mogła tak pracować, o ile związek zawodowy ma tu w ogóle coś do gadania. Naprawdę powinnaś poprosić o zmianę biura, Linn.

Linn reaguje na to śmiechem i pociera czoło.

– Tak, wiem. Próbuję sobie wmówić, że jest tu nawet przytulnie. Jak w norce, do której mogę się schować.

– Pomaga ci to?

– Tak sobie – przyznaje. – W każdym razie nie wydaje mi się, żeby moimi przodkami były borsuki, ponieważ czuję się tu dość klaustrofobicznie. Zwłaszcza gdy muszę zamknąć drzwi.

Catrin wskazuje brodą na jeden z segregatorów rozłożonych na stole przed Linn.

– Zamykasz sprawę Sary Lindström, tak?

– Mhm – odpowiada Linn, zachowując czujność, zanim zacznie mówić dalej. – To chore, co się stało.

Catrin ziewa i spogląda na zegarek.

– Taa – mówi – choć dla Sary Lindström to chyba najlepsze, co mogło się zdarzyć. A jednak to była bezwzględna egzekucja, a ten, kto to zrobił, biega teraz wolno po mieście z bronią w rękę, więc oczywiście nie możemy na to pozwolić.

Linn czuje ucisk w żołądku. Podnosi kubek z kawą do ust i kiwa potakująco głową w odpowiedzi. Zastanawia się, co zrobiłaby Catrin, gdyby właśnie teraz się dowiedziała, że osoba, o której mówi, siedzi niecały metr od niej.

„Bezwzględna egzekucja. Nie, to właściwie nie było tak – chce powiedzieć. – To była tak jakby... samoobrona”.

– Choć tak naprawdę jeszcze bardziej bezwzględny był ostatni przypadek z udziałem Kobiety Laser – kontynuuje Catrin. – Widziałś w *Wiadomościach*, prawda? Przysięgam, że ta sprawa wysysie ze mnie całe życie, tak wolno toczy się to śledztwo.

Po raz kolejny Linn przytakuje.

– To na Dworcu Centralnym? Wydaje się, że te zabójstwa zdarzają się coraz częściej, nie sądzisz?

Catrin odpowiada poważniejszym tonem:

– Tak, rzeczywiście. A ten koleś, który w spokoju pił kawę po pracy, z pewnością nie należał do tej kategorii co nasz drogi Lindström. Po prostu zwykły facet. Hans-Erik, lat pięćdziesiąt pięć, ojciec trójki dorosłych dzieci i świeżo upieczony dziadek. Z czystą kartoteką. Kilka mandatów za złe parkowanie w ciągu całego życia. Nigdy nawet nie przekroczył dozwolonej prędkości. Właśnie to jest dla mnie tak trudne do zrozumienia w sprawie z Kobiętą Laser. Naprawdę musimy złapać tę psychopatkę. Żadna z ofiar nie była nam wcześniej znana. Wszystkie z nich to ... no cóż, zwykli, niewinni chłopcy lub mężczyźni.

Linn zastanawia się, czy w ogóle tacy istnieją, ale odpowiada:

– No tak, wydaje się, że jeśli ktoś zamierza strzelać do ludzi, to mógłby wybrać trochę... inaczej.

Catrin zastanawia się nad tym. Potem wzrusza ramionami.

– Otóż to. Ja... – przerywa jej dźwięk w telefonie, w kieszeni marynarki na piersi. W tym samym czasie na biurku zapala się ekran komórki Linn. Catrin szybciej wyjmuje swoją i zamiera, przeczytawszy wiadomość.

– O, cholera, Linn – kiedy podnosi wzrok, w jej spojrzeniu pojawia się coś nowego. Coś, co budzi złe przeczucia. – Słuchaj, muszę spadać, mam nadzieję, że szybko się z tym uporają. Daj mi znać, jak tylko będę mogła coś dla ciebie zrobić.

– Co? Ale co? – pyta Linn, podnosząc telefon z biurka, podczas gdy Catrin Åkesson w pośpiechu wychodzi z pokoju.

„O co jej chodziło, do cholery?”

W górnej części ekranu telefonu znajdują się powiadomienia z różnych gazet: „Aftonbladet”, „Expressen” i „Dagens Nyheter”, a także ze Szwedzkiego Radia oraz z aplikacji Alarm SOS, informującej o sytuacjach kryzysowych. Kiedy Linn odczytuje wszystkie wiadomości, czuje się tak, jakby wbiegła prosto na betonową ścianę, a serce przyspiesza, gdy wydaje jej się, że ściany w tej kanciapie zaraz na nią runą.

„Ogłoszono alarm w całym kraju – zabójca Carl Walter uciekł z Säter. Stanowi ogromne zagrożenie dla społeczeństwa”.

– To niemożliwe – szepcze Linn i ma ochotę wyrzucić telefon, jakby ją ugryzł. Ale w tej samej chwili zaczyna dzwonić. „Elena” – wyświetla się na ekranie. Pewnie zobaczyła powiadomienia i od razu zadzwoniła. Kciuk Linn drży, gdy odbiera połączenie.

– Też już czytałaś? – pyta wprost i czuje łyzy wzbierające w jej oczach niczym palący kwas i nie jest w stanie ich powstrzymać.

– Czy czytałam? – mówi Elena. – To jest... nawet nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę myśleć. Właśnie tego się tak bałyśmy, Linn. Co my, kurwa mać, zrobimy?

„My? – myśli Linn. – Czy Elena też się bała, że Carl ucieknie?”

– Co masz na myśli? – wyrzuca z siebie.

– No więc policja już do mnie dzwoniła i chcą, żebym przyszła na przesłuchanie...

Linn jej przerywa.

– Policja chce, żebyś przyszła na przesłuchanie, bo mój ojciec zwał?

Elena najpierw milczy, a potem mówi słabym głosem:

– Mój Boże, Linn, o czym ty mówisz?

– Że właśnie ogłoszono ogólnokrajowy alarm, ponieważ mój ojciec uciekł z Säter. A o czym ty mówisz?

W telefonie znowu zapada cisza. Elena ciężko oddycha, po czym mówi:

– W takim razie musisz wrócić do domu. I to teraz. Olej wszystko inne. Po prostu chodź.

– Ale... – zaczyna Linn. – Czy to nie dlatego zadzwoniłaś? – Zaczyna ją ćmić głowa, czuje nieprzyjemne klucie za prawym okiem.

Elena najwyraźniej nie może się zdecydować, czy coś powiedzieć, czy nie, i dlatego przez kilka sekund się nie odzywa, ale po chwili namysłu mówi:

– Nie. Nie dlatego. To nie jest teraz takie istotne.

– Ale... dlaczego w takim razie wzywa cię policja? O czym ty mówisz?

– Szczątki, Linn. To dlatego zadzwoniłam.

– Jakie... szczątki?

Elena się niecierpliwi.

– Roberta. W moim ogrodzie. Znaleźli jego kości.

Rozdział 20

Carl

Gospodarstwo Fäboden w rezerwacie przyrody Säterdalen było tego dnia zamknięte, co doskonale odpowiadało zamiarom Carla Waltera. Po przebiegnięciu pierwszego odcinka zatrzymał się zdyszany za opuszczoną, brązową drewnianą chatą i spojrzął na zegarek, biorąc długie, głębokie wdechy, aby obniżyć tętno. Cztery minuty i czterdzieści pięć sekund. Nie tak szybko, jak sobie wyobrażał, ale do zaakceptowania. Pytanie brzmi, czy ci, którzy zostali przy busie, w ogóle zauważyli, że go nie ma, czy nadal starali się rozdzielić psycholi na parkingu, pogrążonych w odmętach krwi i szału.

I jest tak, jak obiecała mu jego współniczka: przy północnej ścianie chaty leży pakunek. Nieprzemakalny worek żeglarski o pojemności trzydziestu litrów.

Oszukanie psa tropiącego jest trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. W zasadzie nawet niemożliwe. Dlatego najpierw Carl spróbował oszukać opiekuna psa. Gdyby udało mu się już na początku zmusić ich, by poszli w złym kierunku, i sprawić, by opiekun zwątpił w psa, to byłby sukces. Tak więc po „przypadkowym” upuszczeniu jednego buta na skraju lasu ciągnącego się w kierunku wschodnim Carl chwycił worek i wskoczył do chłodnej, wiosennej wody w rzece.

Ljusterån ostro skręca przy gospodarstwie, po czym kieruje się na północ, w rejon wąwozów. Płynąc, Carl po drodze zdejmował z siebie ubranie, każdą rzecz przygniatając do dna za pomocą kamieni. Teraz, gdy wdrapuje się na brzeg, prawdopodobnie kilometr dalej na północ, jest nagi i ciało ma pokryte gęsią skórą, ale czuje się bardzo szczęśliwy. Uśmiecha się, gdy wychodzi z wody, mimo że zimno szczypie go w skórę. Rozgląda się wokół i stwierdza, że nie ma tu nikogo oprócz niego, więc otwiera worek. To, że podobno nie da się oszukać psa tropiącego, nie oznacza, że nie warto próbować. Jeśli pozostawienie fałszywego tropu oraz kilometrowa wyprawa przez rzekę nie przyniosą rezultatu, będzie musiał spróbować czegoś innego. Wkłada rękę do worka i wyciąga z niego mocno perfumowane damskie mydło. Istnieje wiele teorii na temat tego, jak oszukać psy tropiące: pieprz lub chili, biegnięcie długimi, przecinającymi się tu i ówdzie ścieżkami, zamienianie się z kimś ubraniami i tak dalej. Ale jak powiedział Carlowi kiedyś pewien człowiek, który przeszedł szkolenie wojskowe w zakresie prowadzenia psów tropiących, jedynym sposobem jest przebiegnięcie pięćdziesięciu kilometrów na wprost w bardzo szybkim tempie po twardym podłożu, dopiero wtedy można zacząć działać. „Musisz wytrzymać dłużej i poruszać się szybciej od psów tropiących, to jedyna skuteczna metoda” – powiedział. Carl domyśla się, że najlepsze może być połączenie tych dwóch sposobów. Mężczyzna powiedział mu również, że aby być całkowicie bezpiecznym, należy zastrzelić psa. Carl nie ma jednak broni, musi sobie poradzić inaczej.

Szybko wchodzi ponownie do rzeki Ljusterån i naciera ciało pachnącym lawendą mydłem. Następnie wdrapuje się z powrotem na brzeg, wyciera do sucha lekkim, szybko schnącym ręcznikiem, który Schinckel również włożyła do torby, tak jak ją o to poprosił. Zakłada nowe ubranie i buty, po czym wyjmuje małą plastikową butelkę z błękitnym płynem. To glikol. A potem słoik ze sproszkowanym ałunem. Kundel może umrzeć, jeśli zliże glikol, a ałun przeżre mu nos, to jasne... ale lepsze to, niż żeby go złapali, zanim zdąży zrobić to, co chce zrobić. Głina to glina, nawet jeśli chodzi na czterech łapach i ma sierść.

Schinckel dała się dość łatwo przekonać. Zawsze tak jest. Carl zapewnił ją, że wszystko jej opowie, gdy zostanie ponownie złapany – bo nie ma wątpliwości, że w końcu tak się stanie – a także obiecał, że będzie współautorką jego przyszłej autobiografii. Wtedy zgodziła się zostawić szczelny worek w gospodarstwie Fäboden i jeszcze jedną rzecz nieco dalej w lesie. Obiecał jej, że to wystarczy. Nie musiałyby

robić nic więcej. Jedynie zostawić kilka rzeczy, które mogłyby mu się przydać. I musi przyznać, że wykonała świetną robotę.

Być może zdąży ją przelecieć, zanim znowu go zamkną?

Carl czuje wzbierającą erekcję, ale szybko się otrząsa. Nie ma teraz na to czasu, niezależnie od tego, jak długo przebywał w zamknięciu pozbawiony aktywności seksualnej. Niektórzy z osadzonych w Säter stawali się na jakiś czas homoseksualistami tylko dlatego, że to jedyna szansa na bara-bara w tym miejscu. Ale nie Carl. Zdecydowanie nie. Małeństwo odwiedziła go wprawdzie kilkakrotnie po tym, jak skończył się jej wyrok w zawieszeniu, ale... no cóż. Urozmaicenie dodaje smaku, każdy to wie.

Z szelmowskim uśmiechem Carl przerzuca worek przez ramię i biegnie truchtem do lasu, wylewając na ścieżkę za sobą najpierw glikol, a potem rozsypując ałun. Zaraz się okaże, czy Schinckel zrozumiała, gdzie ma zostawić rower. Jeśli tak, wszystko pójdzie zgodnie z planem. Będzie musiał ostro pedałować, aż znajdzie się na właściwej drodze, a wtedy wystarczy zmusić jakiegoś mięczaka, żeby oddał mu swój szybki samochód.

„Strzeżcie się, moja droga rodzino zdrajców... bo oto, kurwa, nadchodzę”.

Rozdział 21

Linn

Nad żwirowymi drogami w Saxtorpsskogen zaczął zapadać zmierzch, gdy Linn wjeżdża białą teslą na Annorlundavägen, gdzie znajduje się jej stary dom, w którym teraz mieszka Anton. Mama mieszka po drugiej stronie ulicy, trzy domy dalej. Linn nerwowo stuka palcami w kierownicę i rozgląda się we wszystkich kierunkach. Od ogłoszenia alarmu minęło prawie osiem godzin. Nieważne, że najniebezpieczniejszy człowiek w Szwecji – który, jak się składa, jest także twoim ojcem – uciekł i prawdopodobnie chce cię dopaść. Wymiar sprawiedliwości nie może przerywać pracy tylko z tego powodu. Linn to rozumie, choć wołałaby, żeby było inaczej. Jak daleko udało mu się przemieścić w ciągu ośmiu godzin? Według Google Maps podróż samochodem z Säter do Landskrony trwa siedem godzin i piętnaście minut. Teoretycznie więc ojciec może chować się za jakimkolwiek krzakiem, czekając na odpowiedni moment, by wyskoczyć z nożem w rękę lub z bronią, a może po prostu z uniesionymi pięściami, morderczym spojrzeniem i...

Linn musi powstrzymać myśli, by nie wpaść w panikę. Opustoszała okolica robi na niej jeszcze większe wrażenie niż zwykle i silnie kontrastuje z jej środowiskiem pracy. Ulrika Rönn okazała wyrozumiałość i zachęcała Linn, by ta kontynuowała pracę w odpowiednim dla niej czasie i tempie, robiąc przerwy, kiedy tylko będzie tego potrzebowała. „Ale jeśli chcesz być całkowicie bezpieczna, to powinnaś zostać właśnie tutaj, na posterunku policji, wśród uzbrojonych kolegów” – powiedziała Ulrika.

Może szefowa miała rację? Może dopiero teraz jest w niebezpieczeństwie, znajdując się tu, w lesie, kiedy nikt nie wie, gdzie jest jej ojciec? Ta myśl powoduje, że coś małego i natarchywego z tysiącem zimnych stópek pełźnie po jej plecach. Co z tego, że dane osobowe jej i Eleny są zastrzeżone, skoro właśnie stoi na swojej starej ulicy?

Domy przy Annorlundavägen wydają się bardziej oświetlone niż zwykle. Jakby wszyscy wiedzieli, co się wydarzy, i próbowali chronić się za kurtyną zapalonych lamp. I oczywiście wiedzą, bo w końcu o to chodzi w alarmie ogólnokrajowym – żeby poinformować wszystkich. Mimo to Linn czuje się nie-swojo. Jakby to była w jakimś sensie jej wina. Jakby sprowadziła nieszczęście na całą okolicę.

„To prawda. Gdyby mnie tu nie było, nic by go tu nie ciągnęło”.

Linn jest przekonana, że on się tu zjawi. Głośno przełyka ślinę. Ojciec może twierdzić, że jego zaburzenia psychiczne zniknęły. Albo że się z nich wyleczył czy jak to nazwać. Linn wie, że to bzdura. To oczywiste, że jest poważnie chory psychicznie, ale jego zaburzenia są inne niż ludzi skazywanych na szpital zamiast na więzienie. On nigdy nie był nieobliczalny. Umie odróżnić dobro od zła, ale po prostu ma to gdzieś. Ojciec jest psychopatą do szpiku kości. I w jednym na pewno jest dobry: w manipulowaniu ludźmi, w tym lekarzami i personelem w Säter.

Linn parkuje samochód na podjeździe za dostosowaną do potrzeb osoby niepełnosprawnej czerwoną toyotą mamy. Siedzi przez chwilę w środku i obserwuje oświetlony dom. Wokół wznoszą się korony drzew niczym mroczni wartownicy, posępni w tym skąpym świetle zmierzchu. Serce jej podskakuje, gdy kątem oka dostrzeże, jak coś małego się porusza. Linn spodziewa się, że zobaczy Dżinna biegnącego w charakterystyczny sposób na trzech łapach, ale potem zderza się z rzeczywistością. Mój biedny, biedny Dżinn. Jakże tęskni za tym kotem i jego jaskrawożółtym spojrzeniem.

I jeszcze ten telefon od Eleny... o szczątkach.

Wszystko ją nagle przytłacza. „To jest kara” – myśli. Kara za to, co zrobiły razem z Eleną i Moą. Za to, co ona zrobiła. Za to, że nie potrafiła cieszyć się tym, co miała i co było dobre. Za to, że postanowiła

bawić się w bohatera żadnego zemsty. Ktoś tam na górze ją zobaczył i zdecydował, że wszystko, co może pójść źle, pójdzie źle.

„Ktoś tam na górze?” – zastanawia się Linn, próbując wyśmiać własne myśli, ale to nie takie proste.

Nie chcąc siedzieć jak skamieniała przez resztę wieczoru, wysiadła z samochodu. Spogląda na dom, który kiedyś należał do niej, a teraz mieszka w nim Anton. Jest w nim zupełnie ciemno. Rozumie go. Anton i mama raczej nie będą spać osobno, dopóki ojciec jest na wolności. Pytanie brzmi, czy w ogóle powinni spać w domu?

„Może wszyscy powinniśmy zatrzymać się w hotelu?”

W tym momencie otwierają się drzwi wejściowe i na schodach pojawia się Anton. Robi dwa kroki w dół po rampie dla wózków inwalidzkich, podnosi rękę i macha, ale nie jest to radosny gest. Anton wygląda mizernie. Linn rzuca ostatnie spojrzenie na pękającą jak zawsze w szwach teczkę na siedzeniu pasażera, po czym podejmuje decyzję. W normalnych godzinach pracy może i musi przedkładać problemy innych nad własne, ale teraz ma przecież wolne. W tej chwili trzeba ratować ich małą rodzinę.

„Tylko jak, cholera, tego dokonać?”

Podchodzi do Antona i długo go przytula. Zauważa, że jak zwykle jego wzrok zbyt długo zatrzymuje się na krzywym grzbiecie jej nosa. I że jak zwykle przyłapuje się na tym i rumieni, po czym przenosi wzrok w inną stronę, by nie wprawić jej w zakłopotanie. Oboje podskakują, gdy ptak, trzepocząc skrzydłami, zrywa się z pobliskiego drzewa.

– Mama jest w kuchni. Wejźdź – mówi Anton, spoglądając szybko przez jej ramię na złowrogi, cichy las.

Linn odczuwa dreszcz i szybko wchodzi za bratem do środka.

W korytarzu i kuchni palą się wszystkie lampy, a to coś oznacza. Od czasu wydarzeń sprzed dwóch lat mania zbieractwa mamy, niegdyś pączkująca, rozkwitła w pełni. Jedyne dzięki temu, że Anne Walter czuje również potrzebę wojskowego porządku, jej dom nie wygląda jak śmietnisko. Linn kluczy między lampami podłogowymi z dużymi kłozkami, sufitowymi i ściennymi lampami i zwykłymi lampami stołowymi. Wszystkie zapalone. W kuchni przy stole, na którym leży sterta ubrań, siedzi mama na wózku inwalidzkim.

„Czy oni się pakują?”

– Cześć, mamó – wita się Linn, podchodzi i przytula mamę.

Anne schudła w ciągu ostatnich dwóch lat. Ma tak wciąż rozwinięte mięśnie ramion jak wcześniej, ale teraz bardziej je widać. Jakby się odchudzała. A nowe blizny wciąż płoną czerwienią na bladej skórze.

– Mogłam to przewidzieć – mówi Anne ze smutkiem w głosie, składając podkoszulek w kolorze słonecznej żółci. Odkłada go na jeden ze stosów. – Naprawdę, naprawdę mogłam to przewidzieć.

– Nie, nikt nie mógł tego przewidzieć, mamó – mówi Linn, biorąc do ręki filiżankę herbaty, którą podaje jej Anton.

– Właśnie, że tak. – Anne gwałtownie przerywa to, co robi, i obraca się na wózek. Podsuwa sobie duże okulary wyżej na nosie. – Nawet jeśli o tym nie myślałam przed wydarzeniami tego strasznego lata, to na pewno powinnam była o tym pomyśleć potem. Wcześniej można było wierzyć w to, że Carl, no nie wiem..., sobie odpuści? I można było mieć nadzieję, że znajdując się pod tak ścisłym nadzorem, już nigdy nie będzie miał okazji, żeby uciec. Ale... przecież mówimy tu o Carlu – ton jej głosu staje się gorzki i ostry, gdy wypowiada jego imię. – Jeśli chodzi o Carla, wszystko może się zdarzyć. Powinnam była to zrozumieć wiele lat temu.

Linn siada na krześle po drugiej stronie stołu, odsuwa na bok stertę spodni i patrzy na spakowaną do połowy walizkę, leżącą na podłodze. – Chcecie uciec? Dokąd? – dmucha w filiżankę.

– Nie mamy wyboru – mówi Anton ostro, jakby pytanie było oskarżeniem.

– Nie mówię, że macie – wdycha Linn. – Jeszcze kilka minut temu myślałam, żeby zrobić to samo. Diabli wiedzą, czy możemy z Eleną zostać w domu, dopóki ojciec jest... – nie może się powstrzymać i patrzy przez okno – ... gdzieś tam.

– Zdecydowanie nie powinnyście – odpowiada mama. – Macie pieniądze. Jedźcie już dziś wieczorem, dobrze wam radzę. Jak tylko tu skończymy. Znajdźcie jakiś hotel. Byłe nie w Landskronie. Gdzieś, gdzie nikt by się was nie spodziewał. Może Kopenhaga? Albo hotel w jakiejś dziurze, jak Höör czy Kävlinge czy coś w tym rodzaju. Nie zwlekajcie, tylko uciekajcie już dziś, Linn. Dwa lata temu popełniłmy błąd, sądząc, że jesteśmy bezpieczni. Nie wolno nam tego powtórzyć. Wiesz, jak to się skończyło.

Wspomnienia starają się wydostać na powierzchnię niczym żywe trupy z grobów. Mama w łóżku na intensywnej terapii. Moa w śpiączce, prawie całkowicie owinięta bandażami. Martwe, rozerwane na pół ciało Dżinna w łóżku Linn.

– Rozmawiałem z policją w Landskronie – mówi Anton. – Z tym Martinem, kojarzysz go? Był z nami ostatnim razem.

Martin Ljungstål, ich anioł stróż. Tylko on wierzył Moi, że Johan Kinne jest niebezpiecznym człowiekiem. Linn kiwa potakująco głową.

– Co powiedział?

– Ściągnęli Pernillę na przesłuchanie i będą na zmianę patrolować okolicę. Mają wysłać całkiem sporo wozów patrolowych. To wszystko, co mogą zaoferować przy swoich i tak już nadwyrężonych zasobach.

– Dlaczego nadal nie czuję się ani trochę bezpiecznie? – prycha Anne, po czym chwyta w garść kilka par majtek i wrzuca je do walizki.

– Dokąd pojedziecie? – pyta Linn ponownie.

– Moja dobra koleżanka, a właściwie była kursantka – mówi Anne – ma pensjonat kawalek dalej na północ, w Skanii. Obiecała, że możemy tam zostać tak długo, jak będzie trzeba.

Linn się zastanawia, a potem powoli kiwa głową.

– Wyjeżdżacie już dziś wieczorem?

Anne rozgląda się po kuchni, po czym wrzuca kilka dodatkowych sztuk bielizny do torby na podłodze.

– Tak. Wyjedziemy, jak tylko skończymy się pakować. Radzę ci, żebyś wróciła do domu, do Eleny i zrobiła to samo. Spakujcie kilka toreb i wyjedźcie jak najszybciej.

– Ale czy na pewno mają uciekać, skoro ich dane są chronione? – odzywa się Anton. – To, że ty i ja mieszkamy tu, gdzie mieszkamy, to jedno, mamó. Ale adres Linn jest zastrzeżony. Może w domu jest jednak dla niej najbezpieczniej? Po pierwsze, dlatego, że jej dane są chronione, a po drugie, mają przecież ten cały monitoring. Alarm. I jeśli dobrze znam Linn, to mają się czym bronić, prawda?

Linn dokładnie analizuje sytuację.

– Mamy, tyle mogę powiedzieć. Ale... i tak nie wiem, co, do cholery, zrobić.

Rozdział 22

Carl

Duży krzak bzu przed domem, w którym mieszka ta mała suka, jego córka, zapewnia doskonale schronienie wieczorem w Saxtorpsskogen. Carl powoli zakrada się do okna z boku budynku, ale okazuje się, że w środku jest niepokojąco ciemno. Nigdzie nie pali się nawet najmniejsza lampka.

„Niech to szlag. Oczywiście już ją gdzieś ukryli, żebyśmy jej nie znaleźli”.

Powstrzymuje burknięcie i powoli kieruje się na tyły domu. Tam to samo. Chociaż... to, co udaje mu się zobaczyć w słabym świetle, nie świadczy o tym, żeby ktokolwiek tu mieszkał. A zwłaszcza dziewczyna. Pokoje są puste, przypominają mu jego pokój w Säter. Meble na tarasie są przykryte, jakby ich w ogóle nie używano. Spogląda przez ramię w stronę sąsiedniego domu. Tam to zupełnie inna bajka. Każda cholerna lampa wydaje się włączona. Lamy na podjeździe sąsiadów oświetlają skrzynki pocztowe na małym drewnianym płocie. Carl wpada na pomysł.

Wysłuchując się w ciszę lasu, bardzo uważnie stawia stopy, zgięty w pół, powoli podchodzi do skrzynek. Pogardliwie uśmiecha się na widok jednej z nich, pomalowanej w czarno-białe krowie łaty, i czyta wypisane na niej imiona. Następnie dostrzega brązową na końcu rzędu. Na wieczku znajduje się napis „Walter”. Aż się zatrząsł. Jest napisane „A Walter”. A. Nie L. Więc... To Anton tu teraz mieszka? Odważny, jak na maminsynka, którego tak łatwo było oszukać dwa lata temu. Tak żałosny w poszukiwaniu ojcowskiej miłości i wyjaśnień. Ale... serio? Drapie się po karku i spogląda na dom tej starej kurwy po drugiej stronie ulicy. Tam również się świeci, jakby to była wigilia czy coś w tym stylu. Carl dostrzega sylwetkę poruszającą się za oknem. Ta locha na wózku inwalidzkim na pewno nie jest tak wysoka.

„Czy tam są wszyscy troje?”

Ta myśl sprawia, że zalewa go fala szalonego szczęścia, aż czuje ukłucie w żołądku. Jeśli okaże się, że to prawda, to znaczy, że dziś wszyscy bogowie się do niego uśmiechają.

Carl Walter szybko rozgląda się w obie strony, a potem podbiega skulony w kierunku domu Anne, pamiętając, by trzymać się blisko krzaków, które ludzie mają w ogrodach. Ma farta, że akurat tutejsi mieszkańcy chcą zachować jak najwięcej lasu na swoich działkach.

Odruchowo sięga do kieszeni spodni i dotyka w niej okrągłego metalowego przedmiotu, a jego plan powoli nabiera kształtów. Mógłby wprowadzić teraz wkroczyć do akcji i zabić całą trójkę naraz, ale to ryzykowne. Musi pamiętać do czego są zdolni, zwłaszcza Linn. Dwa lata temu dostał bolesną nauzkę. Nie, lepiej zaczekać na odpowiedni moment. Poobserwować ich, zanim zaatakuje, a potem zabić po kolei. Może wtedy uda mu się przeciągnąć to w czasie, tak jak o tym marzył. Jest to jednak balansowanie na krawędzi. Każdy gliniarz w Szwecji go ściga i nie ulega wątpliwości, że policja będzie teraz bardzo często patrolować ten rejon.

„Ale to nic. Mogą mnie znowu zamknąć. Bylebym tylko zdążył najpierw zabić tych zdrajców i wtedy będę w stanie znieść życie w Säter. Przynajmniej jeszcze przez kilka lat. Potem może uda mi się jeszcze raz uciec i od razu wyjechać z kraju”.

Choć jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, może zdoła zrobić to już teraz. To znaczy wyjechać z kraju. O ile go nie złapią. Najpierw zabije tych kapusiów, a potem wskoczy do pociągu... na przykład do Berlina.

Przed domem stoi mała, żałosna, czerwona toyota Anne z naklejką na przedniej szybie przedstawiającą wózek inwalidzki. Carl kuca niżej i powolnym krokiem pokonuje ostatni odcinek drogi. Znalazłszy się przy lewym przednim kole auta, wyjmuje lokalizator GPS, który Schinckel umieściła razem z in-

nymi rzeczami w wodoszczelnej torbie. „Bez zbędnych pytań”. Ona koniecznie chce opowiedzieć o życiu, zbrodniach i ucieczce Carla. I o życiu w Säter. On ją rozumie. Dzięki temu Schinckel znajdzie się w gronie najlepszych dziennikarzy w kraju. Zostanie obsypana prestiżowymi nagrodami dla reporterów i będzie zapraszana do programów telewizyjnych jako główny ekspert w kraju w sprawie Carla Waltera. Tego potwora, któremu ktoś z zewnątrz pomógł w ucieczce. Wszyscy będą podejrzewać Maleństwo. A Carl nie zaprzeczy. I tak ma już dość swojej żony.

Uśmiecha się szyderczo i mocno naciska małe magnetyczne pudełko. Wyjmuje telefon komórkowy, który Schinckel również włożyła do torby, i otwiera aplikację. Działa, jak powinno. Lokalizator pojawia się jako migająca czerwona kropka na mapie obszaru. Bateria wytrzyma kilka dni, co powinno wystarczyć. I przyda się tylko wtedy, gdy Anne będzie chciała uciec. Jeśli zostanie w domu, zadanie będzie łatwe.

Już ma wstać i podkraść się do kuchennego okna, gdy otwierają się drzwi wejściowe, więc Carl szybko kuca obok drzwi kierowcy. Okazuje się, że w bocznym lusterku toyoty jest w stanie zobaczyć schody. Kolejny raz przepelnia go wdzięczność do sił wyższych. Dziś naprawdę są po jego stronie.

Wychodzą z domu. Wszyscy. Najpierw ta zdzira, którą trudno mu nazwać córką.

„Co ona, do cholery, zrobiła z włosami?”

Chociaż to oczywiste. Trzeba przecież obowiązkowo ściąć włosy na jeża, kiedy wyszło na jaw, że jest się puszczalską lesbą. To kolejny powód, dla którego Carl nie chce zabierać się za wszystkich naraz. Ta stara suka, z którą Linn się rżnie, też musi dostać to, co jej się należy, jednak nie mieszka już pod starym adresem. Carl dopiero co tamtędy przejeżdżał i widział rodzinę z dziećmi, która zajmuje teraz tę dużą willę. Będzie musiał śledzić Linn, żeby się dobrać do tej siwej cipy. Coś mu mówi, że i ona, i Elena mają teraz ten sam adres.

– A teraz zrób to, o czym mówiłyśmy – odzywa się Anne z wózka inwalidzkiego tuż przed drzwiami wejściowymi, po uściskaniu Linn. Anton stoi obok niej, spoglądając na ulicę, jakby ojciec mógł czaić się za każdym krzakiem. Ta myśl bardzo rozbawiła Carla.

„Gdyby tylko wiedział!”

– Pewnie tak zrobię – mówi Linn. – Najpierw muszę jednak porozmawiać z Eleną. Może się okazać, że najbezpieczniej będzie zostać w domu. Mamy w końcu alarm i tak dalej.

„Cenne informacje” – stwierdza Carl.

Linn przechodzi między samochodami, żeby dostać się do swojej tesli, więc Carl musi przeczołgać się na przód toyoty, by go nie zauważyła.

W chwili, gdy Linn podchodzi do drzwi kierowcy, przystaje z ręką na klamce i prostuje plecy, czujnie się rozglądając.

„Czy ona mnie słyszała?”

Carl wstrzymuje oddech, będąc niecałe pięć metrów od niej. Czuje podniecenie pulsujące zarówno w klatce piersiowej, jak i w kroczu. Mógłby teraz skoczyć do przodu i skrócić jej kark. Widzi białka jej oczu lśniące w świetle księżyca.

„Jest naprawdę przerażona” – stwierdza w myślach z satysfakcją.

Po krótkiej chwili bezruchu Linn otwiera drzwi i wskakuje do samochodu. Macha po raz ostatni do Anne i Antona, którzy szybko znikają w domu. Carl będzie musiał potem się dowiedzieć, dokąd zamierzają się udać. Teraz najważniejszym zadaniem jest śledzenie Linn i sprawdzenie, gdzie ona i ta obrzydliwa suka imigrantka mieszkają. Pochodzi z Rumunii.

„Pewnie jest Cyganką” – myśli Carl, unosząc z obrzydzeniem górną wargę.

Linn wycofuje się z podjazdu i powoli dojeżdża do końca drogi. Carl szybko biegnie do samochodu, który ukradł z parkingu niedaleko Knutsbo. Będzie musiał się go wkrótce pozbyć, bo niedługo zaczął go szukać, o ile już tego nie robią. Jednak właśnie teraz go potrzebuje. Widzi, jak Linn skręca w lewo na końcu drogi. Czeka kilka sekund, po czym odpala samochód i rusza za nią.

Rozdział 23

Moa

Leo mówiła, że na polu za farmą w pobliżu Fjellie jest dobre miejsce, żeby poćwiczyć strzelanie. Po pierwsze, niedaleko znajduje się poligon, a po drugie, dwa koła łowieckie dzierżawią teren w okolicy. W wielu miejscach znajdują się ambony myśliwskie, więc odgłosy wystrzałów są tutaj czymś normalnym. Nie ma więc powodu, aby ktokolwiek na nie reagował. Przed wysokim ziemnym wałem w zagłębieniu terenu Leo postawiła drewniany koziołek z kilkoma pustymi aluminiowymi puszkami, żółtym melonem i jaskrawoczerwonym jabłkiem. Minęła trzecia po południu, a warunki atmosferyczne są idealne. Leo podaje Moi najłżejszy sztucer. Dziewczyna najpierw tylko wpatruje się w broń, robiąc wielkie oczy.

– Wspominałaś, że już kiedyś strzelałaś, tak? – mówi Leo.

Moa bierze się w garść.

– T-tak. Ale tylko z krótkiej broni. Rewolweru i pistoletu.

Leo patrzy z wyrozumiałością.

– Czyli z broni ręcznej. Strzelałaś z bliska, tak?

Moa przytakuje.

– Zgadza się.

– To niezupełnie to samo – zaczyna Leo, ponownie wyciągając do niej broń. Tym razem Moa ją od niej bierze. Jest trochę zaskoczona wagą.

– Widzisz z przodu taką grubszą rurę? To tłumik. Dlatego sztucer tyle waży. W tej chwili nie jest nładowany, więc nie ma powodu do nerwów. Bezpieczeństwo to podstawa podczas posługiwania się bronią, a dziś będziesz mogła spróbować sił w ładowaniu, żeby nauczyć się robić to prawidłowo. Dowiesz się, jak ładować, zabezpieczać i odbezpieczać, a potem sprawdzimy, czy łatwo ci pójdzie zrobienie dziur w tych rzeczach, które ustawiłam. Zaczynamy łagodnie. Piętnaście metrów. Tutaj... – pokazuje Moi, jak trzymać broń na ramieniu i zbliżyć do niej policzek. – Widzisz ten krzyż w celowniku?

Moa potrząsa głową przecząco.

– Wszystko jest czarne. Może nie jest włączony?

Leonora reaguje głośnym śmiechem.

– Nie trzeba go włączać. Jeśli widać tylko czarne pole w całości lub na brzegach, to dlatego, że źle trzymasz głowę. Spróbuj zbliżyć się do okularu lunety.

Moa przysuwa się bliżej, tak jak poleciła Leo, żeby oko znalazło się w odległości około siedmiu centymetrów od celownika, i nagle czarna plama znika.

– Teraz! Teraz widzę! – wykrzykuje podekscytowana.

– Świetnie – Leo klepie ją po ramieniu. – W takim razie opuść broń, żeby ramiona ci trochę odpoczęły, a ja w tym czasie ci pokażę, jak się ładuje. Po prostu wprowadzasz nabój do komory. Później pokażę ci magazynek.

Gdy Leonora wyjmuje z kieszeni pudełko z nabojami .22 Long Rifle, Moa zadaje pytanie, które nurtuje ją od wizyty w domu Lindströma.

– Co... co byście zrobiły, gdyby ktoś inny... no nie wiem... poszedł w wasze ślady?

– W nasze, Moa, nie „wasze”, tylko w nasze.

– Tak, oczywiście. W nasze ślady. Jeśli to ktoś inny zacząłby strzelać do mężczyzn, a może nawet udawał... że to my? Mówiłby, że jest Kobietą Laser czy coś takiego. Czy wtedy byłbyście złe?

Leonora wyjmując z pudełka błyszczący, złoty nabój z ostrą końcówką i wciska go w bok karabinu, po czym na chwilę przerywa. Zamek nadal jest odciągnięty. Kobieta parska śmiechem.

– Złe? Wręcz przeciwnie. To jest w pewnym sensie istota naszej rewolucji, nie uważasz?

– A jest tak?

– No więc... Nie chodzi o to, że chcemy wystrzelać wszystkich mężczyzn na świecie. Niezależnie od tego, co piszą o nas gazety, jesteśmy ludźmi, Moa, a odebranie komuś życia ma swoją cenę. Tak to już jest. Ty przecież też o tym wiesz, prawda?

Moa spuszcza wzrok i rysuje butem linię na ziemi.

– Tak, wiem. – Pociąga nosem. Z pewnością nie chce zacząć płakać przy tej wojowniczości.

– I dlatego – kontynuuje Leo i kładzie rękę na ramieniu Moi, ściskając je, ale nie w sposób agresywny, lecz raczej podnoszący na duchu – byłoby lepiej, gdybyśmy my kobiety, wszystkie kobiety, mogły dzielić ze sobą brzemię, czyż nie? Nie byłoby w tym nic złego. Wręcz przeciwnie, byłby to duży krok we właściwym kierunku. Pomyśl tylko... – patrzy przed siebie, gdzieś w dal, na pole. – Wystarczyłoby, że każda kobieta w kraju albo na całej tej pieprzonej planecie zamordowała jednego mężczyznę, to nikt nie musiałby tego robić więcej niż raz.

Moa nigdy nie myślała o tym w ten sposób, ale teraz wydaje się jej to oczywiste.

– Więc tego właśnie chcemy? Aby każda stała się... jak Valerie? Aby każda przeczytała manifest i stała się... falochronem?

– Właśnie tak – odpowiada Leo. – Nie ulega wątpliwości, że nasza ósemka nigdy nie zdoła zabić wszystkich mężczyzn na świecie. Za to jesteśmy w stanie zainspirować inne kobiety, by powiedziały: dość! Musimy je przekonać, by zaczęły podążać naszymi śladami. Żeby przejęły inicjatywę i też rozpoczęły egzekucję tych świń. Wyobraź sobie, co to by był za siostrzany pakt. Gdyby ktoś przejął pałeczkę, że tak się wyrażę, po tym, jak zastrzeliłaś ojca, i on byłby jedynym, którego musiałabyś zabić? Wiesz... na ziemi na każde sto kobiet przypada około stu dwóch mężczyzn. Niektórym z nich trzeba pozwolić żyć dalej, w przeciwnym razie ludzkość wymrze, mówiąc wprost. Jeśli zajdziemy tak daleko, będziemy starannie dobierać reproduktorów, biorąc pod uwagę ich zdolność podporządkowania się.

Moi podoba się ten pomysł. Gdyby wszystkie kobiety były w stanie pojąć i włączyć się do walki, Moa miałaby wszystko za sobą. Zrobiła już dwa razy więcej, niż musiała.

– Ale i tak dobrze jest umieć się posługiwać wszystkimi rodzajami broni – mówi Leo, zwalniając kurek. Podaje karabin Moi i pokazuje, by ponownie ustawiła broń w pozycji do strzału. – Bo to nie jest rewolucja, która przebiegnie pokojowo. Mężczyźni będą próbowali kontratakować, możesz być tego pewna. A niektóre kobiety nie będą umiały uwolnić się od patriarchy i staną po stronie mężczyzn. „Córeczki tatusia” do samego końca. Dlatego na początku może nawet trzeba będzie strzelać więcej.

Moa przelżyła slinę. Ustawia się do strzału i szuka melona w celowniku. Na początku nie będzie łatwo. Potem, gdy coraz więcej ludzi się o tym dowie i gdy prawie wszyscy mężczyźni zostaną zgładzeni, na świecie zapanuje spokój. Raj dla wszystkich kobiet.

Jakże ona wyczekuje tej chwili.

Rozdział 24

Linn

Linn prawie potyka się o Pana Syka, gdy w pośpiechu, z trudem łapiąc oddech, wpada do domu. Kot birmański w pełni zasługuje na swoje imię – syczy na nią ze złością, po czym wymyka się w ciemność Saxtorpsskogen i staje się jednym z wielu niewyraźnych cieni. Linn zdejmuje buty w korytarzu, zastanawia się przez ułamek sekundy, po czym uruchamia alarm zewnętrzny. Sygnał dźwiękowy potwierdzający, że urządzenie jest włączone, wcale jej jednak nie uspokaja.

„Jeśli zechce, to i tak nas zastrzeli. Pif-paf i już. Przez okno. Byłybyśmy martwe, zanim zorientowałybyśmy się, co się stało. Dlaczego, cholera, nie wstawiłyśmy kuloodpornych szyb?”

Linn bardzo się stara, żeby się nie kulic ani nie chować. Widzi swoje odbicie w oknie w korytarzu i zmusza się, żeby się wyprostować. Nie ma, kurwa, mowy, żeby przez tego drania bała się przebywać we własnym domu.

„Przecież on nawet nie wie, gdzie mieszkamy” – próbuje przekonać samą siebie i bierze kilka głębokich wdechów. Wyjmuje plastikowe pudełko z kieszeni kurtki, wiszącej już na wieszaku, i wkłada szetkę z nikotyną pod górną wargę.

– Elena? – pyta głośno, nasłuchując odgłosów w kuchni. – Kochanie?

Odpowiedź nadchodzi z wnętrza salonu.

– Tutaj.

Gdy Linn przekracza próg, Elena wstaje ze stołka przy pianinie, po czym chwiejnym krokiem podchodzi do niej i mocno ją przytula. Ostry zapach z jej ust niestety sugeruje, że jest zdołowana i znów zanurzyła się w butelce rumu.

„Zanurzyła – to za mało powiedziane. Wygląda na to, że wynajęła cholerną łódź podwodną i ma zamiar zbadać głębinowe grobowce”.

Czy Linn może ją za to winić? Próbuje to zignorować i po prostu przysuwa się bliżej. Czuje ciepło ciała kobiety, którą kocha, i wdycha jej zapach. Chłonie poczucie bezpieczeństwa płynące z jej objęć. Elena przytula się do niej i powoli gładzi ją po plecach.

– Cholera, co my teraz zrobimy? – mówi Linn cichym głosem. Jej twarz przylega do siwych włosów Eleny. Linn czuje napływające łzy, ale mocno zaciska powieki, by je powstrzymać.

Elena cofa się o pół kroku i odgarnia na bok kosmyk krótkiej, jasnej grzywki Linn. Ma wilgotne oczy. Zasnuła ją mgła alkoholu otepiającego zmysły. Choć może nie jest aż tak pijana, jak Linn sądziła na początku. Tylko lekko wstawiona. Może Linn powinna zrobić to samo? Wskazuje na butelkę stojącą na pianinie.

– Czy ja też mogę dostać? Dużo poproszę.

Elena jest wyraźnie zaskoczona, mimo że jej reakcja jest spowolniona. Podchodzi do kredensu, wyjmując kryształową szklankę, do której nalewa solidną porcję alkoholu i podaje ją Linn. Kilka kropeł spływa po zewnętrznej stronie szklanki i ląduje na drewnianej podłodze między nimi.

– Mnie już chyba wystarczy – mówi przeproszającym tonem Elena i opada na kanapę, trochę zbyt ciężko.

Linn zamyka oczy, opróżnia szklankę jednym haustem i od razu dolewa sobie więcej.

– Włączyłam alarm – mówi, a w brzuchu wybucha alkoholowa bomba, która pali ją od środka.

Elena z niepokojem spogląda w stronę okna.

– To dobrze – stwierdza. – Carl będzie musiał się mocno postarać, żeby nas znaleźć, nie sądzisz?
Linn robi, co w jej mocy, by przyznać Elenie rację.
– Niby tak... ale jednak... – milknie, siada obok Eleny i kładzie rękę na jej nodze. Elena bierze ją w swoją dłoń.

– Wiem – mówi Elena i wtula się w Linn. – Mówimy o Carlu. Już raz go nie doceniłyśmy.
– No właśnie. Ale... opowiadaj. Mówiłaś, że dzwoniли do ciebie z policji? Że coś znaleźli?
W tym momencie Elena otwiera szeroko oczy.
– Moa! – wyrzuca z siebie.
– Ale co?
– To chyba także jej problem, nie sądzisz? To wszystko. Że Carl uciekł, i ciało Roberta. W końcu to ona... no... wiesz.

„To Moa zastrzeliła Roberta. Więc to ona jest zabójcą, którego teraz będzie szukać policja”.

– Masz rację – mówi Linn, wygina ciało w łuk i sięga po telefon z tylnej kieszeni dżinsów. Kiedy Moa nie odbiera, Linn dzwoni do Jonny, która odzywa się po drugim sygnale.

– Linn, widziałam alert. A potem mówili o tym w wiadomościach. Mój Boże, jakie to straszne. Jeśli jest coś, co mogę zrobić, proszę, daj mi znać.

– Dzięki, Jonna, tak, oczywiście. A... czy masz tam gdzieś Moę?

– Tak – mówi Jonna z wyczuwalną goryczą w głosie. – Chociaż raz jest w domu. Ale nie wiem..., chyba ma kaca czy coś w tym stylu. Mówi, że jest śpiąca i źle się czuje.

– Czy możesz ją wysłać do nas? Musimy porozmawiać.

– Oczywiście, ale Linn... Czy mam się niepokoić?

„Czyż nie powinnyśmy my wszystkie?” – zastanawia się Linn, ale zamiast tego odpowiada coś wymijająco, tak, jak to się robi, żeby kogoś uspokoić, po czym Jonna obiecuje, że zaraz przyśle Moę bez względu na to, czy ma kaca czy nie.

Zaledwie pięć minut później słyszą otwierające się drzwi wejściowe oraz alarm, który sygnalizuje, że zostało czterdzieści pięć sekund, zanim zaczną wyć jak diabli. Potem z korytarza dobiega krótki sygnał dźwiękowy, gdy Moa wprowadza czterocyfrowy kod, do którego ona też ma dostęp.

– Jak zamkniesz drzwi, włącz znowu alarm, dobrze? – woła Linn w stronę korytarza, a po chwili Moa staje w drzwiach salonu. „Rzeczywiście wygląda jak cień” – myśli Linn.

– O rany – mówi Elena – wyglądasz na wykończoną, dziewczyno. Czy ty w ogóle coś jesz?

Moa wydaje z siebie krótki, szyderczy odgłos, coś pomiędzy śmiechem a parsknięciem.

– Jem. Mama na okrągło gotuje. Chyba próbuje w ten naprawić swoje krzywdy czy coś.

– Bo... naprawdę jesteś zbyt chuda – kontynuuje Elena, lekko cedząc słowa. – I przemęczona.

Moa rozgląda się po pokoju.

– Do twojej wiadomości: komentowanie wyglądu kobiet jest wyjątkowo niemodne. To się nazywa *body shaming*.

– Ach, w takim razie bardzo przepraszam – odburkuje Elena i przechyla głowę z boku na bok, unosząc brwi. – Naprawdę nic złego nie miałam na myśli.

– To nie twoja wina, tylko patriarchy. Gdzie jest kot? – pyta Moa, po czym podchodzi do nich i kolejno przytula. Odwzajemniają uściski, czując się niezręcznie.

Linn dobrze wie, dlaczego rozmawiają na zupełnie nieistotne tematy, jak jedzenie czy zwierzęta. Żadna z nich nie chce podjąć dyskusji o tej poważnej sprawie. O tej cholernie wielkiej sprawie, która właśnie się wydarzyła – katastrofie, która może oznaczać, że każda z nich znajduje się w niebezpieczeństwie.

„Koniec z tym” – postanawia.

Pochyla się do przodu, opierając łokcie na kolanach, w chwili, gdy Moa siada w fotelu naprzeciwko kanapy.

– Widziałaś alert? – Linn przechodzi do rzeczy. Uważa, że tak jest lepiej. Jeśli nie będą o tym mówić, dadzą Carlowi przewagę.

Moa natychmiast zaczyna gryźć paznokcie.

– Tak. A ten Martin był u nas w domu parę godzin temu. Powiedział, że będą tu jeździć radiowozami kilka razy dziennie. Nie wiem..., on pewnie poczeka, aż odjadą, i wtedy wykona ruch, no nie?

Linn drży na samą myśl, ale stara się trzymać emocje w ryzach, by nie wpaść w panikę.

– Nieee. Myślę, że ani ty, ani twoja mama nie musicie się martwić, Moa. Przecież to nie was... – milknie. Trudno jej wypowiedzieć słowa, które cisną się na język.

„Przecież to nie was chce zabić”.

Ale czy może być tego pewna?

Elena wsuwa rękę między poduszki i wyciąga nóż myśliwski z czarnym, ząbkowanym ostrzem.

– Nie jesteśmy całkiem bezbronne – mówi powoli. – Niech tylko przyjdzie, a mówię wam, zakończymy cały ten syf raz na zawsze. W tym domu znajduje się wiele rzeczy, których na pewno się nie spodziewa. Nie jak ostatnio, kiedy razem z tą idiotką mogli włamywać się do cudzych domów, jak im się tylko podobało, prawda? – odwraca nóż ostrzem do siebie i go dotyka.

Linn momentalnie zabiera go Elenie.

– Może zanim zaczniesz posługiwać się ostrymi przedmiotami, powinnaś nieco obniżyć stężenie alkoholu we krwi? Tak tylko mówię.

Elena otwiera usta, by zaprotestować, ale zaraz potem poddaje się i z nadąsaną miną odgarnia kosmyk włosów, który opadł jej na twarz.

– Dobra, dobra. Chodzi mi o to, że teraz mamy inne problemy, na które nie jesteśmy przygotowane tak dobrze, jak na powrót tego psychola.

Moa sztywnieje w fotelu.

– Co... czyli jest coś jeszcze, o czym nie wiem?

– Mhm – odpowiada Elena. – To, co uważałyście za moje paranoiczne fantazje. Chcę, żebyście to zapamiętały. Bo oto znalazłyśmy się w takiej sytuacji, której przez cały czas się obawiałam.

– Ale co? Chodzi ci o tego gościa z HA?

– Nie, nie – mówi Elena, machając ręką przed sobą. – Pieprzyć tego skurwysyna. To, o czym mówię, jest gorsze.

Moa przez chwilę wygląda na zdezorientowaną, po czym do jej mózgu dociera świadomość, co się musiało wydarzyć, i błednie. – O nie, czy to znaczy, że oni... czy oni...?

Elena odchyła się na kanapie, wpatruje w sufit i powoli kiwa głową.

– Tak.

Linn przesuwa dłonią po twarzy i bierze głęboki wdech.

– Znaleźli jego szczątki – mówi na jednym wydechu.

– Co?! – Moa wstaje i dopiero potem uświadamia sobie, o czym mowa. Kontynuuje z rękami wyciągniętymi przed siebie, żywo gestykulując: – Jacy oni? Jak to? Kurwa, co można tam było znaleźć po dwóch latach?

– Wystarczająco dużo, jak widać – mówi Elena gorzkim tonem. – Ale to nie tylko to.

– Co? – Linn odwraca się do niej, równie zaskoczona jak Moa.

– Linn, wiesz przecież, że chcę mnie zabrać na przesłuchanie.

– Przesłuchanie! – wykrzykuje Moa, z trudem łapiąc oddech, ale Elena podnosi rękę i kontynuuje:

– Myślałyśmy, że jesteśmy takie cholernie sprytne, pozbywając się samochodu i jego komórki oraz nosząc cały czas rękawice do naczyń i tak dalej, ale... – milknie i zapada się w sobie.

– Ale? – ponagla ją Linn, by mówiła dalej.

– Myśleliśmy, że mamy to pod kontrolą, ale... cholera... – Elena znów przerywa.

– Ale co? – syczy Moa po nieznośnie długiej chwili. – No mówże!

– Dywan – odpowiada słabym głosem Elena. – Zakopaliśmy ten pieprzony dywan razem ze zwłokami.

Przez jakiś czas w pokoju panuje cisza.

– W takim razie, chodzi o... dywan? – odzywa się Linn po chwili.

– Tak! Dlaczego w innym wypadku mieliby przesłuchiwać? Musieli w jakiś sposób dojść do tego, że jest mój. Przypuszczam, że znajdowały się na nim tysiące śladów DNA należących i do mnie, i do was. Skończę w więzieniu. Może tam umrę.

– No nie... no co ty... – mówi z niedowierzaniem Moa i siada z powrotem w fotelu.

Linn się zastanawia.

– Przyznam, że zgadzam się z Moą – mówi z ulgą w głosie. – To był zwykły dywan z Ikei, no nie?

W oczach Eleny pojawia się krótki błysk.

– Wielkie dzięki.

Linn uderza ją w ramię.

– Wiesz, o co mi chodzi. Mój Boże, jak ty mnie wystraszyłaś. Myślałam, że powiesz, że znaleźli coś... to znaczy coś ważnego. Ale... dywan? Ile takich sprzedano w Szwecji w 2014 roku?

– A co z DNA i tak dalej? Mam prawie sześćdziesiąt lat. Nie mogę, kurwa, iść do więzienia.

– Myślę, że nie musisz się o to martwić, kochanie. To wszystko leżało pod ziemią przez dwa lata. I cały czas miałyśmy na sobie rękawice do mycia naczyń.

Moa chichocze, wydając histeryczny dźwięk.

– Pamiętam je. W tych jaskrawożółtych gumowcach, sięgających aż do łokci, wyglądałyście karykaturalnie. Jak dwie gospodynie domowe-seryjne morderczynie.

– Oj, przestań – mówi Elena. – Rozumiem, że próbujecie mnie uspokoić, rozładować atmosferę i tak dalej, ale faktem jest, że chcę mnie przesłuchać. Mam przechłapanie.

Linn zamyślona głaszcze się po przedramieniu.

– Musieli oszacować wiek szczątków i wiedzieć, że mieszkałaś w tym domu w czasie jego śmierci. Nie da się dokładnie wskazać, kiedy to było. Tylko na filmach określają dokładny czas zdarzenia i takie tam. Przypuszczam, że będą mieli przybliżone informacje o tym, w którym roku zmarł, może o jakiej porze roku, ale to wszystko. Pewnie wystarczy, że zaprzeczysz, że w ogóle cokolwiek wiesz na ten temat, i ujdzie ci to na sucho. Czy oni wiedzą, kto tam leży?

– Nie – mówi Elena. – Ale to zapewne tylko kwestia czasu. Skoro da się znaleźć DNA starożytnych mamutów po dziesiątkach tysięcy lat, to zapewne można je pozyskać z dwuletnich szczątków kostnych, nie sądzisz? A wtedy mam przejębane. Dobra, teoretycznie ktoś mógłby zakopać zwłoki w moim ogrodzie, a ja tego nie zauważyłam, ale przecież to ciało jednego z moich pracowników. Tego nie odpuszczają. Nie ma szans. Wyląduję w kicju i to z hukiem. Następny przystanek: więzienie dla kobiet Hinseberg.

Moa wciąga powietrze, jakby chciała coś powiedzieć, ale wydaje się, że zmieniła zdanie i milczy. Wtedy odzywa się Linn:

– Skarbie, jeśli tak się stanie, to dowiem się w pracy, kto jest najlepszym adwokatem w południowej Szwecji. Chociaż nie sądzę, że będzie to potrzebne, ale gdyby się okazało, że tak, to coś wymyślimy. W tej chwili mamy nieco bardziej... palące problemy. Nie umniejszając znaczenia tego, co mówisz, ale... – wskazuje ręką w stronę okna. – No, wiecie.

– Jasne, że wiemy – szepcze Moa.

– Carl – mówi Elena, wymawiając to imię w taki sposób, że zabrzmiało jak zakaźna choroba wenezyjska.

– Chcesz pojechać do hotelu? – pyta Linn, podciągając nogi pod siebie na kanapie. – Możemy zniknąć. Całkowicie. Nie mówić nikomu, dokąd się udajemy. Powiem w pracy, że jestem chora, ty też, i potem już nas nie ma.

Elena drapie się w brew i kręci głową.

– Sama nie wiem. Czy to nie wydaje się zbyt podejrzane?

– Podejrzane? – dziwi się Moa.

– No tak, halo, słyszałaś, jak mówiłam, że wezwali mnie na przesłuchanie, bo w moim dawnym ogrodzie znaleziono ludzkie szczątki?

– Ach, racja – mówi Moa.

– No nieźle – kontynuuje Elena. – Zaraz po wezwaniu miałabym zniknąć bez śladu? Jak by to wyglądało?

– Wszyscy wiedzą, że Carl jest na wolności – próbuje przekonać ją Linn.

– Niby tak... ale mimo wszystko – mówi Elena.

Wszystkie wzdychają w tym samym momencie i rozmowa się urywa. Elena idzie do kuchni po szklankę wody. Moa wpatruje się w okno, które przed chwilą wskazała Linn, i wyraźnie się wzdryga. Linn czuje, jak dwie dość duże szklanki rumu robią swoje. Gdy Elena wraca, Linn ziewa, tak szeroko otwierając usta, że aż samą ją to dziwi. Oprócz szklanki wody Elena ma ze sobą paralizator.

– Czy ty, do cholery...? – pyta Linn bez tchu.

– Tak – odpowiada stanowczo Elena. – Zgadza się.

– Też przez Darknet?

– Tak, i nie jest to jedyna rzecz. Myślę, że nadszedł czas, abyśmy podzieliły się ze sobą tajemnicami i opowiedziały, co jest ukryte w tym domu.

– Właśnie, Linn. Ty masz przecież ten pistolet – mówi Moa.

Linn wypija kilka łyków wody. Kiwa głową.

– Okej.

– Masz rację, że moje przesłuchanie nie jest tak pilne, jak sprawa z Carlem – mówi Elena. – Ale nie chcę stąd uciekać, bo to będzie podejrzane. Gdy zaczną mnie podejrzewać, to będą próbowali udowodnić, że to ja zabiłam.

– Ale nie zabiłaś – mówi cicho Moa – bo to ja strzelałam.

Ani Elena, ani Linn nie reagują. Elena mówi dalej:

– Mamy tutaj całkiem sporo broni. Rzeczy, którymi możemy się obronić. Do tego alarm, kamery i pułapka z tyłu domu. A policja będzie regularnie patrolować naszą okolicę. Może najlepiej by było, żeby Carl się zorientował, gdzie mieszkamy, i tu przyjechał?

Podnosi paralizator przed sobą i naciska przycisk, tak że niebieska iskierka tańczy między elektrodami.

– Raz... na zawsze – mówi powoli Linn.

– Właśnie tak – zgadza się Elena. – Nasze społeczeństwo udowodniło, że nie jest w stanie go przypilnować. Nawet w najlepiej strzeżonym zakładzie psychiatrycznym w kraju. Więc może to jest jedyne wyjście?

– Co? – pyta Moa. – Czy mówimy o tym, że poczekamy, aż Carl się tu zjawi, i wtedy go zabijemy?

– Nie my – odpowiada błyskawicznie Linn. – Nie ty, Moa. Najlepiej, jeśli będziesz się trzymała jak najdalej od nas. Myślę, że ty i Jonna powinnyście pojechać do hotelu. Mama i Anton już uciekli. Tak będzie lepiej. Ale Elena i ja... – posyła Elenie pełne wdzięczności i miłości spojrzenie. – Może masz rację, kochanie. I jedno jest pewne, jeśli ojciec tu przyjdzie, a my go zabijemy, nikt nie waży się powiedzieć, że było to coś innego niż całkowicie uzasadniona i legalna samoobrona.

– Jak to, „nie my”? – mówi Moa urażonym tonem. – Zawsze robiłyśmy to wszystko razem, prawda?

Linn podnosi rękę.

– To był błąd, że dwa lata temu cię w to wciągnęłam. I jeszcze teraz z Lindströmem. W ciągu ostatnich dni dużo o tym myślałam. Byłaś..., jesteś dzieckiem, Moa. To nie jest w porządku. Musisz trzymać się z daleka, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana w ten czy inny sposób. Nie ma innej możliwości.

Moa wyraźnie chciałaby coś powiedzieć, jej twarz pochmurnieje. Kiedy ani Elena, ani Linn nie mówią nic więcej, zaciska pięści i wstaje.

– No to chyba ten dzieciak się stąd wynosi, skoro tak to ma wyglądać.

Zanim którakolwiek z nich zdążyła coś powiedzieć, Moa wyszła z domu, trzaskając za sobą drzwiami. Linn słyszy piszczenie alarmu, więc pospiesznie wychodzi na korytarz, by wprowadzić kod. Potem szybko ponownie włącza alarm. Przelewa jej się w żołądku.

Moa się wkurzyła. Nawet wkurwiła. Nic jednak na to nie może poradzić. Linn całą sobą czuje, że to słuszna decyzja. Lepiej dla Moi, jeśli się na nie ześlóści i będzie się trzymać od nich z daleka. Dzięki temu nie wplącze się w tę sprawę i zniknie groźba, że będzie zmuszona podjąć działania, które mogą ją całkowicie zniszczyć. Linn jest pewna, że nie może dojść do sytuacji podobnej do tej, jaka miała miejsce w wakacje dwa lata temu. Wszystko, przez co wtedy przechodziły, powoli niszczyło Moę. Linn to wie, nawet jeśli Moa nigdy się do tego nie przyznała. Jeśli oznacza to koniec ich dotychczasowej przyjaźni, niech tak będzie. Muszą być z Eleną na tyle dojrzałe, by to zrozumieć i mieć to samo zdanie w tej kwestii.

– Czy zgadzasz się ze mną, kochanie? – pyta, siadając ponownie obok Eleny na kanapie i bierze jej rękę.

Elena podnosi dłoń Linn i całuje jej palce.

– Oczywiście. Masz całkowitą rację. Tak będzie lepiej dla Moi bez względu na to, jak bardzo się na nas obrazi. Dobrze, że jej powiedziałaś, co myślisz.

– A co z Carlem?

Twarc Eleny posępnieje.

– Jest człowiekiem z krwi i kości, a nie nieśmiertelnym. Niech tu przyjdzie, mówię ci. Tym razem będziemy przygotowane. I tym razem nie przeżyje.

*

Dwie godziny później Elena siedzi przy kuchennym stole przed komputerem. Jak zwykle, czuje niepokój i nie może spać. „Niektórzy uznaliby, że to głupota” – myśli i wyciąga ukryte w szafce na środku czystości opakowanie po rozpuszczalnych tabletkach przeciwbólowych Treo. Zdejmuje białą plastikową zatyczkę i wyciąga na wpół wypalonego jointa. Zapach przypalonej waty cukrowej rozchodzi się w powietrzu jak oleista mgła.

Odkąd Linn dostała pracę w prokuraturze, znacznie rzadziej palą marihuanę, ponieważ Linn niemal w każdej chwili może zostać zmuszona do oddania próbek, a Elena nie lubi palić sama. Najczęściej odbiera to cały sens palenia, które wiąże się ze wspólnym chichotaniem, śmiechem aż do bólu brzucha. Ale dziś tak naprawdę bardziej chodzi jej o efekt odurzenia. Być może nigdy już nie będzie się śmiać. Tego wszystkiego jest po prostu za dużo.

Dobrze wie, co Linn o niej myśli. Słyszy te wszystkie złośliwe uwagi na temat picia i wyczuwa insynuacje w jej wypowiedziach. Może więc warto trochę urozmaicić sobie życie, gdy chcesz ukoić mózg chemicznymi substancjami?

Włącza wentylator w kuchni i zapala jointa. Mocno się zaciąga. Po chwili znowu bierze macha. Gdyby Linn nie spała tak głęboko na górze, pewnie poczułaby zapach skręta, ale już od godziny chrapie w sypialni, a ponadto Elena zamknęła drzwi i położyła bluzę przy szparze nad podłogą.

Czuje się trochę jak bandyta we własnym domu czy coś w tym stylu, ale... jest jak jest. Bierze jeszcze dwa głębokie machy i zatrzymuje dym w płucach, aż nie może już dłużej wstrzymać oddechu i robi wydech. Prawie nic się nie wydobywa. Momentalnie czuje mrowienie w mózgu, a gałki oczne zaczynają wirować. Kąciki ust wydają się lżejsze, a język jakby... mdła. Właśnie tego potrzebowała. Opłukuje wodą resztkę jointa i wkłada do woreczka, który zawiązuje i upycha na dnie kosza.

Potem wraca do komputera. Zamyka służbową skrzynkę mailową, pozostawiając otwarte tylko jedno okno przegladarki. Tym razem, gdy patrzy na ekran, nie jest tak zdenerwowana jak pięć minut temu. Kiedy zalogowała się na jednym z forów, albo... gdy raczej próbowała się zalogować, szybko okazało się, że nie może. Nazwa użytkownika i hasło nie działają. Początkowo myślała, że jest problem z serwe-

rem na stronie, ale kiedy to samo stało się na wszystkich innych forach, potwierdzają się jej najgorsze przeczucia.

„Coś się stało z kontem lonliboi_20”.

Słyszysz dźwięk komórki na stole kuchennym. Kolejny mail z pracy. „Cholera – myśli – czy oni sądzą, że jak jesteś szefem, to pracujesz o tej porze?” To ktoś z działu IT. Otwiera wiadomość i zaczyna ją czytać, jednocześnie czując, jak umysłowa ociężałość po wypalonej trawce ogarnia ją jeszcze bardziej. Piśsze krótką odpowiedź i od razu ją wysyła. Wtedy decyduje, że na tym kończy pracę. Teraz musi się dowiedzieć, co się stało, że nie może zalogować się na fora.

Po kilku próbach udaje jej się stworzyć użytkownika o statusie gościa i sprawdzić ostatni wątek ze swoimi komentarzami.

Tak, ten, w którym nazwała Sixtena Törnholma chadem i napisała, żeby FuckAlana się pieprzył. Krzywi się lekko, myśląc o tonie, którego użyła. Teraz jest dla niej jasne, że wypijała o kieliszek rumu za dużo. Zgrywała chojraka. Akurat na tym forum wielu pisze w podobnym tonie, dlaczego więc została zbanowana? Czyta dalej. Wychodzi z wątku i sprawdza pierwszą stronę. I wtedy cały świat jakby się nagle zatrzymał. Krew w jednej sekundzie mrozi się w żyłach, a to uczucie potęgują jeszcze substancje we krwi.

Widzi wątek o sobie, albo raczej o lonliboiu, zatytułowany: „Chora prawda o lonliboi_20”. Dodany dwa dni temu. Elena odchrząkuje, gdy mieszanina marihuany, adrenaliny i strachu przelewa jej się w brzuchu.

I już po przeczytaniu pierwszego akapitu, wymyka jej się ciche:

– O nie. Kurwa mać.

„Niedobrze. Tak, jakbyśmy nie miały dość problemów”.

Czyta dalej, czując naciągającą fałę mdłości. Lonliboi_20 stał się ofiarą tak zwanego doxingu. Został zdemaskowany. W ten sposób inni użytkownicy forum nie tylko dowiedzieli się, że za tym nickiem kryje się ktoś, kto skłamał na temat swojej tożsamości, ale też wspólnie postanowili ustalić, kto to jest. I w jakiś cholerny sposób im się to udało.

Wiedzą jak się naprawdę nazywa.

Gdy tylko incele zorientowali się, że to kobieta ich oszukiwała od tak dawna, kobieta, której się zwierzała, opowiadając o swojej niepełności, samotności, a także o planowanych morderstwach, wątek się urywa. Jedynym powodem, dla którego jeszcze się nie pojawili przed jej drzwiami z pochodniami i widłami, jest to, że dane osobowe i jej i Linn, dzięki sytuacji z Carlem, są chronione.

„Dzięki sytuacji z Carlem” – może to być najbardziej chora myśl, jaka kiedykolwiek przyszła jej do głowy. Tak właśnie jest. A zatem incele wiedzą, że to ona, Elena Covaci, stoi za nickiem lonliboi_20. To by było na tyle. Mimo że podżegają się nawzajem, nikomu nie udaje się dowiedzieć niczego więcej, poza tym, co już wiedzą. I poza rzeczami, które pojawiły się w mediach.

„SWECEL007: Spotyka się z tą jebaną feministką Linn Walter.

JONTE99: Szkoda, że jej ojcu się nie udało.

UGLY4LIFE: Ja pierdołę, jakie to upokarzające. Przegadało się z nią tyle nocy w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Czuję się, kurwa, zgwałcony psychicznie”.

I jeszcze jeden post z dzisiaj:

„Nie mów tak JONTE99, Carl Walter przecież zwiął. Domyślam się, że jest w drodze do niej do domu, do tej lewackiej dziwki w hipisowskim ubraniu, żeby zrobić z nią porządek raz na zawsze. Jeśli odpisze nam szczęście, to przy okazji zginie też ta stara zdzira”.

Trzydzieści pięć lajków pod przedostatnim postem. To właśnie ostatni wpis w tym wątku przyprawia Elenę o dreszcze. Został napisany zaledwie trzy godziny temu:

„Cóż, w takim razie musimy zdążyć przed nim. Szperajcie, moje małpeczki, szperajcie! Nikt się nie ukryje! Trzeba tylko dobrze poszukać. Dajmy jej nauczkę, tej pierdolonej kłamliwej suce”.

Elena odsuwa od siebie komputer, jakby mógł ją zarazić albo jakby mogli ją przez niego zobaczyć. Myśląc o tym, podnosi wzrok i zauważa, że lampka obok kamery internetowej w laptopie świeci na zielono.

„Co jest, kurwa?”

Ze zduszonym krzykiem zatrzaskuje pokrywę laptopa na tyle mocno, że słychać, jak pęka ekran.

Rozdział 25

Carl

Carl Walter ledwo może ustać w miejscu. Na lśniącym wilgocią asfalcie porusza stopami, wykonując gwałtowne ruchy przypominające taniec, i to nie dlatego, że na zewnątrz jest zimno, ale dlatego, że nie może uwierzyć własnym oczom. Nie może się nadziwić, jakie ma szczęście.

Trzy przylegające do siebie białe budynki w kształcie litery U mają monitoring – mała Linn i ta podstarzała suka nie pozostawiły żadnych wątpliwości. Duże znaki na bramie i drzwiach informują, że w tym miejscu odbywa się nagrywanie i przesyłanie obrazu na żywo do firmy ochroniarskiej.

„Nie trzeba mi aż tak schlebiać” – myśli i uśmiecha się kpiąco.

Droga, którą podążał za Linn po tym, jak opuściła dom Anne kilka godzin temu, nie była zbyt długa. Najwyżej kilometr. I oprócz tego mieszkają teraz zaledwie kilka domów od tej nastoletniej dziwki.

„Ona też dostanie za swoje”.

Widział Moę, gdy przyjechała do domu, i widział, jak chwilę temu z niego wyszła. Czuł nieodpartą pokusę, by od razu za nią pobiec i udusić ją już teraz, ale się powstrzymał. Pozostał w kryjówce za ogrodzeniem, przyglądając się Linn i Elenie, które siedziały na kanapie i popijały drinki. Wyobrażał sobie, co im zrobi, jak wejdzie do środka.

Ponieważ istnieje sposób, by się tam dostać. Zawsze jest sposób. Zdąży, nawet jeśli alarm się włączy. Kiedy mieszka się w takim miejscu, na obrzeżach większych miejscowości, przyjazd zajmie ochronie co najmniej dziesięć minut. Jeśli więc uda mu się je ogłuszyć, tak żeby straciły przytomność, będzie mógł wrzucić je do bagażnika i zawieźć gdzieś, gdzie nikt mu nie przeszkodzi.

„Może powinniśmy uczcić to spotkanie w starej chacie tego gliny pedofila? Podobno stoi pusta po tym wszystkim, co się tam wydarzyło”.

Uśmiecha się szyderczo. Gdy już ma się wspiąć przez płot, dostrzega światła samochodu dalej na drodze, za rogiem. Carl robi trzy szybkie kroki w prawo, wciska się w krzak rododendronu, który wystaje nad ogrodzeniem i prawie wychodzi na ulicę. Potem przykuca i tkwi w tej pozycji nieruchomo, gdy samochód powoli się zbliża.

Carl wstrzymuje oddech, widząc, że to radiowóz. Samochód zatrzymuje się przed bramą, a dwaj umundurowani policjanci w środku kiwają głowami w stronę domu i coś do siebie mówią. Radiowóz powoli przejeżdża wzdłuż ogrodzenia z jednej strony, a policjant na siedzeniu pasażera zagląda do ogrodu. Następnie skręcają i przejeżdżają jeszcze raz z drugiej strony ogrodu, również powoli.

Nie widzą jednak ukrytej sylwetki Carla Waltera.

Obserwują teren jeszcze przez chwilę i wydają się usatysfakcjonowani tym, że nic się nie dzieje, więc przyspieszają i odjeżdżają w kierunku Landskrony.

„Ta głupia cipa została już objęta nadzorem policyjnym. Teraz trzeba dokładnie przemyśleć plan działania”.

Podnosi się, wychodzi zza wielkiego krzaka i się otrzępuje, po czym cicho i szybko idzie w kierunku samochodu, który ukradł z podjazdu kilka przecznic stąd. Musi obmyślić plan działania, dokładnie i porządnie.

„Wkrótce, kurwa, się zacznie”.

Rozdział 26

Moa

Moa wysiadła z autobusu na Rådhusorget w Landskronie i ciężkim krokiem przemierza rynek. Lipy wokół placu są soczyście zielone, a z fontanny Västänvinden tryska woda, jak gdyby nigdy nic. Jeśli się nad tym zastanowić, jest to dziwaczna fontanna. Koń, który wyrzuca w górę kopyta jak oszalały, w dodatku z rybem ogonem, a na jego grzbiecie stoi nagi mężczyzna z małym penisem i ręką uniesioną niczym w pozdrowieniu „Heil Hilter”.

„Tę fontannę na pewno stworzył mężczyzna i również mężczyzna ją kupił, by stanęła tu, w centrum miasta”.

Moa idzie powoli przez plac, jakby ciało było świadome jej zamiarów i robi, co może, by ją powstrzymać. Moa jest pewna, że to jedyne wyjście. Mielila w głowie wszystko, co Linn i Elena powiedziały, leżąc na pościeli ze wzorem w konie w swoim dziewczęcym pokoju. Wałkowała myśli w tę i z powrotem, na zewnątrz i do wewnątrz, do przodu i do tyłu, w górę i w dół. I ciągle dochodzi do tego samego wniosku. Nie ma znaczenia, jak bardzo jest teraz na nie wkurzona.

„Tak właśnie musi być”.

Choć gdyby Veronica i reszta wiedziały, co Moa chce zrobić, pewnie by nią pogardziły. Ma wilgotne dłonie. Z tęsknotą spogląda na złożone stoliki i krzesła w mijanych kawiarnianych ogródkach, które już za miesiąc zapełnią się spragnionymi słońca ludźmi. Gdzie ona wtedy będzie? Prawdopodobnie w jakimś poprawczaku. Czy jednak na pewno? Chwiejnie stąpa po nierównym bruku i uświadamia sobie, że tak naprawdę nie ma pojęcia. Gdy googlowała, pojawiały się różne odpowiedzi.

„Nie mogę ponieść odpowiedzialności karnej ze względu na mój wiek. Tego jestem pewna na sto procent” – myśli, skręcając w ulicę Rådhusgatan. Widzi przed sobą biały budynek z niebiesko-żółtym napisem.

W miarę jak puls przyspiesza, jej kroki stają się jeszcze wolniejsze. Boi się, że przegapiła coś ważnego, jest bardzo zdenerwowana tym, co zamierza zrobić.

„Może powinnam była najpierw porozmawiać z Leonorą lub Veronicą”.

Brązowe drzwi są coraz bliżej. Wydaje się, że chcą ją połknąć. Albo wpuścić do środka, ale już nie wypuszczać. W pizzerii naprzeciwko komisariatu na schodach siedzi starsza pani z mnóstwem zniszczonych plastikowych toreb wypełnionych puszkami i uprzejmie podnosi rękę w stronę Moi. Moa macha do niej, ledwo zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje. Kręci jej się w głowie. Albo raczej dzwoni. Albo to i to. Jakby miała szumy uszne, ale w mózgu, a nie w uszach. Szumy w duszy.

Zatrzymuje się metr od wejścia i widzi w szybie własne falujące odbicie. Bez mocnego makijażu, z włosami zaczesanymi do tyłu, w niepodartych niebieskich dżinsach i czarnym T-shircie wygląda nieco grzeczniej niż zwykle. Wyciągnęła nawet stare konwersy i założyła je zamiast martensów. W końcu ci, którzy tu pracują, to tylko ludzie, cokolwiek by o nich nie myśleć, a ludzie to nieskomplikowane istoty. Kierują się uprzedzeniami. Nawet policjanci. Zwłaszcza oni. Jeśli Moa będzie wyglądać jak kłopotliwy dzieciak lub bezczelny bandzior, potraktują ją gorzej niż miłą i skruszoną dziewczynę, jaką teraz przypomina. Schludną, smutną, młodą dziewczynę.

„Miałam czternaście i pół roku. To nie była ani Linn, ani Elena. Więc muszę to dla nich zrobić – myśli i przełyka ślinę. – A może... nie powinnam się tym przejmować? Czy one w ogóle są tego warte? «Jesteś dzieckiem i powinnaś trzymać się z daleka». Co to w ogóle za tekst, do cholery? Działamy razem, jako zespół. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale chyba muszę im pomóc, skoro mogę.

Och, dlaczego to jest tak cholernie trudne?

Daj mi jakiś znak – myśli rozpaczliwie, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Czy mam zawrócić i mieć nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży? Nie przejmować się losem Linn i Eleny i przenieść się do Fjelle na zawsze? Czy raczej powinnam wejść do środka?”

Nagle z komisariatu wychodzi starszy mężczyzna o poważnym wyrazie twarzy w pomiętym, brązowym garniturze, ze stertą żółtych papierów w ręku. Zauważywszy Moę, przystaje i przytrzymuje drzwi dla niej w pytającą, ale życzliwą miną.

„Okej, dzięki” – myśli z goryczą.

W głębi duszy najwyraźniej liczyła na znak, który wskaże inny kierunek. Znak mówiący: „Czyś ty postradała zmysły? Natychmiast wracaj do domu”.

Ale jest jak jest. Moa na krótko zamyka oczy i lekko się chwieje na nogach, po czym przelika ślinę i uprzejmie kiwa głową do mężczyzny, próbując się uśmiechnąć, ale jej twarz jest tak nieruchoma, jak maska z twardego plastiku. Wchodzi przez drzwi przytrzymywane przez mężczyznę. W mrok. W niepewną przyszłość.

Gdy jest już w środku, wszystko w niej krzyczy, że to kompletnie poroniony pomysł. Że jeszcze nie jest za późno. Może powiedzieć, że się zamyśliła i weszła przez niewłaściwe drzwi.

Jednak ku swemu przerażeniu widzi, jak jej ręka sięga za klamkę i pociąga za kolejne drzwi. Ciemna marmurowa podłoga. Białe ściany. Mały wyświetlacz z kilkoma cyframi. „Aktualnie obsługiwany numer 043”. Jest tak, jakby świat docierał do niej w małych fragmentach. Krew tętni w uszach. Serce wydaje się uczestniczyć w kursie samby. Moa bierze się w garść. Idzie dalej. Następne drzwi, po lewej stronie. Gdy Moa wchodzi do recepcji, blondynka w policyjnym mundurze podnosi wzrok i spogląda na nią życzliwie.

Moa zatrzymuje się i rozgląda. Kobieta, wyglądająca na zmęczoną, czeka z numerkiem w ręku na ławce przy oknie. Są dwa okienka, ale tylko jedno jest czynne. Stoi za nim ta blondynka. Zmęczona kobieta wstaje i do niej podchodzi. Wrzuca numerki do małego pojemnika znajdującego się przy oknie. W szybie z pleksi pomiędzy kobietami są dwa małe otwory, jeden na górze, drugi na dole. Moa zakłada, że musi to być kuloodporna szyba. Chwiejnym krokiem podchodzi do maszyny z numerkami.

Jeśli chcesz wyrobić paszport, naciskasz jeden przycisk, w przypadku pozostałych spraw wciskasz inny. Może to właśnie powinna zrobić? Wyrobić paszport i wyjechać? Na Tahiti, na przykład. Może kurwić się na całym świecie, dopóki nie dotrze do celu. Veronica zapewniała ją, że to nietrudne. Sama jest żywym dowodem na to, że można zachować siebie, swoją duszę i godność, wyłudżając jednocześnie pieniądze od obleśnych typów za pomocą cipki.

Jednak ręka Moi wędruje w kierunku przycisku z napisem „Inne sprawy”, jakby żyła własnym życiem. Albo tak, jakby uważała, że wie, co jest dla Moi najlepsze.

„Zdrajczyni, kurwa” – myśli Moa.

Zmęczona kobieta rozmawia półgłosem z policjantką w okienku, więc Moa siada i zaczyna przeglądać leżące koło niej broszury, żeby próbować odegnąć natrętne myśli. Jedna z nich jest skierowana do kobiet, które są ofiarami przemocy domowej – musi się powstrzymać, by głośno nie parsknąć.

„Jasne. Kontynuujcie swoje bezsensowne działania. Jedynie Leonora z Falochronami pojęły, co tak naprawdę pomaga”.

– Halo? – Głos dociera do niej jak przez posępną mgłę. Moa podnosi wzrok.

– Co?

Policjantka wskazuje na wyświetlacz, na którym widać, że aktualnie obsługiwany jest numer 044. Moa wpatruje się w karteczkę w swojej dłoni. „044”. „O, cholera. Moja kolej”. Stara się uśmiechnąć i wstaje. W tym czasie zmęczona kobieta będąca przed nią w kolejce znika na zewnątrz w wiosennej aurze.

„Cały czas możesz to jeszcze zrobić – krzyczy jej mózg. – Po prostu odwróć się na pięcie, powiedz, że to była pomyłka i wyjdź. Co mogą ci zrobić? Przyskrzytnić za zmianę zdania?”

„Mówi się ARESZTOWAĆ” – słyszy, jak Linn mówi do niej tym swoim cholernym, wszystkowiedzącym tonem.

Moa nie może już zmienić zdania, bo stoi właśnie przed okienkiem, a policjantka przygląda się jej z zaciekawieniem.

– Witaj – mówi z mocnym akcentem z południowej Szwecji. – Mam na imię Jessica. W czym mogę ci pomóc?

– Ja... – głos jej się łamie, więc Moa musi odchrząknąć.

W oczach policjantki pojawia się coś nowego. Rozumie, że to musi być coś poważnego. To widać.

– Chcę zgłosić przestępstwo – wyrzuca z siebie Moa.

I właśnie wtedy, domyśla się po spojrzeniu Jessiki, że ją rozpoznaje. Jessica widziała już Moę wcześniej. Oczywiście, że tak. Tak jak wszyscy. Dwa lata temu. Moa, Linn i Elena były w każdej pieprzonej gazecie, bez względu na to, jak bardzo starały się ukryć. Dopiero gdy inna, jeszcze bardziej spektakularna sprawa przyciągnęła uwagę mediów, dali im spokój. Plebs jest zawsze złaźniony nowych, makabrycznych wydarzeń, którymi może się napawać.

– Co dokładnie chcesz zgłosić? – pyta policjantka Jessica, wyciągając formularz i kładąc go przed sobą na ladzie. Na jej twarzy maluje się współczucie. Jest jej żal Moi. Jakby to było oczywiste, że Moa jest ofiarą. Oraz dlatego, że Jessica nie ma pojęcia, co zaraz usłyszy.

„No i że jestem dziewczyną” – myśli ze smutkiem.

Moa pozwala trwać tej krótkiej chwili, kiedy policjantka okazuje jej litość. Potem zapada się w sobie, w tę kupę gówna, za którą od zawsze się uważała.

– Chcę zgłosić morderstwo – mówi, obserwując, jak policjantka blednie.

– Morderstwo?

– Tak. Chodzi o faceta zastrzelonego dwa lata temu. W Saxtorpsskogen. Wydaje mi się, że właśnie znaleźliście jego kości.

Spojrzenie Jessiki staje się jaśniejsze. Doskonale wie, o czym mówi Moa, i pochyla się bliżej szyby.

– Masz informacje o tym zabójstwie? – pyta z zainteresowaniem, ściskając ołówek w rękę. – Coś, co mogłoby nas doprowadzić do sprawcy?

Moi wrywa się jęk, gdy słowa wychodzą jej przez usta:

– Sprawca to kobieta. Ten mężczyzna został postrzelony w głowę. I to ja to zrobiłam.

Rozdział 27

Moa

Wszystko nagle potoczyło się w szalonym tempie. Jessica wpuściła ją przez ciężkie, metalowe drzwi do tajnych pomieszczeń w budynku policji. Miała wrażenie, jakby wchodziła za kurtynę Czarnoksiężnika z Krainy Oz. Tutaj nie ma jednak małego oszusta, który w samotności naciska pedały i dmie w miech. To miejsce tętni życiem. Policjantka prowadzi ją na trzecie piętro do biura, które – sądząc po tabliczce z nazwiskiem – należy do niejakiego Berntssona. Popieprzona sytuacja. Właśnie przyznała się do popełnienia cholernego morderstwa, a oni nie wsadzają jej do celi? Albo do takiego pokoju z lustrem weneckim na jednej ze ścian?

I nie tylko to. Zostawiają ją samą.

Moa z zainteresowaniem rozgląda się po pokoju. Zastanawia się, czy kiedyś był to gabinet Johana Kinnego. Przechodzi ją dreszcz. Był tu szefem. A ona – jedną z osób, które go wrobiły. Zginął, zanim go zamknęli, ale Moa chce wierzyć, że krzyczy całymi dniami w piekle, nabity na rozżarzony pal.

Ciche pukanie do drzwi. Do pokoju wchodzi policjantka Jessica, a za nią jakaś niższa kobieta. Smukła brunetka z kręconymi włosami, która całą sobą krzyczy: „Pracuję w opiece społecznej”. Moa jest trochę zaskoczona, że nigdy wcześniej jej nie widziała. Od tamtego lata, kiedy wszystko się zmieniło, a mama postanowiła wziąć się w garść, ma wrażenie, że babki z opieki społecznej stały się stałym elementem codzienności. A teraz, kiedy Carl Walter uciekł, wygląda na to, że media muszą opowiedzieć całą historię jeszcze raz. Albo sto razy. Widziała nagłówki gazet. Widziała swoje zdjęcia, kiepskiej jakości i była na nich dużo młodsza, no ale i tak – nagle jej twarz znów pojawia się w różnych internetowych serwisach informacyjnych i na stronach gazet, tak jakby ten koszmar nigdy nie miał się skończyć. Ale to nieprawda. Skończy się, a to, co zaraz zrobi, to duży krok w tym kierunku. Próbuje się uśmiechnąć do obu kobiet w pokoju, mimo że nie czuje się komfortowo.

– Cześć, Moa. To Linda z opieki społecznej. Będzie uczestniczyć w przesłuchaniu, które wkrótce się zacznie. Poinformowaliśmy również twojego prawnego opiekuna, to znaczy... mamę. Już tu jedzie.

– Jak to, do cholery!?! – Moa zdaje sobie sprawę, że krzyczy i ścisza głos. Wzdycha głębiej, niż płetwale błękitne nurkują. – Musieliście do niej dzwonić, cholera? Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Linda z opieki społecznej robi minę, którą, jak domyśla się Moa, zwykle przybiera w pracy. Z jednej strony – wyrozumiała, a z drugiej – niewzruszona.

– Moa – mówi, po czym podchodzi bliżej i kładzie jej rękę na ramieniu. – Jesteś niepełnoletnia. Mamy obowiązek ją o tym poinformować. Nieco później przyjdzie tu jeszcze jedna osoba, przedstawiciel prawny, występujący wyłącznie w twoim imieniu, ale dopóki ja jestem obecna, policja może przeprowadzić wstępne przesłuchanie. Czy rozumiesz?

– Przesłuchanie?

– Tak. Za chwilę przejdziemy do innego pokoju, a tam chciałabym usłyszeć wszystko, co masz do powiedzenia. Mamy też nadzieję, że twoja mama przyjedzie jak najszybciej. W porządku?

„Nie – chce krzyczeć Moa. – To wcale nie jest w porządku”. Przygotowała się psychicznie, by opowiedzieć – z pewnymi modyfikacjami – historię Roberta jednemu policjantowi lub dwóm. Ale w obecności matki?

„Po moim trupie”.

„Zaraz się załamie” – myśli, pocierając czoło, że aż parzy. Przełyka ślinę raz i drugi, ale to nie pomaga. W oczach i tak pojawiają się łzy.

– Przyniosę coś do picia i przygotuję pokój numer dwa, powinien być już wolny. Trzeba też ustawić kamery – mówi policjantka Jessica do Lindy. – Zaopiekujesz się Moą w tym czasie?

– Oczywiście – odpowiada Linda, ściskając Moę za ramię.

Moa czuje, że jednocześnie ma ochotę obrócić głowę i ugryźć Lindę w rękę, jak również przyłożyć do niej policzek i płakać dalej.

„Co ja, kurwa, zrobiłam?”

Rozdział 28

Fragment przesłuchania Moi Reimersson

PROWADZĄCY PRZESŁUCHANIE (PP): Musisz być zmęczona, Moa, to zrozumiałe. Być może trochę za długo cię przepytujemy, ale czy możesz jeszcze raz opowiedzieć ostatni fragment tej historii?

MOA: Jaki ostatni fragment?

JONNA: Czy to naprawdę konieczne? Powiedziała już wszystko, prawda, Lindo? Czy nie powinna teraz odpocząć?

PP: Za chwilę skończymy. Musimy tylko wyjaśnić kilka spraw, a potem możecie iść do domu i zatroszczyć się o siebie nawzajem.

MOA: W porządku... Ja... *(niesłyszalnie)* dam radę.

PP: Twierdzisz więc, że tego dnia, gdy Robert Berg przyszedł do domu Eleny Covaci, byłaś tam sama?

MOA: Tak.

PP: A gdzie była Elena?

MOA: Ona i Linn gdzieś wyjechały. Nie pamiętam dokąd, to było dawno temu.

PP: A ty miałaś pilnować domu?

MOA: Zgadza się. I... to było szczególne lato. Sam dobrze o tym wiesz. Twój pieprzony szef chciał nas dopaść, a tu, na posterunku nikogo to nie obchodziło, więc trzymałyśmy się razem. Spędzałyśmy ze sobą większość czasu.

PP: *(niesłyszalnie)*.

MOA: Co powiedziałeś?

PP: Nie, nic. Kiedy Robert dotarł na miejsce, miał przy sobie broń? Skąd ją wzięłaś?

MOA: Wolalabym nie mówić. Ale to była obrona konieczna.

PP: A groził ci, kiedy tam przyjechał?

MOA: Powiedział, że mnie zgwałci. I szedł prosto na mnie. Więc go zastrzeliłam.

PP: A potem pochowałaś go w ogrodzie Eleny Covaci, zupełnie sama?

MOA: Tak właśnie było.

PP: Rozumiesz chyba, że trochę trudno w to uwierzyć? To znaczy... Czternastoletnia dziewczyna sama przeciąga i zakupuje ciało dorosłego mężczyzny?

MOA: Możesz wierzyć, w co chcesz, ale tak właśnie było.

PP: Ale rozumiesz, że...

MOA: Słuchaj, ja rozumiem, że tutaj ludziom zwykle trudno uwierzyć w rzeczy, które robią lub opowiadają czternastoletnie dziewczyny. To nie pierwszy raz, prawda? Dlatego też nikt mi tu nie uwierzył, kiedy mówiłam o Johanie Kinnem, mimo że wysłałam wam cholerne nagranie, na którym słychać głos tego pieprzonego pedofila. Z tego, co wiem, tylko jedna osoba w całym tym głupim budynku rozumiała, co jest prawdą, a co nie. Ktoś, kto mi uwierzył. Gdyby nie on, ja, Linn i Elena byłybyśmy martwe. Może więc najwyższy czas, żebyście zaczęły wierzyć w to, co my, małe dziewczynki, wam opowiadamy?

LINDA: Myślę, że na tym dzisiaj zakończymy, Stefan. Jak sądzisz? Moa powinna teraz odpocząć i spędzić czas z mamą. Może wrócicie do tego jutro?

PP: ... (*nieślyszalnie*). Okej. Okej. Tak się umówmy. Przedstawiciel prawny się z tobą skontaktuje. Możemy kontynuować jutro.

LINDA: Dobrze. Jonna, Moa, czy chciałybyście porozmawiać ze mną na zewnątrz, zanim pojedziecie do domu?

MOA: Co? Do domu?

LINDA: A dokąd?

MOA: Czyli nie zamkną mnie w... poprawczaku?

LINDA (*śmieje się*): Nie, Moa. Nie byłaś pełnoletnia, gdy to się stało, a teraz masz dopiero szesnaście lat. Rozwiązanie tej sprawy jest kwestią współpracy między nami, pracownikami opieki społecznej a tobą i twoją mamą w pierwszej kolejności oraz między tobą a policją w drugiej. Możesz teraz jechać do domu. Umówimy się na kilka spotkań i porozmawiamy z twoim pełnomocnikiem. Dobrze?

MOA: Ale... przecież ja go zastrzeliłam.

PP: Na tym kończymy przesłuchanie. Jest godzina 17:32, przesłuchanie zostało odczytane i zatwierdzone zarówno przez Moę Reimersson, jak i jej opiekunkę prawną Jonnę Reimersson.

Rozdział 29

Linn

Linn leży w łóżku pod wciąż ciepłą kołdrą i wpatruje się w biały sufit z poczuciem winy wkradającym się do każdej komórki w jej ciele. Bez względu na to, jak bardzo się starała, nie miała siły iść dziś do pracy. To dla niej po prostu za dużo. Emocje zachowują się jak uciekinierzy z psychiatrika, a myśli błędą niczym zagubione duchy między teraźniejszością a przeszłością. Po raz pierwszy w życiu okłamała szefową. Korzysta ze zwolnienia lekarskiego, mimo że jest zdrowa.

„Jest w tym trochę prawdy – myśli. – Czy kiedykolwiek byłam całkowicie zdrowa?”

Przekręca się na bok, kładzie dłonie pod policzki i przygląda się białej poduszce, na której w nocy spoczywa głowa Eleny. Chociaż... ostatnio noce Eleny są o wiele dłuższe niż noce Linn. Minęło sporo czasu, odkąd kładły się spać o tej samej porze. Razem. Dochodzi do wniosku, że czuje się trochę samotna.

„Czy nasz związek... przeżywa kryzys?”

Ta myśl wydaje się tak absurdalna, że w pierwszej chwili Linn prawie śmieje się na głos, ale szybko zdaje sobie sprawę, że nie sposób się od niej uwolnić. Elena pije coraz więcej. I coraz częściej się zdarza, że Elena zamyka komputer, jakby coś ukrywała, gdy tylko Linn wchodzi do pokoju, w którym się znajduje. Nawet teraz, po tym, jak przyznała się, że zwykle surfuje po Darknecie i zamawia... różne rzeczy. Różne nielegalne rzeczy.

O tym też muszą wkrótce porozmawiać. O tym, co jest ukryte w domu w licznych strategicznych miejscach. Nie tylko Elena rozkłada drobne zabezpieczenia tu i ówdzie.

Linn znów się odwraca i wzdycha. Splata ręce na brzuchu. Skoro i tak nie idzie do pracy, chciała się trochę powylegiwać, ale ta relaksująca czynność została zawłaszczona przez jej tendencje do roztrząsania najróżniejszych spraw.

„Daj spokój – słyszy swój mózg – przecież mówimy tu o Elenie. Dlaczego po prostu jej nie zapytasz? Ona cię kocha. Ty kochasz ją. W takim razie ze wszystkim sobie poradzicie”

„To prawda” – decyduje. Najgorsze, co Linn może zrobić, to snuć domysły. Tworzyć w głowie scenariusze, które najprawdopodobniej są całkowicie błędne. Teraz, po raz pierwszy w dorosłym życiu jest w prawdziwym związku z kimś, kogo kocha, więc musi zachować się dojrzałe i z miłością. Wystarczy to przegadać, tak jak to robią w filmach.

W momencie, gdy zsuwa nogi z łóżka, dzwoni jej prywatna komórka na ciemnobrązowej szafce nocnej. Na ekranie wyświetla się nazwisko szefowej. Linn wzdycha, ale domyśla się, że może być pomocna, odpowiadając na różne pytania dotyczące sprawy, nawet jeśli przebywa dziś formalnie na zwolnieniu. Świadomie wyłączyła telefon służbowy poprzedniego wieczora, dzięki czemu poczuła się tak, jakby zabrano tysiąc ton z jej barków.

– Cześć, Ulrika – odzywa się Linn, starając się brzmieć, jakby była chora. Mówi lekko zachrypniętym głosem i trochę wolniej niż zwykle. Na koniec pociąga nosem.

„And the Oscar goes to...” – uśmiecha się do siebie w myślach. Kiedy jednak po drugiej stronie słuchawki słyszy zatroskany i stonowany głos szefowej, zamiera w bezruchu. To oczywiście, że dzieje się coś poważnego.

– Linn – zaczyna prokurator naczelna Ulrika Rönn. – Jak się czujesz? Mam nadzieję, że nie jest z tobą bardzo źle? Wygląda na to, że w całym komisariacie szaleje jakiś wirus.

– Nie jest najgorzej – odpowiada Linn, prychnąwszy po raz kolejny. – Ale nie chcę nikogo zarazić, więc uznałam, że najlepiej będzie, jak zostanę w domu, dopóki nie wyzdrowieję.

– Mądrze – odpowiada Ulrika Rönn. – Ale nie po to dzwonię.

„No raczej, przecież to słyszę” – myśli Linn, zaciskając powieki.

– Ach, tak? – stara się zachować spokojny i neutralny ton.

– No bo ja... – głos Ulriki cichnie. Najwyraźniej szuka odpowiednich słów. Już samo to uruchamia w głowie Linn miliony syren alarmowych. Ulrika Rönn nie jest osobą, która musi szukać słów. Nigdy.

– Czy coś się stało?

– Na moje biurko trafiła nowa sprawa... i to raczej... delikatna. Właściwie tylko zostałyśmy o niej poinformowane, bo to nie nasza działka, ale...

„O mój Boże. Co ona bredzi? To musi być naprawdę poważna sprawa”. Linn wstaje z łóżka i zupełnie zapomina, że ma mówić zachrypniętym głosem i pociągać nosem.

– Ulrika – odzywa się Linn. – Powiedz mi, co się dzieje. Czy chodzi o mojego ojca? Ktoś go widział? W tym momencie przychodzi jej do głowy coś jeszcze gorszego i wpatruje się w pustą połowę łóżka.

– A może coś z Eleną? – W głosie słychać panikę.

– Z Eleną? – pyta Ulrika zaskoczona. – Cóż, można tak powiedzieć... w pewnym sensie. Jednak zupełnie.

– Do cholery, Ulrika, przestań mówić zagadkami i powiedz mi, co się stało! – Linn nie miała zamiaru podnosić głosu, ale dociera do niej, że właśnie to zrobiła. Na wszelki wypadek kaszle. – Przepraszam, ja... Czy możesz mi po prostu powiedzieć, co się dzieje?

– Poinformowano mnie, że Moi Reimersson został przydzielony przedstawiciel prawny.

„O nie, co ona znowu narobiła?”

Linn próbuje zebrać myśli i wpatruje się w las za oknem. Jest wcześniej rano, co można poznać po mgłę, która jak wilgotny welon snuje się między gałęziami. Podczas gdy Ulrika Rönn wyjaśnia, co się stało, Linn znowu siada na łóżku, a w jej ciele wszystko wiruje jak dzikie tornado.

„Ja pierdolę”.

*

Po odłożeniu słuchawki Linn zbiega po schodach do salonu, gdzie na kanapie pod kocem śpi Elena. To, że jedna z nich tu śpi, nie wróży dobrze ich związkowi, ale szybko odsuwa od siebie tę myśl. Mają teraz większe problemy.

– I co teraz będzie? – pyta Elena, gdy Linn streściła jej wszystko, czego dowiedziała się od szefowej. Elena odgarnia rozczochrane włosy do tyłu i skręca je w kok na karku. Ziewa. Marszczy nos, gdy czuje własny oddech.

– Wezwą cię na przesłuchanie, ale to już wiesz. Na szczęście mam dostęp do tego, co Moa powiedziała, gdy przyznała się do winy i... – Linn się waha. – Właściwie najlepiej będzie, jeśli nie będziemy jej przeszkadzać.

Elena podrywa się z miejsca i kręci głową tak mocno, że włosy znów się rozplątują.

– Nie przeszkadzaj... czy ty zwiariowałaś?

– Nie. Może to brzmi absurdalnie, ale Moa rzeczywiście mogła wpaść na rozwiązanie, które pozwoli wszystkim, w tym tobie i mnie, jak najszybciej zapomnieć o śmierci Roberta.

Elena ciężko wzdycha, kładzie nogi na kanapie i obejmuje kolana ramionami. Spogląda w sufit.

– Byłoby fantastycznie. Chyba nie możemy jednak pozwolić, żeby sama się tym zajęła? Jakie z nas byłyby przyjaciółki?

Linn przygryza dolną wargę, po czym odpowiada:

– Ale to Moa strzelała. – Nim Elena zdążyła zaprotestować, Linn unosi dłoń i szybko kontynuuje: – To może być również... nie wiem... uzdrawiające. Przyznać się i wziąć odpowiedzialność za to, co zrobiła. Nie skłamała, mówiąc, kto zastrzelił Roberta. Nie powiedziała jedynie, kto był wtedy na miejscu zdarzenia.

Elena mruży oczy.

– Więc co powiedziała?

– Że opiekowała się domem i że nie było tam ani ciebie, ani mnie. On tam przyszedł, próbował ją zgwałcić, a ona go zastrzeliła.

– A potem?

– Potem go pochowała, zanim wróciliśmy do domu, i nikomu nie powiedziała o tym ani słowa.

Elena prychna.

– Czyli co? Była czternastolatką z supermocami, czy jak? Pamiętasz, ile czasu zajęło pochowanie tego pieprzonego gnoja? Jak ciężki był? A robiliśmy to razem, we trójkę.

– No wiem, wiem... Ale Moa trzyma się twardo tej wersji. Może i jest to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. I myślę, że do tego się to wszystko sprowadzi. Nie jest niemożliwe, że było tak, jak ona mówi. O ile jesteś w stanie potwierdzić, że tego dnia byliśmy gdzieś indziej, że nie było nas bardzo długo... nawet do następnego dnia. Możemy po prostu powiedzieć, że byliśmy u mnie. Więc jeśli będziemy mieć alibi i powiemy dokładnie to samo, co Moa podczas przesłuchania, to...

Elena jej przerywa:

– Wtedy Moa zostanie skazana za morderstwo i trafi do jakiegoś gównianego poprawczaka, gdzie się nauczy, jak zostać prawdziwym przestępcą i nigdy nie dostanie normalnej pracy, i...

Linn ponownie ją ucisza, podnosząc rękę.

– Nie, właśnie o to chodzi, kochanie. Tak nie będzie.

Elena przekrzywna głowę. Ma bardziej intensywne spojrzenie, jakby się obudziła.

– Jak to nie?

– No nie. Ponieważ Moa nie była pełnoletnia, gdy strzelała, a ostatecznie tylko to się liczy. Rozumiesz? Miała czternaście lat. To oznacza, że sprawa zostanie przekazana opiece społecznej. W przypadku młodocianych przestępców czasami dochodzi do symbolicznego procesu, w którym stwierdza się winę, ale nie wymierza prawdziwej kary. Moa zostanie przekazana opiece społecznej, będą za nią odpowiadać. Oni z kolei ocenią, czego Moa potrzebuje – może umieszczenia w jakimś zakładzie, ale najprawdopodobniej po prostu... zapewnią jej pomoc. Rozmowę. Grono osób, które będą nad nią czuwać do ukończenia osiemnastego roku życia, starając się jak najlepiej nią pokierować. Wszystko zależy od jej obecnej sytuacji, a dobre jest to, że opieka społeczna w Landskronie ma już rozeznanie w sprawie Moi i Jonny. Obserwowali je, odkąd... no tak, od czasu, kiedy to wszystko się wydarzyło. Wiedzą, że Jonna się zmieniła i teraz jest dobrą matką. Nie wiedzą, jak wygląda życie Moi, ale jeśli się dowiedzą, to... cóż, wyjdę teraz na totalną świnię... ale może tak będzie najlepiej dla Moi?

Elena odchyła się na kanapie i mocniej owija koc wokół nóg.

– To znaczy, jeśli dobrze rozumiem, że jedyną konsekwencją dla Moi po przyznaniu się do pieprzonego morderstwa jest... pomoc?

– Tak. Jak sądzisz, dlaczego gangi przestępcze werbują jedenasto- i dwunastolatków, by popełniali dla nich coraz poważniejsze przestępstwa? Właśnie z tego powodu. Nie można ich ukarać. Nie w taki sposób, w jaki można ukarać osoby powyżej piętnastego roku życia. A już na pewno nie tak, jak dorośli.

– To całkiem ... – Elena nie potrafi znaleźć słów. Powoli potrząsa głową.

– To całkiem słuszne, powiedziałabym – wtrąca Linn. – Nie można karać dzieci za to, co robią, w ten sam sposób jak dorosłych, którzy mają w pełni rozwinięte mózgi, są dojrzały i tak dalej. Moa będzie więc musiała chodzić na spotkania i pewnie uczestniczyć w zajęciach grupowych, a także regularnie odwiedzać psychologa. Jeśli poważnie myśli o tym, żeby nie pójść do szkoły średniej, powinna również

skorzystać z pomocy doradcy życiowego lub zawodowego. Tak więc... zdawała sobie sprawę, że jej nie zamkną, bo jest niepełnoletnia, ale prawdopodobnie nie przewidziała całej tej karuzeli interwencji publicznych, które uruchomi. Interwencji, które leżą w jej interesie. Karuzela pomocy, która zapewne powstrzyma ją przed włóczęństwem się po Kopenhadze, pić i zadawaniem się z prostytutkami. Elena... Moa, nie będąc tego świadoma, znalazła najlepsze rozwiązanie dla siebie, dla ciebie i dla mnie. Musimy się tylko upewnić, że wszystko, co mówimy, jest zgodne z tym, co ona mówi.

Elena wstaje i podchodzi do okna, przy którym leży Pan Syk i wpatruje się w las.

– Jesteś tego pewna? – pyta, próbując pogłaskać kota po plecach.

Pan Syk najpierw leży spokojnie, więc Elena głaszcze go drugi raz. Wtedy kot zaczyna powoli udeżać ogonem z boku na bok. Kiedy Elena podnosi rękę, by pogłaskać go po raz trzeci, zwierzak zeskakuje z parapetu i znika w kuchni, wyraźnie zirytowany.

– Jestem całkowicie pewna – odpowiada Linn. – Na tyle, na ile mogę być. Sprawdziłam to, rozmawiałam z jednym z moich dawnych nauczycieli, a nawet zadzwoniłam do obrońcy, który został wyznaczony na pełnomocnika Moi. Oczywiście nie ujawniając czegokolwiek o nas. Jedynie zadawałam pytania jako przyjaciółka Moi.

– Czyli będą ją zmuszać do wizyt u psychologa, czy tego chce, czy nie? – zastanawia się Elena, przeciągając się. – I śledzić na bieżąco, co Moa robi i tak dalej?

– Prawie na pewno.

– No to... może masz rację – stwierdza Elena, podchodząc do kanapy. Pochyla się i całuje Linn w usta.

Linn jak zawsze natychmiast czuje w środku małe fajerwerki. Odwzajemnia pocałunek i się uśmiecha.

– Myślę, że powinna pani umyć zęby, pani Covaci.

– A pani Walter powinna się uczesać – mówi Elena. – Widziałas swoje włosy? Jak sterczą we wszystkich kierunkach? Jeśli podskoczysz dość wysoko, to pewnie przykleisz się do sufitu.

Linn śmieje się głośno.

– A tak w ogóle – kontynuuje Elena – nie spałam w nocy. – Przerывa, jakby musiała się zastanowić, po czym zaczyna mówić dalej. – Paliłam też trochę. Tylko kilka machów. Wiem, że ci się to nie podoba ze względu na twoją pracę i tak dalej, ale nie chcę cię okłamywać, okej?

– O... kejs – odpowiada przeciągle Linn. Czy to jest ten sekret, o który podejrzewała Elenę? To, że nadal czasami pali marihuanę? Linn oddycha z ulgą. Z tym z pewnością może żyć.

– Przeglądałam różne wiadomości w necie i wygląda na to, że policja jest na złym tropie z tym Lindströmem... *Inshallah*.

– *Inshallah* – Linn kręci głową i się uśmiecha. – Tak, też to widziałam. Pracują nad teorią, że zabił go konkurencyjny gang.

– W pewnym sensie tak było – mówi z szelmowskim uśmieszkiem Elena.

– Czy to jest to, czym my jesteśmy? Gangiem? – parska Linn.

– A czy nie tym właśnie jesteśmy? W każdym razie Hells Angels zadarli z wieloma ludźmi. Czuałam pewien niepokój od tamtej nocy, ale... myślę, że nam się uda.

– Wygląda na to, że mamy szczęście na wielu frontach. Chociaż raz – mówi Linn z namysłem i natychmiast ogarnia ją złe przecucie, które uderza ją od środka swoim zimnym, wilgotnym pyskiem.

„Cholera. Zawsze, kiedy WŁAŚNIE tak myślisz, wszystko zaczyna się walić”.

Rozdział 30

Leonora

Malmöhus, najstarszy zachowany w Skandynawii renesansowy zamek, jest zachwycającą budowlą. Leonora musi to przyznać, choć z pewnością został zaprojektowany i zbudowany przez mężczyzn. Niektóre części rdzawoczerwonego zamku powstały już w XV wieku i mimo że jest tak ogromny, znajduje się praktycznie w środku miasta. Rozciągający się obok park Slottsparken jest według Leonory najpiękniejszym miejscem w Malmö.

Po atmosferze panującej w muzeum można poznać, że na przełomie XIX i XX wieku zamek służył jako więzienie. Atmosfera ta wciąż emanuje ze ścian, przypominając o cierpieniu i śmierci. Ostatnią osobą straconą w tym miejscu był bandzior Lars Nilsson, ścięty w 1900 roku.

Leonora podaje Bahar strzelbę, jednocześnie żałując, że nie żyła w tamtych czasach i nie mogła zobaczyć ścięcia głowy na żywo.

Lars Nilsson, znany również jako morderca z Löderup, to sławne nazwisko. Ma własną stronę w Wikipedii. Natomiast sprzedawczyni Katarina Romar – kobieta, którą zabił, najpierw wbijając w nią dłuto, a potem podpalając ją w domu – takiej strony nie ma. „Tak to zwykle bywa” – myśli z goryczą Leo, krygując strzelbę na ramieniu Bahar.

Nadszedł czas, by „ogolić” następnego mężczyznę. Czas na ponowną egzekucję mężczyzn w Malmöhus.

Dla kata Andersa Gustafa Dahlmana, który ściął głowę mordercy z Löderup, Nilsson był czwarty.

W przypadku Falochronów nadszedł czas na piątą i szóstą ofiarę. I jest to wielki dzień. Zarówno Bahar, jak i Veronica doświadczą dziś wyjątkowego uczucia. Poczują smak krwi. Są gotowe, a jeśli choć trochę ją przypominają, po tym wszystkim będą pragnęły więcej.

– Co mam zrobić, jeśli spudłuję? – pyta Bahar, patrząc przez lunetę celowniczą.

Wdrapały się na zaśnieżony miedziany dach i leżą schowane za kalenicą. Leo dziwi się, że mewy nie zasrały tego miejsca. Nic nie zakłóca widoku na dziedziniec, po którym przechadzają się tłumy ludzi nieświadomych chaosu, jaki wkrótce wybuchnie w ich małym, bezpiecznym świecie.

– Kiedy zaczniesz strzelać, strzelaj, dopóki ofiara nie padnie, nawet jeśli pozycja strzelecka nie będzie idealna – odpowiada Leonora, czując dumę, że może przekazać mądrość łowiecką, której nauczyła ją matka.

– A potem? – pyta Veronica, która leży obok Leonory i wyraźnie drży. Jakby otaczała ją aura małych eksplozji. Niebo nad nimi jest intensywnie niebieskie z pojedynczymi kredowobiałymi chmurami. Słońce pieszczotliwie grzeje je w plecy, widocznie sam Bóg pochwała to, co mają zamiar zrobić.

„Jeśli Bóg istnieje – myśli Leo – to jest po naszej stronie”.

Leonora śmieje się cicho i klepie Veronicę po ramieniu.

– Jak Bahar będzie musiała opróżnić magazynek, to ja włożę nowy. Ty masz się skupić się na własnym strzale. Będziemy miały dużo czasu. Zawsze tak jest. Twój strzał będzie trudniejszy, ponieważ gdy ofiara Bahar upadnie na ziemię, na dole wybuchnie panika. Kulochwyty jest dobry, podobnie jak kąt nachylenia. Ale musisz być bardzo ostrożna, gdy będziesz oddawać strzał. Poruszająca się ofiara jest trudniejsza do namierzenia niż nieruchoma. Istnieje też ryzyko, że w polu ostrzału znajdzie się kobieta lub dziecko. Wybieraj więc dokładnie, ale szybko.

Veronica kiwa głową z powagą, oblizuje przednie zęby, cmoka językiem, a następnie z powrotem spogląda w dół na dziedziniec.

– Wypatrzyłaś kogoś? – pyta Leo.

Bahar odsuwa głowę od okularu i kiwa głową w stronę dziedzińca.

– Widzicie tych kolesi w podobnych koszulkach? Tych, co siedzą w rządzie, jak ptaki na liniach wysokiego napięcia? Jak to się mówi po angielsku? „Like ducks in a row”, jak kury na grzędzie?

Obie, Leo i Veronica, szukają wzrokiem potencjalnych ofiar na rozgrzanym słońcem, brukowanym placu. Potem Veronica uśmiecha się szyderczo.

– No tak – mówi. – Myślę, że też wezmę jednego z nich.

Daleko w dole, tyłem do nich pięciu mężczyzn siedzi na niskim kamiennym murku. Coś jedzą. Są trochę bardziej hałaśliwi niż inni zwiedzający, a ruchy ich ciał – nieco bardziej nieskoordynowane. Mają na sobie czarne koszulki z identycznymi napisami na plecach: „Wieczór kawalerski Björna 2016”.

– Mam nadzieję, że uda mi się wybrać tego pieprzonego Björna – mówi Bahar przez zaciśnięte zęby. Następnie przygotowuje się do strzału.

Leonora obserwuje ją z boku. Widzi, jak skrupulatnie postępuje zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Veronica nie ma własnej broni i będzie strzelać z tej samej co Bahar, żeby media i policja mogły nadal wierzyć, że chodzi o jednego i tego samego sprawcę. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Później, kiedy członkinie Falochronów udowodnią, że potrafią strzelać, będzie można je wysyłać w różnych kierunkach i przeprowadzać zsynchronizowane akcje w wielu miejscach.

Leonora czuje, jak cały jej układ nerwowy śpiewa. Ona też staje się eksplozją. To niemal erotyczne uczucie.

Ten dzień jest bliżej, niż można podejrzewać. A to będzie dopiero początek.

Kiedy Bahar naciska spust, ledwie widać ruch dłoni. Strzał jest dla niej zaskoczeniem, tak jak powinno być. Chociaż oczywiście... nikt nie będzie tak zaskoczony jak Björn – gwiazda wieczoru kawalerskiego.

Który nagle stracił pół czaszki.

Rozdział 31

Elena

Po długim, gorącym prysznicu Elena nie ma już wrażeń, że wszystko wymyka się spod kontroli. Siedzi z wilgotnymi włosami przy kuchennym stole. Krople wody spływają po plecach. Zastanawia się, czy powinna włączyć komputer. Może lepiej pieprzyć to wszystko... raz na zawsze? Przechodzi ją dreszcz, gdy wilgoć przesiąka przez białą koszulkę. Lodówka cicho brzęczy, a z zewnątrz dobiega śpiew jakichś małych ptaków, na które chrypliwie skrzeczy sroka.

Nie można jednak wylogować się na zawsze... ze względu na pracę i inne sprawy. Prawdą jest, że w ciągu ostatnich dwóch lat przekazała wiele zadań innym pracownikom do tego stopnia, że niektórzy zarzucają jej, że jest nieobecny szefem, choć cały świat wie, co się stało w obskurnej kryjówce Johana Kiniego, na co została narażona i czego była świadkiem. Z tego powodu większość ludzi nie jest w stanie oceniać jej tak surowo jak innych.

„Może powinnam przejść na wcześniejszą emeryturę?”

Ma pieniądze. I choć Linn zdaje się o tym zapominać, jej sześćdziesiąte urodziny wypadają już za kilka dni. To nie wymagania zawodowe jednak sprawiają, że waha się przed włączeniem komputera. Po tym, jak niedawno nagle zapaliła się zielona lampka obok kamery internetowej, Elena zakleiła obiektyw kawałkiem czarnej taśmy i porządnie sprawdziła zabezpieczenia komputera. Przeskanowała go w poszukiwaniu wirusów i oprogramowania szpiegującego. Już po chwili program znalazł wiele plików, które uznał za szkodliwe lub niepokojące, i natychmiast je usunął. Mimo to ma wrażenie, że te wstrętne gnoje z forów dla inceli zbliżają się o krok za każdym razem, gdy loguje się na tym starym rzęchu. Są jak cień, który powoli za nią rośnie, aż w końcu ją pochłonie.

Mimo to trudno jej się powstrzymać.

„Najprawdopodobniej – przekonuje samą siebie – ci kolesie są jak wszyscy inni walczący w internecie – dużo gadania, za to mało testosteronu”. Tak bardzo przewrażliwieni na punkcie zwiotczałych podbródków i nierównego zarostu, że zaczęliby się jąkać, gdyby Elena zagadała do nich w prawdziwym życiu.

Przypomina jej się, że nie dotyczy to wszystkich internetowych wojowników. Nie dotyczyło to Eliota Rodgera. I jest więcej takich, którzy chore fantazje internetowe urzeczywistnili. Na przykład Brevik. Czyżby w dzisiejszych czasach każdy człowiek o radykalnych poglądach, stosujący przemoc w sieci, miał swój tak zwany manifest, który jego zdaniem ludzie mają czytać i... się z nim zgadzać?

„Na to wygląda” – dyskutuje sama ze sobą. Choć zdecydowana większość z nich to opasli nieudacznicy, którzy mieszkają w piwnicy u matki, mimo że mają ponad dwadzieścia pięć lat, i którzy zapewne zrobiliby sobie krzywdę, gdyby spróbowali posługiwać się prawdziwą bronią.

Groźby wysłane w mailach służbowych, wiadomości prywatne na forach – to tyle, jeśli chodzi o ich tak zwaną przemoc. „Tchórzliwe, przyszczone gnojki” – myśli i zdecydowanym ruchem włącza komputer. Drobne pęknięcie biegnie od lewego górnego rogu ekranu, ukośnie w dół na prawo, kończąc się mniej więcej pośrodku, a wokół niego kolory nieco się rozmyją. Jednak komputer jakimś cudem działa.

Wzdycha głęboko, czytając, co pojawiło się od ostatniego razu. Tak to właśnie wyglądało kiedyś u Linn, zanim wylogowała się na stałe jako pisarka, zarówno ze wszystkich mediów społecznościowych, jak i z życia.

„Ja pierniczkę. Że też miała na to energię” – myśli Elena i ze smutkiem błędzi wzrokiem po tych wszystkich wiadomościach, na które według różnych mężczyzn zasługuje.

Jeden z nich twierdzi, że wie, kim ona jest.

„No co ty nie powiesz – myśli. – Wszyscy incele na świecie już to wiedzą, skarbie”.

Nie umknęło to raczej społeczności inceli, gdy lonliboi został zdexowany. W dalszej części wiadomości Elena czyta, że takie femoidy, lesby, jak ona, które pod przykrywką próbują się wkraść do ich elitarniej grupy, muszą zginąć.

– Co robisz?

Elena odruchowo zamyka pokrywę laptopa, gdy Linn wchodzi do pokoju i wyciera włosy zszarzałym ręcznikiem, który czasy świetności ma już za sobą.

– A, nic. Sprawdzam tylko służbowe maile – odpowiada Elena. – Czy to nie jest ręcznik kota?

Właściwie powinna powiedzieć jej, co robi, ale Linn ma teraz wystarczająco dużo problemów i – choć to wspaniała osoba – nie jest tak odporna na stres jak Elena. Linn zapewne myśli, że ataki paniki, które występują u niej regularnie, da się ukryć za drzwiami toalety lub odkręcając kran. Ale Elena o nich wie. Czasami Linn przychodzi do niej, gdy uczucie niepokoju dopiero zaczyna przejmować kontrolę nad jej ciałem. Embrion stresu można wówczas usunąć za pomocą przytulania, rozmowy lub seksu. Równie często jednak zamyka się w sobie, przez co embrion się rozwija, aż do momentu, gdy musi go urodzić. Wtedy zazwyczaj się wycofuje i przeżywa poród w samotności.

Linn ze zdziwieniem patrzy na ręcznik, wacha go, robiąc przy tym zamyśloną minę, a w końcu wzsza ramionami. Potem spogląda wymownie na zamknięty laptop. Widać, że chce coś powiedzieć. Nagle lekko podskakuje.

– Co to było? – mówi przestraszona ze wzrokiem skierowanym w stronę okna.

Elena odwraca się w tym samym kierunku. Widzi tylko trawnik i drzewa na zewnątrz. Mimo to od razu wstaje.

– Co?

Linn stoi nieruchomo przez kilka sekund.

– Nie wiem... – otrząsa się z paraliżu i podchodzi do okna. – Wydawało mi się, że widziałam coś na zewnątrz. Coś, co się poruszyło.

Elena staje obok niej i razem patrzą przez okno. Linn wsuwa rękę w jej dłoń, a ich oddechy tworzą białe chmurki na szybie.

– Gdzie to było? – pyta Elena, wciąż widząc jedynie trawnik i drzewa. I wszystkie chwasty między płytami chodnikowymi z tyłu domu. Jakiś wyjątkowo swawolny chwast o dużych, ciemnozielonych liściach zajął jedną z nadstawek paletowych i rozrósł się tak bardzo, że mocno wygina się nad krawędzią, stykając się z trawnikiem.

W ogrodzie jest cicho i spokojnie, ale za oknem dwa serca biją nieubłaganie szybciej.

– Może to tylko ptak. Albo kot. Albo sarna – odzywa się Linn, ale mówi to w taki sposób, jakby chciała powiedzieć: „Może to Carl”.

Elena ściska ją za rękę.

– Pewnie tak – mówi. – Poza tym alarm jest włączony, więc nie ma się czego bać, kochanie.

W odpowiedzi Linn odwzajemnia uścisk. Przez chwilę stoją, trzymając się za ręce. Ich sylwetki niewyraźnie odbijają się w szybie. Na zewnątrz porusza się jedynie wiewiórka – przebiega po trawniku i znika na sośnie. Elena niemal słyszy odgłos drapania w korę.

– A właśnie, nadal tak robisz? Albo raczej stojąc z drugiej strony...? – pyta, by przerwać napiętą atmosferę.

– Chodzi ci o zagłądanie przez okna? – pyta Linn.

– Mhm.

Linn puszcza dłoń Eleny, siada przy kuchennym stole i zanurza palce w swoje wilgotne włosy. Kiedy są mokre, stają się prawie żółte.

– Rzadko. Zdarzyło mi się kilka razy, ale... nie wiem, nie odczuwałam takiej potrzeby. Przynajmniej nie tak często jak wcześniej.

Z tylnej kieszeni spodni Linn dochodzi dźwięk komórki. Linn bierze ją do ręki.

– O rany – mówi, czytając powiadomienie.

– Co się dzieje?

– Nowe morderstwa – stwierdza krótko. – W Malmö.

– Kobieta Laser? – pyta Elena. Podchodzi do Linn, staje za nią z dłońmi na jej ramionach.

– Mhm. Tym razem zabiła dwóch mężczyzn.

– Ile to już będzie?

– Razem sześciu – odpowiada Linn.

Elena okrąża stół i siada naprzeciwko niej. Wertuje stos nieotwartej poczty.

– Sama nie wiem – zaczyna mówić i strzepuje długą, jasnoszarą sierść kota na podłogę. – Nie chcę się tym teraz denerwować. Przynajmniej na razie. Mamy inne sprawy na głowie. Mam wrażenie, że my, kobiety, od wieków musimy ponosić odpowiedzialność za wzajemne bezpieczeństwo. W takim razie niech mężczyźni doświadczą teraz tego samego. Niech tworzą telefony zaufania, grupy na Facebooku i nie wiem, co jeszcze. Niech szukają wsparcia u innych mężczyzn. Ja w każdym razie zamierzam zająć się innymi rzeczami.

Linn, utkwivszy w nią mętne spojrzenie, powoli przytakuje.

– Rozumiem, o co ci chodzi. – Potem znów zamiera, tyle że tym razem wbija wzrok w inne okno. – Znowu to samo!

„Gdyby zdarzyło się to tylko raz, nic by to nie znaczyło, ale dwa razy to o jeden za dużo, to odwieczna prawda” – myśli Elena i natychmiast wstaje.

– Okej – mówi tak cicho i spokojnie, jak tylko potrafi. Strach czai się tuż pod powierzchnią, grożąc przejęciem kontroli, ale nie może pozwolić mu się sparaliżować. – Będziemy musiały sobie z tym, kurwa, poradzić.

Rozdział 32

Carl

Po zwinieciu śpiwora i przyrządzeniu kawy rozpuszczalnej na kuchence turystycznej Trangia życie od razu wydaje mu się dużo lepsze. Całkiem przyjemnie jest spać pod gołym niebem. W nocy obserwował gwiazdy, a wokół niego w lesie panował spokój. Albo raczej... część lasu odpoczywała, a inna część budziła się do życia. Carl zawsze czuł bliskie pokrewieństwo ze zwierzętami prowadzącymi nocny tryb życia. Prawdą jest, że nie czuje się tak świeżo, jak by chciał, ale nie wpływa to na jego poczucie wolności oraz na wrażenie, że jego życie właśnie zmienia się na lepsze. Poza tym wszystko wydaje się lepsze niż spanie w pokoju w Säter. W tym ponurym, sterylnym pomieszczeniu niczym sala szpitalna, w której unosi się odór niepokoju. Tutaj natomiast pachnie wilgotną od rosy ziemią, świeżo rozkwitłymi kwiatami i... życiem. Pachnie wolnością.

Zamyka zawór w kuchence, aby odciąć dopływ tlenu i palnik gaśnie. Jego palce lekko pokrywają się sadzą. Wącha je i staje się jeszcze bardziej ożywiony. Zapach ognia.

„Tak wiele możliwości, a tak mało czasu” – myśli.

Może powinien je podpalić?

Po kilku minutach ma już wszystko w plecaku i sprawdza telefon. Schinckel świetnie się spisała, nie próbowała się z nim kontaktować, tak jak ją poinstruował. I najwyraźniej trzyma gębę na kłódkę, bo inaczej już byłiby na jego tropie.

A może wszystko to, co miało odwracać uwagę na początku ucieczki, zadziałało zgodnie z planem? Jeszcze kilka dni i przejdzie do historii jako ten, który po ucieczce z Säter najdłużej pozostawał na wolności. Wyobraża sobie, że do jego strony w Wikipedii dodają tę informację, i uśmiecha się do siebie. I ojoj... ile jeszcze będzie można dodać, gdy to wszystko się skończy. Przyniesie mu to sławę. Carl idzie powoli, rozkoszując się wschodzącym słońcem, które ogrzewa las wokół niego.

Miał pewien dylemat, kim zająć się najpierw, to prawda. Ostatecznie zdecydowała technologia. GPS niedługo padnie. Musiał podjąć decyzję i w głębi duszy czuł, że to była właściwa decyzja. Najpierw Anne i jej wstrętny synalek. Potem ta kablująca cipa i jej lesba.

Kiedy w zasięgu jego wzroku pojawia się dom, Carl przystaje i się rozgląda. Na podjeździe stoi tylko czerwona toyota, tak jak wczoraj wieczorem, gdy przyszedł tu na zwiady. Do innych domów jest daleko. W internecie to miejsce reklamuje się jako najlepszy pensjonat w Ljungbyhed. „Idealne miejsce dla tych, którzy potrzebują odrobiny prywatności. Może szukasz oazy spokoju, by napisać książkę?” – taką informację zamieścił właściciel na stronie internetowej, najwyraźniej zainteresowany tym, by gościć tu pisarzy.

„Co za pierdolenie. Zadufani w sobie, znerwicowani ludzie, których praca polega na wymyślaniu kłamstw całymi dniami, a mimo to ludzie ich podziwiają. Niepojęte”.

„Ale są też inni, dla których zachowanie prywatności to dobry pomysł” – myśli Carl, a na jego twarzy pojawia się szydery uśmiech. Wyjmuje nóż z pochwy i dotyka ostrza. Szydł przy głównej drodze miał namalowany napis starodawnym angielskim stylem pisma: „Ye Olde Bed & Breakfast”. Carl uważa, że to doskonale pasuje do sytuacji. Jak to było w Pulp Fiction?

„Zrobię ci z dupy jesień średniowiecza”.

Śmieje się i sprawdza kieszenie. Pałka teleskopowa – jest. Gaz pieprzowy – jest. Kastet – jest. Opaski zaciskowe – są. Domowej roboty pałka sprężynowa typu blackjack – jest.

„Teraz... – myśli z gorzkim uśmiechem. – Teraz czeka nas prawdziwa zabawa”.

Rozdział 33

Linn

Linn biegnie przez Teaterparken, po czym skręca w lewo i idzie dalej chodnikiem, w dół, w stronę Cytadeli i znajdujących się tam ogródków działkowych. Bieganie w Landskronie to dziwne przeżycie w porównaniu z joggingiem w Saxtorpsskogen. Tam w ciągu godziny mija się garstkę ludzi i w zasadzie wszystkich rozpoznaje. Tutaj z kolei ludzi jest mnóstwo. Linn, rozpoczynając jogging, odkryła, że ma już swój styl biegania. Kolejną rzeczą, którą zauważyła, jest to, że prawie cały czas spogląda za siebie.

Kiedy dociera do pola do gry w minigolfa, a wkrótce potem po prawej stronie mija fosę Cytadeli i ogromną, pomarańczową fortecę, zwiększa tempo, a puls przyspiesza. W tym miejscu dwa lata temu znaleziono ciało Eliego, chłopca-uchodźcy bez opieki. A potem ojca Moi. Przechodzą ją ciarki i jeszcze bardziej wydłuża krok, starając się jak najszybciej ominąć to miejsce. Próbuje skupić uwagę na świeżym powiewie wiatru znad morza. Czuje tak wyraźny zapach soli, że dziwi się, że nie krystalizuje się ona na jej skórze.

Ani Eliego, ani ojca Moi nie uratowano, ale Abbasa, tego wychudzonego i maltretowanego chłopca-uchodźcę, znalezionego w klatce dla psów za dodatkowo wstawioną ścianą w domku Johana Kinnego, udało się ocalić. Przynajmniej fizycznie. Jego psychika to zupełnie inna sprawa. Został umieszczony w rodzinie zastępczej i zaczął trochę przybierać na wadze, ale nadal jego waga utrzymuje się znacznie poniżej normy dla dziewięciolatka, nawet teraz, po dwóch latach. Linn odwiedza go od czasu do czasu, choć nierzadko ma wrażenie, że lepiej byłoby tego nie robić. Możliwe, że jej wizyty przywołują okrutne wspomnienia wszystkiego, przez co przeszedł, i rozdrapują stare rany, które lepiej byłoby zostawić w spokoju. Matka zastępcza Abbasa powiedziała, że chłopiec prawie zawsze po ich spotkaniach ma koszmary. Mimo to Abbas mocno przytula się do Linn, gdy do niego przychodzi. Chłopiec zdaje sobie sprawę, że gdyby nie Linn, Elena i Moa, już dawno by nie żył. Abbas to arabskie imię, które oznacza lwa, i taki właśnie jest ten mały wojownik, walczący jak lew.

„Tak naprawdę to my go uratowałyśmy”.

Linn próbuje odpocząć, trzymając się tej myśli, zwalnia, wchodzi na teren ogródków działkowych i raz jeszcze ogląda się przez ramię. Potem przychodzi inna, paralizująca myśl:

„To ojciec go uratował. Gdyby się nie pojawił, to...”

Natychmiast zwiększa czujność, nie dopuszczając do siebie tej strasznej myśli, że ojciec mógłby stać za czymś, co choć trochę jest pozytywne. Dalej przy drodze rośnie duży krzak jałowca. Na wszelki wypadek omija go szerokim łukiem. Ojciec może kryć się wszędzie. Pewnie mądrzej byłoby zostać w domu, ale jeśli będzie siedzieć beczynnie i czekać, aż on się pojawi, to zwariuje. Nie ma co do tego wątpliwości. Musi jakoś odreagować, a bieganie to jeden z najlepszych sposobów. W lesie jest bardziej narażona na niebezpieczeństwo, więc musiała pójść na kompromis i zacząć biegać w mieście.

Linn pozostaje w stałym kontakcie z Martinem Ljungstål'em z policji w Landskronie. Poinformował ją o całej sytuacji. Jak zwykle, mają ograniczoną liczbę ludzi. Nigdy nie mogą zapewnić ochrony wszystkim, którzy jej potrzebują. Ojciec jest nadal na wolności, co oczywiście przeraża Linn, ale policja podejrzewa, że wyjechał z kraju, skoro mimo że uciekł już dość dawno, do tej pory się nie pojawił. I że najwidoczniej bardziej niż zemstę ceni sobie wolność.

Linn wie, że to logiczne rozumowanie. Tym, którzy nie znają go osobiście, łatwo w to uwierzyć. Lecz... ojciec nie posługuje się logiką. Ona wie, że na pewno będzie próbował ich dopaść, to tylko kwestia czasu. Raptem ogarniają ją wyrzuty sumienia, że zostawiła Elenę samą w domu.

„Choć jeśli istnieje ktoś, kto potrafi się bronić, to właśnie ona”.

Biegnie, mijając ogródki działkowe, i gdy kątem oka w dole dostrzega fosę, odwraca wzrok, by na nią nie patrzeć. Jednocześnie nurtuje ją myśl, że Elena wydaje się trochę... wkurzona? Nie, nie wkurzona. Smutna?

Ma wrażenie, że Elena coś ukrywa. Za każdym razem, gdy Linn wchodzi do pokoju, ona zatrząskuje komputer, jakby potajemnie surfowała po nielegalnych stronach porno czy coś w tym stylu.

„Czy ona mnie zdradza?”

Myśl ta wydaje się kompletnie absurdalna, co sprawia, że czuje ulgę... ale o co w takim razie chodzi? Elena nie stara się ukrywać swojego picia. Teraz nawet już nie ukrywa palenia.

Linn skręca w wąską zwirową ścieżkę z wysokimi żywopłotami z bukszpanu po obu stronach i zwalnia. Minąwszy kolejny zakręt, zbliża się do ogromnych willi położonych nad samym morzem. Dostrzega mężczyznę i kobietę stojących przy ciemnozielonym sportowym samochodzie. Gdy Linn wybiega zza rogu, kobieta nagle podnosi rękę i uderza mężczyznę w twarz. Po czym zauważa Linn i zastygła w bezruchu.

Linn jest skołowana, ale się nie zatrzymuje. Słyszy, jak mówią coś cicho i niewyraźnie. Mężczyzna zakrywa policzek i spuszcza wzrok, a kobieta odwraca się do niego plecami i zaczyna iść w kierunku jednej z willi. Tymczasem Linn przebiega obok nich.

Dwa lata temu nie sądziła, że kobiety są zdolne do przemocy, ale po wydarzeniach tamtego lata, po wszystkim, co zrobiły razem z Moą i Eleną, musiała przewartościować ten pogląd.

„I po tym, co zrobiłaś Lindströmowi w Helsingborgu” – odzywa się mroczny wewnętrzny głos.

Po tym też. Jednak stara się o tym zapomnieć. A teraz, gdy od kilku miesięcy w Malmö trwa cały ten cyrk z Kobietą Laser, nie da się zaprzeczyć, że kobiety są zdolne do przemocy.

Ponownie skręca w prawo, wraca do centrum miasta, zwalnia i zaczyna iść. Sprawdza tętno – przyspieszone, ale tym razem w pozytywnym sensie. Nawet ją cieszą te wszystkie artykuły pełne obaw i niepewności, choć raz napisane przez mężczyzn. Ale... wolałaby, żeby to mężczyźni się zmienili. Stali się bardziej podobni do kobiet, mniej agresywni. Byłoby lepiej, gdyby nie to, że teraz kobiety postanowiły włączyć się do ich gry i stać się dupkami, takimi jak oni.

Na Artillerigatan zatrzymuje się radiowóz. Linn podnosi rękę na powitanie. Choć wie, że są po jej stronie, widok niebiesko-białego samochodu wciąż przyprawia ją o dreszcze. Musi sobie przypominać, że za kierownicą nie siedzi Johan Kinne. Bo on nie żyje. Lecz to rozumowanie zatacza błędne koło, które prowadzi z powrotem do niepewności i zadania sobie pytanie, dlaczego Johan Kinne nie żyje. No tak, za sprawą jej ojca, który wtedy też zwiął z psychiatrika.

„Kiedy ojciec ucieka, giną ludzie. To tylko kwestia czasu, zanim on...”

Linn na chwilę przystaje. Na tę myśl robi jej się lodowato. Jakby jednym krokiem wyszła z wczesnego lata i wkroczyła w mroźną zimą. Z bocznej kieszeni legginsów wyciąga komórkę i drżącymi palcami wybiera numer mamy. Jest wolny sygnał, ale nikt nie odpowiada. Rozłącza się i dzwoni do Anona. Słyszy jego głos w poczcie głosowej już po jednym sygnale.

Linn czuje, że traci grunt pod nogami. Próbuje myśleć racjonalnie.

Ojciec nie ma pojęcia, gdzie oni są. Najprawdopodobniej wyjechał już z kraju. Zapewne bardziej ceni sobie wolność niż zemstę.

Już teraz jednak coś jej nie gra w tym rozumowaniu.

„Nie wie, gdzie oni są. Naprawdę nie wie, gdzie oni są”.

To prawda. Linn znowu zaczyna iść. Spogląda na telefon. Postanawia zadzwonić ponownie, jak tylko wróci do domu, i dzwonić tak długo, aż ktoś z nich odbierze.

Rozdział 34

Moa

Moa siedzi z tyłu zardzewiałego samochodu z siedmioma siedzeniami, w stylu auta dla wielodzietnej rodziny, i patrzy przez boczną szybę. Przygląda się rozemocjonowanej masie ludzi, która niespokojnie przemieszcza się po Stortorget niecałe trzydzieści metrów od nich. Nie mogą podjechać bliżej, ponieważ policja zagroziła teren. Trudno jej uwierzyć, że w ogóle tu siedzi. Ale tak jest. I to jest chore. Choć w zasadzie dobrze, właściwie najlepsze, co mogło się zdarzyć, ale... nie jest do końca pewna, czy jej się to nie śni.

Spodziewała się, że gdzieś ją zamkną po tym, jak przyznała się, co zrobiła dwa lata temu. Może nie w więzieniu, ale... w czymś w rodzaju ośrodka przejściowego dla dzieci. Jednak tak się nie stało. Czeka ją więcej przesłuchań. Jakieś spotkania, na niektórych będzie sama, na innych z mamą. Przydzielili jej psychologa i doradcę zawodowego oraz zyskała kilku nowych znajomych z opieki społecznej. Nawet policja umówiła się z nią na spotkanie, które ma być swego rodzaju straszakiem, gdzie się dowie, jakie mogą być skutki wyboru życia przestępczego. *Scared straight* – jak nazwała to Veronica, kiedy z sarkastycznym uśmiechem poleciła jej film dokumentalny na Netfliksie o dzieciakach z problemami, które spędzają dzień w amerykańskim więzieniu. Kręci głową i zastanawia się, co powinny teraz zrobić.

Wczoraj wieczorem nagrały film, manifest, wezwanie do działania, które rozesłały do głównych serwisów informacyjnych. Pokazano go już kilka razy. Na nagraniu stoją po zachodzie słońca na dziedzińcu, ubrane na czarno i zamaskowane, a między nimi znajdują się zapalone pochodnie. Wszystkie milczą z wyjątkiem Leo, która czyta na głos z kartki.

– Mężczyzna – mówi zdecydowanym głosem – wierzy, że świat należy do niego i że ma prawo być w nim bezpieczny. Wierzy, że to on rządzi i ustala zasady. Dość tego. Kobiety z całego świata! Zapraszamy was! Chcemy, abyście przyłączyły się do naszej rewolucji. Wiem, że rozglądacie się wokół i myślicie: „Nie wszyscy mężczyźni tacy są”. Ale to nieprawda, wszyscy mężczyźni zasługują na zemstę.

Leo odrywa wzrok od kartki i mówi prosto do kamery:

– Nigdy, naprawdę nigdy nie spotkałam kobiety, która mieszkając z mężczyzną, nie porównałaby tego do posiadania kolejnego dziecka w domu, którym trzeba się zająć. Może nie na początku, kiedy są zakochani i wszystko, co robi druga osoba, jest tak wspaniałe, że dostaje się motyli w brzuchu, ale potem. – Leo wykonuje ręką szeroki gest. – Powiedzmy... pięć lat w związku? Jeśli my, kobiety, przypomnimy tym dupkom, że w zasadzie za wszystkie gwałty i morderstwa odpowiedzialni są mężczyźni, oni wykrzyczą nam w twarz, że przecież nie można obwiniać wszystkich mężczyzn. I to się zgadza. Nie wszyscy mężczyźni są źli. Natomiast wszyscy mężczyźni są odpowiedzialni za przedwczesną śmierć kobiet.

Grupa zamaskowanych kobiet pomrukuje z aprobatą. Leo mówi dalej:

– Kiedy mężczyzna i kobieta żyją razem i chcą, żeby ich życie codzienne normalnie funkcjonowało, zawsze dzieje się to dzięki kobiecie. Kobiecie, która dba, by każdy miał to, czego potrzebuje i kiedy tego potrzebuje. Dbą, by dom był spokojny, przytulny i zadbane. Schudny. Poświęca czas i energię, by wszystko działało. To ona jest kalendarzem. Poczyszczką. Osobą, którą wszyscy w domu pytają, gdzie co jest. Jest partnerką seksualną. Pomaga dzieciom przy odrabianiu lekcji. Organizuje przyjęcia i jako dobra gospodyni dba o wszystkie szczegóły, a nie tylko o mięso i grilla. I bez względu na to, jak bardzo partnerski wydaje się jej związek, to ona dopina na ostatni wszystko to, czego mężczyzna nie dostrzega. Ponieważ mężczyźni twierdzą, że nie zwracają uwagi na szczegóły. Nie widzą ich. Bo tak wła-

śnie jest w przypadku mężczyzn. Mają trudności z dostrzeganiem szczegółów. Czyż nie jest dziwne w takim razie, że prawie wszyscy zegarmistrzowie na świecie to mężczyźni? I tak samo w przypadku fizyków cząstek elementarnych?

Mężczyźni dwa razy w roku zmieniają opony w samochodach, podnoszą ciężkie przedmioty, raz w tygodniu odkurzają dom, wynoszą śmieci i dzięki temu czują, że dobrze się spisują i są równorzędnymi partnerami. Mawiają: „Są rzeczy, które robię tylko ja”. Różnica polega na tym, że jeśli poprosimy mężczyznę, by wymienił, co w domu robi tylko on, przyjdzie mu do głowy z pięć do dziesięciu czynności. Natomiast kobieta może z łatwością podać ich pięćdziesiąt. Kiedy ostatnio słyszałaś, jak mężczyzna powiedział, że posprzątał pod deską klozetową? Albo wytarł wszystkie listwy przypodłogowe? Kiedy słyszałaś, jak kobieta zapytała mężczyznę, gdzie jest jej ulubiony sweter? Albo o której godzinie i kiedy odbędzie się następna wywiadówka? Wszystko to ma wpływ na kobiety i je osłabia w bardzo realny i zagrażający życiu sposób.

Czy wiedziałyście, że małżatki umierają znacznie wcześniej niż kobiety, które nie są w związku? Mówimy tu o różnicy wielu lat. W przypadku mężczyzn jest na odwrót. Ci, którzy się żenią, umierają później niż ci, którzy pozostają singlami. A co to tak naprawdę oznacza? Cóż, oznacza to, że nawet ci mężczyźni, którzy nie gwałcą i nie biją, i tak dosłownie nas zabijają. Mężczyźni wysysają z nas siły życiowe i zaangażowanie jak pieprzone wampiry. Przez to rosną w siłę, są zdrowsi, bo mają nas przy sobie. I nie jest istotne, że myślą, że w ich związku panuje równość płci. Gdyby mężczyźni i kobiety w związku rzeczywiście mieli równe prawa, małżeństwo nie byłoby statystycznie istotnym czynnikiem wpływającym na to, dlaczego zamężne kobiety umierają wcześniej niż ich siostry, które nie są w związku. Takie są fakty. Co więcej, równouprawnienie w związku nie istnieje, niezależnie od tego, jak bardzo oni chcieliby w to wierzyć.

Dopóki mężczyźni nie wykonują połowy pracy, zarówno fizycznej, jak i emocjonalnej, i dopóki nie dzieje się to z ich inicjatywy, ale wtedy, gdy kobiety mówią im, że mają coś zrobić i co ma być zrobione – co samo w sobie jest już odpowiedzialnością, bo to one zawsze są na bieżąco z tym, co i kiedy trzeba zrobić, i są zmuszone do mówienia innym, co mają robić, mimo że inni powinni robić to sami z siebie – nigdy nie będzie równouprawnienia. Być tym, kto stale ma w głowie kalendarz wszystkich domowników, wiedzieć, kto kiedy ma imieniny, kto musi zabrać ze sobą lunch, kto idzie na jaki trening i o której godzinie, czyja mama ma urodziny, na co i kiedy kto jest zaproszony, wiedzieć, czyj nauczyciel poprosił o spotkanie i kiedy ono się odbędzie, wiedzieć, kto jedzie na wycieczkę, i tak w nieskończoność. Amen. To jest właśnie coś, za co mężczyźni powinni wziąć połowę odpowiedzialności. Ale tak nie jest. Zamiast tego mężczyźni będą nadal powoli wykańczać kobiety, a one akceptować fakt, że ich życiowi partnerzy są niczym więcej, jak tylko dużymi dziećmi, którymi – dopóki nie umrą przedwcześnie z wysiłku – muszą się opiekować. Ponieważ uważają, że nie ma innego wyjścia. Jednak inne wyjście istnieje i właśnie wam to pokazałyśmy. Wstrząsnęłyśmy kobietami, a to dopiero początek. Teraz jesteście gotowe, aby usłyszeć nasze przemyślenia, nasz manifest.

Najlepszym rozwiązaniem dla kobiet byłoby, gdyby mogły pieprzyć się z mężczyznami, kiedy przyjdzie im na to ochota i nagle musiałyby tę potrzebę zaspokoić, a potem mogły dalej żyć bez mężczyzn lub z innymi kobietami.

Nasza średnia długość życia wzrosłaby o co najmniej pięć lat, podczas gdy długość życia mężczyzn zmniejszyłaby się o tyle samo. To chyba mówi wszystko o wszystkich mężczyznach. Chodźcie więc z nami. Przyłączcie się do rewolucji. Odzyskajcie swoje życie.

Leo powiedziała to, co miała do powiedzenia, i nagranie się kończy. Odkąd pojawiło się w mediach i na portalach społecznościowych, rozpętało się cholerne piekło. A to, na co teraz patrzą, jest tego bezpośrednim skutkiem. Moa nie może powstrzymać uśmiechu i pochyla się do siedzącej z przodu Veroniki.

– Spójrz na nich – szepcze.

Na ulicy mężczyźni wylewają się jak strumienie wody. Nadchodzą. Niektórzy niczym pojedyncze krople, inni jak większe plamy. Kałuże mężczyzn płyną razem, a dalej łączą się, tworząc... nie morze, ale i tak wielkie jezioro.

Po opublikowaniu manifestu Killhjälpen, pogotowie kryzysowe dla mężczyzn, wezwało na Twitterze i Facebooku do spontanicznej demonstracji. Do wyjścia na ulicę w proteście przeciwko bezsensownej przemocy, na którą narażeni są wszyscy mężczyźni w Malmö. Moa prycha pogardliwie, obserwując mężczyzn, którzy wciąż się dołączają. Niektórzy wyglądają jak aktywiści antyfy, szukający zwady. Inni jak naziści... Choć większość z tych, którzy przemierzają się przez Stortorget i zmierzają do miejsca zbiórki u stóp pomnika króla Karola X Gustawa na koniu, to zwykli mężczyźni. Bracia, ojcowie i synowie. Nauczyciele wuefu, ekonomiści, ogrodnicy i kierowcy autobusów.

– Mhm – odpowiada Veronica, wskazując przez boczne okno. – Spójrz tam

Moa patrzy we wskazanym przez Veronicę kierunku i jej wzrok pada na osoby, które jej zdaniem wyglądają na członków antyfy... i wtedy wstrzymuje oddech. Dziewięćdziesiąt procent protestującego tłumu stanowią mężczyźni, ale teraz widzi, że ubrani na czarno i zamaskowani ludzie stojący w innym skupisku to prawdopodobnie... kobiety.

Kontrdemonstranci. „Nowe Falochrony” – myśli Moa, a w jej żyłach buzuje krew. Zareagowały na nagrane. Zostały wezwane.

– Zostawmy tu samochód i chodźmy na piechotę – mówi Leonora, spokojnie otwierając drzwi od strony kierowcy. – Dalej będzie kompletny chaos.

Wszystkie wyskakują z samochodu. Moa, Leo, Veronica i Bahar. Moa, wychodząc z auta, naciąga szaroczarną chustkę na dolną część twarzy. Słyszy hasła padające ze zgromadzenia kobiet po prawej stronie.

– Kim one są? – szepcze do Leo, która właśnie zakłada czarne rękawiczki.

– To zwykłe kobiety, które wreszcie się opamiętały, jak sądzę – mówi Leo z dumą. – I to my sprawiliśmy, że to zrozumiały. Potrzebowały tylko małego bodźca.

Grupa kobiet zaczyna iść w kierunku większego tłumu na rynku. Leo wskazuje na zebranych wokół mężczyzn.

– Spójrzcie na te świnię. Nawet gdy protestują przeciwko przemocy, nie potrafią zachować spokoju. Rzygam, kurwa, od tego testosteronu w powietrzu.

– Popatrz na te dziewczyny – Moa pokazuje za siebie.

Leo przytakuje.

– Właśnie na to liczyliśmy.

– Czy tak łatwo było... jak to nazwałaś... je przebudzić?

Leo zatrzymuje się i bierze Moę pod ramię. Wskazuje na wściekłego wrzeszczącego blondyna po czterdziestce z piwnym brzuchem, trzymającego tabliczkę z napisem „GODZINA POLICYJNA DLA KOBIECI”. Ma purpurową ze złości twarz, a gdy ryczy, że feministki powinny zostać stracone, ślina leci na wszystkie strony.

– Spójrz na tego tak zwanego mężczyznę, Moa – mówi Leo. – Widzisz, czego on żąda? On uważa, że ma prawo wyrażać swoje pojebane poglądy.

Leo splota na ziemię i z zaciśniętymi zębami patrzy na zgromadzonych u stóp zielonego pomnika. Ktoś podłącza mały głośnik.

Moa kręci głową z dezaprobatą.

– To jest totalnie chore. Nigdy, kurwa, nie będę żyła z mężczyzną.

Veronica, idąca na przodzie, zatrzymuje się i unosi zaciśniętą pięść, wtedy reszta też przystaje. Moa się odwraca i widzi, że kobiety, o których mówiła Leo, do nich dołączyły. Za niewielką grupą Falochronów stoi około dwudziestu zamaskowanych, wkurwionych kobiet. Moa czuje przypływ dumy. To dzięki nim kobiety się zorganizowały i przebudziły.

– To on! – woła Veronica i wskazuje na mężczyznę stojącego na jednym ze stopni prowizorycznej sceny, zbudowanej ze skrzynek po piwie i kilku desek. Wszędzie są transparenty i plakaty. Ktoś trzyma mały megafon. Ktoś inny – czerwoną flagę. Mężczyźni zebrali się blisko siebie. „Jakby się bali” – myśli Moa, czując, jak wzbiera w niej siła.

Mężczyzna wskazany przez Veronicę to Sixten Törnholm, działacz na rzecz praw mężczyzn, który najwyraźniej będzie wygłaszał przemówienie. W tej chwili stoi przed rozklekotaną sceną i nerwowo rozmawia z tłustym, wyłysiałym mężczyzną, przypominającym wyglądem polityka. Moi robi się niedobrze na widok Sixtena. Dobrze pamięta obrzydliwe nagrania z nim oglądane razem z Veronicą w domu na farmie i to, co mówi za zamkniętymi drzwiami, kiedy myśli, że słuchają go tylko mężczyźni.

Leo powiedziała, że jeszcze jeden lub dwa strzały, a kobiety będą gotowe, by przyjąć prawdę. Wszystkie kobiety. O wszystkich mężczyznach. Ponieważ mężczyźni, nawet ci zwykle spokojni, zaczną zachowywać się jak agresywne małpy, którymi tak naprawdę są. Moa rozgląda się dookoła i widzi, że Leo miała rację. Agresja i przemoc wiszą w powietrzu jak w jakimś gangsterskim filmie.

„Wojna – poprawia się w myślach. – To wojna wisi w powietrzu. Przemoc to za mało powiedziane”.

Veronica rozgląda się wokół siebie i dość szybko znajduje to, czego szuka. Leżąc luzem kostka brukowa. Szybko zerka przez ramię w stronę policyjnych blokad i furgonu policyjnego zaparkowanego z dala od rynku. Robi szeroki zamach i rzuca przed siebie kostką.

Kiedy trafia Sixtena w plecy, ten głośno krzyczy i wybucha zamieszanie. Kobiety wokół Moi wyjmują to, co mają przy sobie. Pałki, kije baseballowe, kastety i duże kamienie. Nad każdą maską na twarzy świecą nienawistne oczy. Oczy, które mają już dość.

Kiedy mężczyźni dostrzegają grupę kobiet, rozlega się ryk. Wskazują na zbliżające się do nich kontrademonstrantki. Następnie ruszają w ich kierunku z żądzą walki w oczach. Mają przewagę liczebną nad dziewczynami, to nie ulega wątpliwości. Mężczyzn jest kilkuset, a kobiet może trzydzieści lub czterdzieści. „Od kiedy jednak mężczyźni nie mają przewagi liczebnej” – myśli Moa, wyciągając łańcuch z kieszeni kurtki. Naciąga czarną czapkę z daszkiem jeszcze bardziej na oczy i słyszy podekscytowane okrzyki bojowe otaczających ją kobiet.

„Zawsze mieli nad nimi przewagę. To nie jest wymówka, żeby nie walczyć”.

Rozdział 35

Linn

Kiedy Linn wchodzi do kuchni po joggingu, koszulka klei się do pleców od spływającego po nich potu. Przy kuchennym blacie stoi Elena ze skrzyżowanymi ramionami i patrzy ze zmartwioną miną na iPada opartego o kafelki, wciśniętego za grubą deską do krojenia z jasnego drewna.

– Cześć, kochanie – wita się Linn, podchodzi do niej i całuje w policzek. – Co oglądasz?

Elena zrezygnowanym gestem wskazuje na mały ekran, a paznokcie błyskają czerwonym lakierem.

– Wydanie specjalne *Wiadomości* – odpowiada. – Demonstracja w Malmö, która wymknęła się spod kontroli. Wygląda na to, że doszło do bójki.

– Między kim?

– Z tego, co widzę, to między mężczyznami a kobietami.

Linn staje za nią zdumiona i przenosi wzrok na stojącego za ogrodzeniem reportera, podczas gdy w tle dwaj umundurowani policjanci prowadzą dwie młode dziewczyny w kajdankach.

– Ale o co poszło?

Elena kiwa głową i podchodzi do miski z owocami. Podnosi żółtozielone jabłko i przygląda mu się uważnie.

– Ten Törnholm, kojarzysz? To on zorganizował protest. Dla mężczyzn. Pewnie to reakcja na film, który pojawił się w mediach dziś rano. No i były tam kobiety, które uznały, że przemowa z nagrania ma sens i że powinien dostać w mordę. – Kładzie jabłko na desce do krojenia, która podpiera iPada, dzieli je na ćwiartki i usuwa z niego pestki.

– W tej kwestii się nie mylą – odpowiada Linn i bierze kawałek jabłka.

Obie przeżuwają i w skupieniu oglądają na iPadzie brutalne sceny. Linn spogląda na Elenę. Wydaje się zupełnie trzeźwa. Zrelaksowana. Wygląda na to, że jest to idealny moment. Linn przelika kęs kwaśnego jabłka i podejmuje próbę:

– Słuchaj... czy my nie musimy o czymś porozmawiać?

Elena nieruchomieje, co nie umyka uwadze Linn. Następnie bierze kolejny kawałek jabłka i wzrusza ramionami.

– Nie wiem – mówi pomiędzy kolejnymi gryzami. – A musimy?

Linn wzdycha. Elena jest twarda. W dobrym, ale też i w złym znaczeniu. Kiedy jest twarda wobec innych, według Linn jest to seksowne, ale chciałaby, żeby wobec niej zachowywała się inaczej. Choć... prośenie jej, by była kimś innym, niż jest w rzeczywistości, byłoby niesprawiedliwe.

„Córka gangstera” – myśli Linn i robi jej się ciepło w brzuchu. Odgryza kolejny kęs, po czym wrzuca mały kawałek ze zbrązowiałą skórką do brązowej papierowej torby na resztki znajdującej się pod zlewem. Wyciera ręce i podejmuje decyzję. W końcu też potrafi być twarda.

– Nie udawaj – zaczyna. – Coś jest na rzeczy. Już od jakiegoś czasu coś się dzieje. Myślisz, że tego nie widzisz? Nie jest aż tak źle, jak wtedy, gdy Robert... ci to robił, ale... coś ukrywasz.

Elena unosi brew, zbiera resztki z deski do krojenia i wyrzuca je do kosza na śmieci.

– To robił? – odzywa się. – Możesz nazywać rzeczy po imieniu, on mnie gwałcił.

Linn spuszcza wzrok.

– Wiem... to po prostu... trudne. Bardziej dla ciebie niż dla mnie, wiadomo, ale... dla mnie też. – Zdaje sobie sprawę, że Elena zmieniła temat, myśląc, że Linn się nie zorientowała, ale Linn robi

wszystko, by wrócić do tego, o co jej chodziło. – A tak na serio, kochanie. Przecież ukrywasz coś przede mną. Wydawało mi się, że chodzi o palenie, ale najwyraźniej to nie to. Więc... co się dzieje?

Elena przez dłuższą chwilę pozostaje w bezruchu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Potem nieświadomie przesuwa prawą ręką po zewnętrznej stronie lewej miseczki stanika i mówi:

– Chyba masz rację. Zastanawiałam się nad tym i może nadszedł czas, żebyśmy zdradziły sobie nawzajem nasze sekrety? Bo nie tylko ja je mam, prawda?

Linn zmroziło, ale się nie odzywa. Elena podchodzi do okna i wygląda przez nie, po czym zaciąga zasłonę i wyjmując coś, co było schowane pod białą doniczką.

– Oto jeden z moich – jednym ruchem ręki wyciąga pałkę teleskopową, która najwyraźniej cały czas była tam schowana. Lekko uderza nią kilka razy o swoją dłoń i ciągnie dalej: – Ty z kolei masz pistolet, który wzięłaś ze sobą do Helsingborgu. Gdzie był wcześniej schowany? – w jej oku pojawia się błysk. Linn domyśla się, że Elena nie jest zła. Raczej rozbawiona.

Linn też się delikatnie uśmiecha.

– Przyklejony taśmą pod biurkiem. Ale... – podchodzi do szafki ze środkami czystości, otwiera ją i sięga po coś na górnej półce. Wyjmując gaz pieprzowy. – Mam jeszcze coś takiego.

Teraz Elena wybucha śmiechem.

– Może przejdziemy się po domu? To chyba dobra okazja, biorąc pod uwagę naszą sytuację – wyciąga rękę do Linn. – Pierwszym przystankiem będzie zegar w holu, chodź.

*

Trzydzieści minut później są z powrotem w kuchni, ale teraz stół zagracony jest taką ilością broni różnego rodzaju, że pomieszczenie przypomina tajną kryjówkę początkującej komórki terrorystycznej.

– I ty ukryłaś w zegarze pieprzoną maczetę? – pyta Linn z niedowierzaniem i patrzy na wszystko, co znajduje się przed nimi.

– I kto to mówi – odpowiada Elena. – Poważnie? Kij baseballowy w stojaku na parasole?

– Widziałam to kiedyś na filmie. Ale... to chyba i tak nic w porównaniu ze schowanym na szafce w łazience shurikena, nie sądzisz?

Elena znów śmieje się głośno. Linn uzmysławia sobie, że coraz rzadziej ostatnio słyszy ten dźwięk i że bardzo za nim tęskni. Staje blisko Eleny i obejmuje ją w pasie. Opiera głowę na jej ramieniu. Czuje owocowy zapach szamponu.

– No jasne – droczy się z nią Elena. – Ale łańcuch rowerowy pod łóżkiem i skarpeta pełna nakrętek w aktówce to według ciebie normalne?

Teraz kolej na śmiech Linn.

– I mówi to kobieta, która miała kajdanki w swojej szufladzie z majtkami. Cholera, ale jesteśmy popieprzone... Czy może to tylko świadczy o tym, jak bardzo się boimy? – tu jej głos słabnie.

– Kajdanki w bieliźnie to chyba bardziej powszechne zjawisko w szwedzkich domach, niż mogłoby się wydawać – mówi Elena i puszcza oko do Linn. – Wolałabym nazwać to przygotowaniem, a nie strachem.

Przez chwilę w milczeniu przyglądają się zgromadzonej broni, po czym Linn mówi:

– Chociaż ta spilotowana strzelba, którą trzymałaś za bojlerem, pewnie i tak zgarnie nagrodę.

Elena powoli kiwa głową.

– Ostrożności nigdy za wiele. Chyba się o tym przekonałyśmy?

– To prawda – odpowiada Linn. – Włóżmy to wszystko z powrotem do kryjówek, dobra?

Elena zgadza się krótkim skinieniem głowy. Na iPadzie po raz kolejny widać gwałtowne sceny ze Stortorget w Malmö, które miały miejsce wcześniej tego dnia.

– W zasadzie – mówi Elena – powinnyśmy tam teraz być. Z całą naszą bronią. Stać z tymi dziewczynami. Drzeć się razem z nimi.

– Rozumiem, co masz na myśli – odpowiada Linn. – W zasadzie powinnyśmy, ale... jednak nie. Törnholm to zwykły frajer. Taki, który mówi młodym chłopakom, żeby ścielili łóżka i zapuszczali brody, żeby odnaleźli wewnętrznego Herkulesa albo stalowego kutasa i inne bzdury. W gruncie rzeczy nieszkodliwy, jak sądzę. I nic dziwnego, że mężczyźni w Malmö są przerażeni. Nagle znaleźli się w takiej samej sytuacji, w jakiej my, kobiety, znajdowałyśmy się..., no cóż..., jakby od zawsze?

Elena bierze głęboki wdech, wstrzymuje go, nadyma policzki i powoli wypuszcza powietrze.

– Nie jestem pewna, czy takie nieszkodliwe – mówi w końcu.

– Nie?

Wydaje się, że waha się z odpowiedzią. Potem siada przy stole, odsuwa od siebie dwa noże sprężynowe i paralizator, by zrobić miejsce dla laptopa. Otwiera pokrywę.

– Powiedziałaś, że zauważyłaś, że coś za mną nie tak... i masz rację. Chodzi o to.

Linn powoli siada na krześle obok niej. Lekko przestraszona tym, co za chwilę pojawi się na ekranie.

– Co masz na myśli? – mówi ostrożnie.

– Skąd masz te wszystkie rzeczy? – pyta Elena, gestem wskazując na kolekcję leżącą na stole.

Linn przechyla głowę.

– No, w większości zdobyłam je legalnie. Na stronach internetowych poświęconych samoobronie i tak dalej. Choć niektóre kupiłam od ludzi, na których niestety natknęłam się w pracy.

Elena powoli kiwa głową.

– Ja z kolei – zaczyna, wystukując coś na laptopie – mam to wszystko z Darknetu.

– No tak, mówiłaś. Więc nie wiem, czy nie byłoby dobrze, gdybyś...

Elena przerywa jej uniesieniem ręki.

– To nie jedyne miejsce, które odwiedziłam. Zrobiłam..., jakby to powiedzieć, duży research. Także w zwykłym internecie.

– Research? – pyta Linn bardziej niepewnym głosem. – Nie rozumiem.

Elena się wzdyga i odwraca laptopa w stronę Linn, żeby lepiej widziała.

– Kiedy już myślisz, że świat nie może być gorszy, pojawia się to i... Potrzyj mi piwo, kochanie – mówi Elena.

– Co to jest? – Linn przegląda stronę z forum inceli. Najwyraźniej widzi coś takiego po raz pierwszy. Robi się blade na twarzy, czytając niektóre tytuły wątków. Kilkakrotnie mocno mruga, jakby chciała odeprzeć całą nienawiść z pierwszej strony i wpuścić ją w małych dawkach.

– To – mówi Elena – jest jedno z największych szamb internetowych z mężczyznami w roli głównej. Forum inceli.

Linn zastyga w bezruchu.

– Jak ten facet, który zastrzelił wiele kobiet w USA?

– Właśnie – przytakuje Elena. – Elliot Rodger. I mnóstwo innych nazwisk. Jest ich coraz więcej, radykalizują się coraz szybciej i mocniej. Stają się coraz bardziej niebezpieczni. Tak się składa, że w Szwecji mamy najwięcej inceli w przeliczeniu na jednego mieszkańca na świecie.

– Ale – mówi Linn i drapie się po czubku głowy, tak że jej krótkie włosy, których nigdy nie może ułożyć, sterczą do góry. – Co to ma wspólnego z..., to znaczy, dlaczego na tym siedzisz i...?

Elena odchyła się na krześle, powoli unosi ramiona i pociera podbródek.

– Naprawdę nie wiem. Myślę, że chciałam... kontynuować. Mimo wszystko.

– Kontynuować?

– No, wiesz. Zabiłyśmy Roberta. I Kinnego. Moa zabiła swojego ojca. Twojego ojca zamknęli. To było cholernie dobre uczucie, mimo że o mały włos nie zginęłyśmy. Uratowałyśmy życie Abbasowi, Linn. Myślę, że chciałam tego więcej. Takiego haju. Chciałam zrobić coś jeszcze.

– Coś jak z Lindströmem?

– Tak, właśnie tak. Choć... nie do końca wszystko poszło po naszej myśli. Ale tak, o to chodzi.
– Więc siedziałaś po nocach i śledziłaś tych nieudaczników, prawników z problemami z agresją? – Linn szybko unosi brodę w stronę ekranu.

– Zgadza się. Nie tylko ich obserwowałam. Też ich zinfiltrowałam. Penetrowałam, jak wolisz – śmieje się.

– Żartujesz? – dopytuje Linn z uśmiechem.

– Nie. – Elena kręci głową. – Stworzyłam użytkownika i jestem na wszystkich tych forach od ponad pół roku. Użytkownika, który zaprzyjaźnił się z tymi chłopakami, żeby być może uzyskać informacje z wyprzedzeniem, gdy następnym razem będzie się działo coś dużego i niebezpiecznego.

– I co, udało ci się czegoś dowiedzieć? – Linn pochyla się i czyta jeszcze kilka tytułów wątków. – Kurwa – szepcze. – Co za obrzydliwe typy.

Elena powoli przechyla głowę z boku na bok, z zaciśniętymi ustami.

– I tak, i nie – odpowiada po chwili.

– O nie – mówi Linn, słysząc ton Eleny. – Czy chcę to wiedzieć? – pociera nasadę nosa.

– Może nie, ale w tej chwili nie masz chyba innego wyjścia – mówi Elena, klikając wątek, w którym lonliboi_20 został zdoxowany, żeby Linn mogła go przeczytać. Potem pokazuje jej wątek, w którym zazwyczaj planować karę.

– Okej... – zaczyna Linn, powoli wydychając powietrze z płuc, gdy kończy czytać. – Rozumiem, że – robi znak cudzysłowu w powietrzu – przyjaźniłaś się z tymi idiotami od dłuższego czasu, oni ci się zwierzali, a kiedy się zorientowali, że ich oszukałaś i że jesteś kobietą, tak się wkurzyli, że planują... cię dopaść?

Elena bierze głęboki wdech i po raz pierwszy widać, że ma mętlik w głowie.

– Naprawdę nie wiem. Może to tylko głupia gadka. Łatwo jest być twardym, jak się siedzi przed komputerem. Minęło już kilka dni, a na podjeździe nie zjawily się jeszcze blade nastoletnie szparagi z pochodniami i widłami w rękę, prawda?

Linn się śmieje, ale jest to gorzki śmiech.

– W każdym razie – kontynuuje Elena – ten FuckAlana chyba jest ich przywódcą, a on naprawdę jest aktywny i wszystkich podburza. Ci, którzy wyrażają się najostrej, z najbardziej szczegółowymi fantazjami na temat przemocy, zawsze otrzymują od niego wiele słów zachęty. I... no tak, też ci, którzy uważają, że powinienam zamilknąć na zawsze. Oni... w jakiś sposób dostali się do mojego komputera, Linn. Musieli to zrobić przez maila, tego, o którym myślałam, że przyszedł z pracy. W każdym razie sfilmowali mnie i byli w moim komputerze. Od tamtej pory dostałam mnóstwo hejterskich maili, niektóre tutaj, ale głównie do pracy.

– Więc to dlatego unikałaś biura?

– Między innymi – odpowiada Elena.

– Czy ty... się boisz?

Elena opiera łokcie na stole i chowa podbródek w dłoniach.

– Nie wiem, mam wrażenie, że cały czas się boimy, nie sądzisz? – wsuwa palce we włosy i lekko rozmasowuje głowę. – W sumie masz rację. W pracy czuję się bardziej bezbronna. Tutaj... – wykonuje zamasty gest, wskazując na rzeczy znajdujące się na stole przed nimi. – Tu mam to wszystko.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Elena przesuwając językiem po przednich zębach.

– Nie wiem, Linn. Chyba mi się wydawało, że teraz, kiedy wszystko tak się potoczyło, miałaś wystarczająco dużo spraw na głowie...

Siedzą w milczeniu przez kilka minut, w tym czasie Linn czuje, jak pot powoli wysycha na jej ciele.

– Wiesz co – mówi i wstaje – chyba mam pewien pomysł.

Elena patrzy na nią z nadzieją.

– Teraz mam wyrzuty sumienia. Naprawdę nie musisz nic więcej robić, żeby... Nie wiem. Przepraszam.

Linn pochyla się i całuje Elenę w czubek głowy.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Obiecuję. Lepiej, żebyśmy mówiły sobie takie rzeczy, zawsze. Zgoda? Koniec z tajemnicami?

Elena natychmiast przytakuje.

– Uważam, że to dobry układ. Taki, jaki właściwie miałyśmy od samego początku. Ja... po prostu nie chciałam, żebyś się jeszcze bardziej niepokoiła.

– Ale teraz jest, jak jest – odpowiada Linn. – I jak już mówiłam, mam pewien pomysł. Odlóżmy wszystkie rzeczy na swoje miejsce, a potem wezmę prysznic. A następnie zadzwonię do Antona.

– Antona?

Linn kiwa głową w zdecydowany sposób.

– Pierwsze, co musimy zrobić, jeśli zamierzamy sprawdzić, jak bardzo ci kolesie są niebezpieczni, to rozszyfrować, kim oni są. Dowiedzieć się, kto kryje się za nickami użytkowników. I właśnie w tym Anton może nam pomóc. Zresztą moja mama też. Przydałoby się jej teraz jakieś zadanie, żeby skupiła myśli na czymś innym. Sprawdźmy, kim jest FuckAlana. I ci inni, którzy publikowali najbardziej dosadne komentarze na twój temat. Gdy to zrobimy, wymyślimy, co dalej, okej? Razem damy radę. Jak zawsze – spogląda przez kuchenne okno. – Pan Syk jest na zewnątrz. Wpuścisz go, zanim zaczniemy?

Elena wstaje.

– Oczywiście.

Wspólnie zaczynają zbierać noże, paralizatory, kastety i inne przedmioty i umieszczają je z powrotem w kryjówkach. Linn obserwuje Elenę, która wkłada gaz pieprzowy do szafki na środki czystości i powoli zaczyna odczuwać ulgę. Coś było na rzeczy. Linn nie jest paranoiczką. Elena miała tajemnicę, która jej ciążyła. Teraz jednak wracają na właściwe tory. Razem. Tak jak powinno być.

Rozdział 36

Carl

Całe ciało śpiewa. Pompaticzna symfonia krwi i adrenaliny, zemsty i przemocy. Muzyka ciała, z której nawet Wagner byłby dumny. Dawno nie słyszał nic równie pięknego, jak krzyki, które wydawali. Carl na krótko zamyka oczy. Ponownie przywołuje w myślach tę scenę. Jak błagali o życie. Bezskutecznie. Mogłoby go to nawet poruszyć, gdyby nie fakt, że byli zwykłymi zdrajcami.

„Zło powraca do złych ludzi” – myśli.

Gdy po raz pierwszy okrążył dom Linn i Eleny, zwrócił uwagę na okno z tyłu. Wyglądało na nieco starsze od pozostałych. Takie, przez które trochę łatwiej się przedostać. Za drugim razem, gdy odważył się podejść naprawdę blisko, zrozumiał, o co chodzi, i zaśmiał się cicho. Teraz stoi kawałek dalej i próbuje sobie wyobrazić, jaki zasięg ma kamera przy drzwiach wejściowych.

Okno z tyłu to pułapka. Całkiem sprytna, trzeba im przyznać, ale nie sprytniejsza od niego. Ponownie patrzy na kamerę. Może po prostu odetnie prąd w skrzynce elektrycznej? To chore, w jaki sposób myślą właściciele domów. A raczej nie myślą. Instalują najdroższe alarmy i najnowsze kamery. Nie pamiętają jednak o skrzynkach rozdzielczych, więc każdy może wejść i odciąć dopływ prądu, a wtedy te systemy i kamery stają się małymi, bezużytecznymi kawałkami plastiku.

Czas ucieka. Wkrótce znajdą ciała w pobliżu Ljungbyhed. A gdy tylko to zrobią, okaże się, że każdy, kto sądził, że Carl Walter uciekł za granicę, był w błędzie. Wtedy wszystkie dostępne jednostki zostaną przeznaczane do monitorowania tych dwóch lesb.

Więc teraz albo nigdy.

Pod paznokciami nadal ma rdzawoczerwone ślady, mimo że kilkakrotnie dokładnie się wyszorował nad rzeką Saxån. Carl zbliża palce do nosa i wciąga powietrze. Czuje słodki, niesłabnący zapach krwi. Uśmiecha się szerzej, jednocześnie jego kutas rośnie, a kręgosłup puchnie. Powiedział im, że dostaną za swoje. Że ich czas nadejdzie. A przecież on zawsze ma rację.

Drzwi wejściowe nagle się otwierają. Siwa zdzira wystawia głowę i woła kota. Po chwili zwierzę przybiega i wchodzi do domu, nie zwracając na nią uwagi. Słyszy wyraźnie, jak przekręca zamek w drzwiach od środka.

„Dwoje z głowy, jeszcze dwie” – myśli i podrzuca plecak wyżej na ramieniu. Pytanie brzmi, czy nie powinno to się stać dzisiejszej nocy. Dlaczego miałyby zrezygnować teraz, skoro ma dobrą passę, o ile można to tak nazwać?

Zamierza obejść dom dookoła jeszcze raz, a potem musi bardzo dokładnie wszystko zaplanować. Najpierw wróci do prowizorycznego obozowiska w głębi lasu i coś przekąsi. Będzie potrzebował całej swojej siły. Musi wszystko porządnie przeanalizować. Zagłuszac sygnałów całkowicie uniemożliwi korzystanie z komórek i internetu w promieniu stu metrów. Nie będzie nawet możliwe wykonywanie połączeń alarmowych. To pierwszy krok. Gdy go już umieści we właściwym miejscu, zabierze się za skrzynkę elektryczną. Jeśli wbrew wszelkim oczekiwaniom zabezpieczyły ją przed włamaniem, najtrudniejszym zadaniem będzie zmuszenie ich do wyłączenia alarmu. Choć powinno to być możliwe, jeśli tylko użyje odpowiedniego środka nacisku...

Myśląc o tym, podnosi wzrok i patrzy w stronę domu Moi i Jonny.

„Bingo – myśli – trzy pieczenie na jednym ogniu”.

Rozdział 37

Moa

Wreszcie przyszła pora na nią i Moa ma wrażenie, że przez silne doznania zaraz oderwie się od ziemi i odleci jak balon wypełniony helem. Prawie wszystkie z nich są pozytywne. Próbowwała wielu różnych narkotyków: ecstasy, marihuany, czystego MDMA..., ale nic nie było tak prawdziwe, tak mocne jak to.

Czuje ciężar karabinu na ramieniu i na podpórce, która podtrzymuje łożo przednie. Poprawia ułożenie głowy tak, by dobrze widzieć.

Gdy na Stortorget starcie z policją rozpoczęło się na dobre, Falochronów już tam nie było. Zrobiły to, po co tam przyszły: stały się iskrą, która wznieciła ducha walki kobiet. Rozpoczęły pieprzoną rewolucję. Podczas gdy policja zajmowała się następstwami tego, co się tam wydarzyło, Malmö było bezbronne niczym skąpo odziana dziewczica w tłumie na festiwalu muzycznym. Stało otworem dla nich i ich karabinów.

Leo zastrzeliła siódmego mężczyznę godzinę temu. Policja w Malmö, będąca i tak już w trudnej sytuacji, musiała wysłać jednostki do siódmej ofiary Kobiety Laser, dzięki czemu Falochrony mają jeszcze większe pole do działania. Przed chwilą jeden z policjantów powiedział, że wezwano posiłki z całej Skanii, a i tak jest ich za mało. Teraz nadszedł czas, by Moa wkroczyła do gry.

Koniec z melonami, czerwonymi jabłkami czy puszkami aluminiowymi.

Myślała, że będzie musiała błagać, żeby zacząć strzelać na poważnie, ale stało się wręcz odwrotnie. Falochrony były z niej dumne. Dodawały otuchy. Leo wprawdzie myślała, że dzisiaj oddadzą tylko jeden strzał, wtedy, gdy sama strzeliła z dachu centrum handlowego Mobilia w stronę parkingu, który się przed nim znajdował. Kiedy Moa powiedziała, że czuje się gotowa, plany szybko zostały zrewidowane i zdecydowano o kolejnym strzale.

Moa patrzy w dół na przechodzących ludzi. „Dachy są dobre” – tłumaczyła Leo. Z kilku powodów. Kulochwyty, kąty strzału, ale także dlatego, że ludzie nie wiedzą, skąd pada strzał, gdy nie widzą strzelca. Nie tak jak w przypadku tego idioty Johna Ausoniusa, po którym, z tego, co czytała, otrzymały ksywę Kobieta Laser. Był skończonym frajerem. Podchodził blisko ofiar i do nich strzelał. Czasami oddawał wiele strzałów, a i tak zdecydowana większość z nich przeżyła.

„Tylko kobiety dobrze wykonują swoją robotę” – myśli Moa i wpatruje się w celownik. Fakt, że znajdują się na dachu, zaledwie kilkaset metrów od komisariatu, to czysta poezja, chciałoby się rzec.

Na przystanku autobusowym, który obrała sobie za cel, zwykle stoi mnóstwo ludzi. Jednak teraz, o zmierzchu, mieszkańcy Malmö najwyraźniej woleli zaszyć się w domach. Być może nie ma w tym nic dziwnego. Najpierw jakieś cholerne zamieszki, a potem zabójstwa. Jakby miasto naprawdę stało się takie, za jakie przez lata uważali je rasiści.

Jakiś koleś z czarną sportową torbą przewieszoną przez ramię i kijem do unihokeja w rękę zbliża się do przystanku. Wygląda na tak bardzo zadufanego i zadowolonego z siebie, jak tylko biały mężczyzna w średnim wieku potrafi być. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że rozpoczęła się nowa era. Pod spodenkami ma coś, co wygląda jak długie spodenki kolarskie z białej lycry. Przepona koszulka przykleja mu się do ciała, jego chód jest pewny.

Moa zgrzyta zębami ze złości, widząc wyraz jego twarzy.

„Jak on, do cholery, śmie?”

Zbliża palec do spustu. Veronica i Leo coś szepczą, stojąc za nią. Kiedy jednak widzą, że szykuje się do oddania strzału, milną. Słyszy ich oddalające się kroki. Veronica pewnie idzie przygotować samo-

chód. Teraz jednak wszystko dla Moi przestaje być ważne, z wyjątkiem małego, okrągłego pola, które widzi przez lunetę celowniczą. Krzyżyk celownika umieszczony jest starannie pośrodku czoła tego gnoja w dole.

Naciska spust.

Trafia jednak nie tam, gdzie chciała. Musiała wystrzelić zbyt szybko. Dostał w ramię. Mężczyzna się zatacza, a szyba przystanku autobusowego rozbija się i szkło spada na chodnik. Moa bierze wdech i zdeterminowana oddaje kolejny strzał. Gdzieś po prawej stronie rozlega się brzęk spadającej łuski z poprzedniego naboju. Słyszy, że Leo coś mówi, ale nie wie co, bo w jej głowie tańczą tylko słowa:

„Skoro już zaczęłam strzelać, nie przestanę, dopóki ofiara nie padnie”.

Mężczyzna na przystanku coś wykrzykuje, błędnym spojrzeniem rozgląda się dookoła i chwytą za prawą rękę, z której tryska krew. Choć dość szybko przestaje krzyczeć, bo druga kula trafia w środek gardła, rozrywając krtań na chrząstki, odłamki kości i krew, co skutecznie uniemożliwia wydostanie się jakichkolwiek słów.

Rozdział 38

Linn

„Kurwa, kurwa, kurwa”.

Linn odrzuca połączenie i oddycha nerwowo. Serce wali tak mocno, jakby chciało uciec z klatki piersiowej, jednocześnie Linn cały czas przeklina w myślach. To już dziesiąty telefon, który wykonała w ciągu dwudziestu minut.

„Anton, do choleryyy”.

Dlaczego nie odpowiada? Mama też nie. Wprawdzie powiedzieli, że będą się ukrywać, a to może oznaczać, że mają wyłączone komórki.

„Jednak telefon mamy jest włączony. Jest sygnał”.

W głowie Linn grzmią sygnały alarmowe w rozmiarze XXL, tak jakby spała i musiała za wszelką cenę się obudzić. I może tak jest.

„Przecież obiecałam, że nikomu nie powiem, gdzie oni są” – myśli po raz piąty, wędrując w tę i z powrotem po salonie. Pan Syk dla odmiany siedzi w tym samym pokoju z ogonem zgrabnie owiniętym wokół łap. Przygląda się jej z zainteresowaniem. Stroszy uszy za każdym razem, gdy Linn przeklina. Jakby mu się ta napięta atmosfera podobała. Koci drań.

Elena siada na kanapie i patrzy na nią ze współczuciem. Linn wie, co chodzi jej po głowie. Uważa, że Linn powinna zadzwonić do Martina Ljungståla. Najbliższego im człowieka z policji w Landskronie. To ktoś, komu rzeczywiście mogą zaufać.

„A co, jeśli ojciec założył podsłuch w jego telefonie, a ja powiem, dokąd ma jechać? Ojciec wtedy się dowie i...”

Przerывa rozmyślania i próbuje nie histeryzować. Jak, do diabła, ojciec mógłby podsłuchiwać telefon Ljungståla? „Ech, no właśnie. Przestań się nakręcać”.

Elena nadal nic nie mówi. Po prostu patrzy na nią z zatroskanym wyrazem twarzy. Linn ponownie próbuje dodzwonić się na numer mamy. Znowu to samo. Czeką, aż odzywa się irytujący kobiecy głos:

„Osoba, do której dzwonisz, nie może w tej chwili odebrać telefonu. Proszę spróbować później”.

Zaciska zęby i wydaje z siebie odgłos, coś pomiędzy warknięciem a krzykiem. Tym razem wybiera numer Antona. Ponownie. Na początku chodziło tylko o to, żeby pomógł jej i Elenie, ale teraz uczucie, które towarzyszyło jej podczas joggingu, powróciło z nową siłą.

„Coś jest nie tak. Cholernie nie tak”.

– Myślisz, że naprawdę powinnam to zrobić? – pyta Elenę po raz trzeci, a ta po raz trzeci odpowiada najspokojniej, jak potrafi, że tak.

Linn przelyka ślinę. Stara się zebrać kłębiące się myśli, co przypomina trochę próbę zaganiania stada zbków, i wybiera numer Martina Ljungståla z listy kontaktów. Spodziewa się, że usłyszy tylko wolny sygnał i poza tym nic więcej się nie wydarzy. Jakby rzeczywiście została sama na świecie. „Za chwilę Elena zniknie z kanapy w kłębach pieprzonego dymu” – myśli histerycznie.

Ljungstål odbiera jednak po dwóch sygnałach.

– Linn? – odzywa się męczyzna od razu zaniepokojonym głosem. Wiadomo. Kiedy Linn Walter dzwoni na policję, nigdy nie są to dobre wieści.

– Cześć, Martin – mówi Linn. – Słuchaj, wiem, że i tak macie już sporo pracy, ale... zastanawiam się, czy mógłbyś mi pomóc z jedną rzeczą?

– Dla ciebie wszystko – odpowiada Martin. Najwyraźniej jest na zewnątrz, ponieważ w słuchawce słychać głośnie szmery.

– Jesteś w pracy?

Martin lekko wzdycha, ale z tonu jego głosu można się domyślić, że gdy odpowiada, nadal się uśmiecha:

– A czy ja kiedykolwiek nie jestem w pracy?

– Chodzi o mamę i Antona.

Teraz głos Martina natychmiast staje się wyraźniejszy. Ostrzejszy.

– Co z nimi? Coś się stało?

Linn mocno ścisła słuchawkę i modli się do wszystkich świętych, by odpowiedź na to pytanie brzmiała „nie”.

– Nie wiem – odpowiada. – Oni... mieli razem wyjechać. Ukryć się. No bo ojciec jest... no wiesz.

– Mhm – mówi Martin. – Ale?

Linn słyszy znajomy dźwięk kierunkowskazu.

– Prowadzisz samochód?

– Tak, pomagałem koledze w Svalöv z jedną rzeczą i właśnie miałem wracać do miasta. Teraz stoję na poboczu i rozmawiam z tobą. I przechodzą mnie ciarki. Więc mów dalej, twoja mama i Anton mieli się ukryć. I...?

Linn czuje wzbierające w brzuchu ciepłe uczucia, które unoszą się w górę ciała jak ciepła mgła. To jak przytulanie, ale od środka. On naprawdę troszczy się o nią i jej rodzinę.

– Mieli zatrzymać się w małym pensjonacie pod Ljungbyhed. Na odludziu. Mama chyba знаła właściciela. I... chodzi o to, że już kilka razy próbowałam się do nich dodzwonić, ale nie odbierają.

– Kilka razy?

– No okej... mnóstwo razy – przyznaje Linn.

– Czy oni po prostu nie wyłączyli telefonów?

– O to właśnie chodzi. Antona komórka jest wyłączona. Ale mamy nie. Słychać wolny sygnał, jednak nie odbiera. Podobno się ukrywają, więc raczej nie imprezują teraz na mieście czy coś w tym rodzaju, przez co nie mogliby odebrać, no nie?

– Nie, wygląda na to, że... – Martin milknie, gdy uświadamia sobie, co według Linn mogło się wydarzyć. – Myślisz, że Carl mógł ich... znaleźć?

Teraz Linn musi spojrzeć w sufit, żeby się nie rozplakać. Jednak łyż i tak cisną się do oczu. Linn odchrząkuje i je ociera.

– Tak – odpowiada. – To znaczy, nie wiem, czy tak jest, ale właśnie tego się tak cholernie boję. I że dlatego żadne z nich nie odbiera.

Zamyka oczy i przykładła zaciśniętą pięść do czoła. Uderza się lekko raz, drugi i trzeci, czekając na to, co powie Martin.

– Z Svalöv do Ljungbyhed jedzie się około dwudziestu minut – mówi. – Dziesięć, jeśli pojedą na sygnale. Wyślij mi nazwę miejsca esemesem, to pojedą okrężną drogą. Tak będzie najlepiej. Albo potrzebują pomocy, albo nie, a wtedy będziesz mogła się trochę uspokoić. Słyszę, jak bardzo jesteś zdenerwowana.

Po raz kolejny łyż spływają jej po policzkach, ale teraz Linn nie robi nic, by je powstrzymać, tylko uśmiecha się, całym sercem dziękując Martinowi Ljungstålowi.

– Zadzwoń do mnie, jak dojedziesz na miejsce?

– Tak, od razu – odpowiada.

– Do usłyszenia za dziesięć lub dwadzieścia minut w takim razie, zgadza się?

– Tak. A potem możesz ich ochrzanić za to, że zostawili telefony w samochodzie czy coś takiego – próbuje ją uspokoić.

Linn stara się roześmiać, aby pokazać, że jej obawy są niepoważne i że w zasadzie się z nim zgadza, ale gdy się rozłączają, skręca ją w żołądku. Jakby żrący kwas wyciekał do jamy brzusznej. Albo tak, jakby już wiedział, co Martin Ljungstål znajdzie, gdy dotrze na miejsce.

Przeszła salon tam i z powrotem tyle razy, że mogłaby wydeptać w podłodze głęboki rów, niczym Sknerus McKwacz obawiający się Braci Be w jakimś starym numerze Kaczora Donalda. Elena każe jej usiąść obok siebie na kanapie.

– Jeszcze tylko parę minut – mówi pocieszającym tonem, biorąc Linn za rękę. Całuje ją.

Linn próbuje się uśmiechnąć, ale czuje napięcie w kącikach ust. Natychmiast znowu ściągają się w dół. Ciało robi się ciężkie. Linn zna to uczucie. Jakby przyciąganie grawitacyjne ziemi zdwoiło swoją siłę.

– Dlaczego on nie dzwoni? – wydusza z siebie z drżącym podbródkiem.

Elena spogląda na zegarek.

– Minęło zaledwie piętnaście minut, może ruch był większy, niż się spodziewał. A może dopiero co tam dotarł i puka do drzwi. Pogadają chwilę o tym i owym, kiedy wszyscy odetchną z ulgą, że nie stało się tak, jak myślałaś. Potem sięgną po swoje telefony i bla, bla, bla. Pewnie niedługo zadzwoni, zobaczysz.

Mijają kolejne minuty. Tykanie zegara z korytarza jest jedynym dźwiękiem w całym domu. Na zewnątrz skrzeczy zdenerwowana sroka. Linn wydaje się, że słyszy bicie własnego serca, za każdym razem nieco głośniejsze.

Ponownie zerka na zegarek i wzdycha.

– Minęło już pół godziny! – jej głos brzmi tak samo zgrzytliwie jak skrzek sroki.

Tym razem Elena odpowiada już nie tak pewnie, choć się stara:

– Korki na drogach, Linn. Pewnie utknął w korku. Albo złapał gumę czy coś takiego.

Linn nie może już dłużej wytrzymać.

– Nie, cholera. Zadzwonił do niego. Trzydzieści dwie minuty. Powiedział, że będzie tam za około dziesięć-dwadzieścia. Coś jest nie tak. Korki? Żartujesz sobie? Koło tej dziury, jaką jest Svalöv?

Elena ściska jej dłoń.

– Śmiało, dzwoń, jeśli chcesz. Przekonasz się. Pewnie teraz stoi gdzieś na poboczu i przeklina, bo musi zmienić oponę.

Linn próbuje sobie to wyobrazić, ale nerwowo uderza palcami o udo, gdy czeka, aż odbierze.

– Teraz on też nie odbiera!

Twarz Eleny blednie o kilka odcieni.

– Co? Nie odbiera?

– Ciii – mówi Linn, zakrywając drugie ucho i słucha z napięciem. – A nie, to była tylko automatyczna sekretarka. – Rozłącza się i patrzy na zegarek. – Trzydzieści pięć minut. Dlaczego nie odbiera telefonu, co? Powiedział, że zajmie to najwyżej dwadzieścia minut, „najwyżej dwadzieścia minut” – dokładnie tak powiedział, więc dlaczego...

Bełkot, który wydobywa się z owładniętej paniką Linn zostaje nagle przerwany przez dźwięk dzwonka do drzwi, co sprawia, że obie podskakują. Elena wstaje przejęta i spieszy do okna w korytarzu.

– O nie... – szepcze.

Dzwonek do drzwi ponownie rozbrzmiewa nawołującym ding-dong, jakby osoba stojąca na zewnątrz się spieszyła. Linn zrywa się na równe nogi.

– Co?

– Na podjeździe stoi radiowóz, Linn.

– Na podjeździe? Nie na ulicy? Mieli przejeżdżać kilka razy dziennie, żeby sprawdzać okolicę, ale...

Idąc w stronę drzwi, ma wrażenie, że brodzi w syropie po kolana. Czy ona oddycha? Sama nie wie. Ale inaczej chyba by zemdląła? Kiedy dociera do drzwi wejściowych, nagle uświadamia sobie, że

omdlenie jest bardzo prawdopodobnym scenariuszem i musi oprzeć się o framugę drzwi, jednocześnie naciskając klamkę.

Wyraz twarzy dwóch policjantek stojących na zewnątrz mówi wszystko. Kojarzy jedną z nich. Tę, która otwiera usta ze współczującą miną i która trzyma czapkę policyjną na wysokości piersi. Linn spogląda na drugą policjantkę. Ona również trzyma w ręku czapkę. Linn ledwo słyszy, co mówią. W momencie, gdy pada na kolana, czuje ręce Eleny za sobą. Elena próbuje ją podeprzeć, trzymając pod pachami, ale to na nic.

Wszystko zaczyna się rozpadać.

Wszystko.

Rozdział 39

Moa

Całe jej ciało płonie po tym, co zrobiła. Jakby wstąpiła w nią supermoc. Jedno jest pewne – pociągnięcie za spust było czymś zupełnie innym, gdy na celowniku znajdował się jakiś obleśny typ, niż gdy chodziło o niewinne małe jabłuszko. Jakby w czasie odrzutu została naładowana jakąś siłą. Czymś, co oparowało jej ciało w momencie uderzenia w ramię, a teraz rośnie i rośnie. Buzuje w mięśniach. W mózgu. Przypomina to trochę lizanie gigantycznej baterii. Moa od kilku godzin nie może przestać się uśmiechać.

„Jebać opiekę społeczną” – ta myśl porusza każde zakończenie nerwowe w jej ciele. W lesie zaczęło się ściemniać, ale Moa nosi teraz własne światło, jakby jej żyły zostały zastąpione światłowodami. Jest pochodnią. Latarnią. Fajerwerkiem. Mówi się, że kobiety w ciąży promienieją, i jest przekonana, że w tej chwili ona też promienieje. W zasadzie od chwili, gdy oddała strzał.

„Jak jakaś pieprzona bogini”. Najpotężniejsza ze wszystkich.

Wszystko wydaje się takie oczywiste. Wyprowadzi się na stałe na farmę. Nikt jej tam nie znajdzie. Musi tylko zabrać trochę rzeczy z domu, a potem się dowie, czy nie mogłaby sprowadzić tam Linn i Eleny. Powinny do nich dołączyć. Gdzieś w środku myślą to samo, co ona o... tym wszystkim. Chcą zrobić to, co zrobiła Moa. Ona to wie. Ciągłe jednak udają dorosłe i w kółko wszystko analizują: „z jednej strony tak..., a z drugiej strony tak...”.

Kopie kamień leżący na zwirowej drodze i uważa, że leci z niezwykłą siłą. Bo właśnie to Moa teraz czuje. Że ma więcej siły niż kiedykolwiek. Czują coś podobnego jedynie wtedy, gdy zastrzeliła ojca. I Roberta.

„Ale wtedy byłam dzieckiem. Nie miałam o niczym pojęcia. I czułam się winna. To wcale nie takie dziwne” – myśli. Ale tym razem... tym razem to po prostu niezła jazda. Teraz naprawdę jest jedną z nich. Jedną z Falochronów. Jedną z wiedźm i suk podążających śladami Valerie Solanas. Władczynią wszechświata.

Wychodzi zza rogu i zauważa dwie szare postacie stojące obok domu Linn i Eleny. Latarnie jeszcze nie świecą, a w zapadających ciemnościach późnego wieczoru trudno jest cokolwiek wyraźnie zobaczyć.

„Cholera, o co chodzi? Kim są ci ludzie?”

Szybko wyjmuje telefon, kuląc się w sobie. Robi kilka niewyraźnych zdjęć i powoli się do nich zbliża. Widzi, jak mężczyźni podchodzą do okna, przykucają i zaglądają do środka. Moa czuje wokół siebie roztańczającą się boską aurę i nabiera powietrza.

– Hej! Co wy tam, do cholery, robicie? – krzyczy, rozprostowując plecy. Nie ma broni, ale wcale jej nie potrzebuje. Ona sama jest bronią.

Mężczyźni podskakują, jakby sam Bóg zesłał na nich piorun. Gdy widzą Moę, wymieniają między sobą kilka słów i uciekają w gnieniu oka.

„Pieprzone tchórze”.

Moa wybiera numer do Linn, ale jest tylko wolny sygnał. W tym samym czasie słychać samochód ruszający z piskiem opon gdzieś niedaleko. Potem rozlega się dźwięk klaksonu. „Co jest...? Czyżby Linn odrzuciła połączenie? Zupełnie jakby dzwonił do niej jakiś przypadkowy sprzedawca. Na maksa wkurzające”. Moa przeklina i wyszukuje numer Eleny.

Głos Eleny brzmi trochę dziwnie, ale po wyjaśnieniach Moi i po tym, jak się rozłączają, cały dom się rozświetla. Zapala się oświetlenie zewnętrzne i chyba każda lampa wewnątrz. Na schodach pojawia się Elena. Moa biegnie w jej stronę, ale kiedy widzi w proggu zaczerwioną twarz Eleny, zatrzymuje się kilka metrów od niej.

– Co się stało?

Elena tylko potrząsa głową, a łzy znów cieką po policzkach. Widać, że to już nie pierwszy raz dzisiaj. Potem się zatacza.

– O, shit – mówi Moa i podbiega, by ją podeprzeć. Czuje znajomy zapach. Rum, który w tym momencie pachnie niczym perfumy Eleny. Obraz mamy chce przebić się do mózgu. Mamy, która potrzebowała pomocy, by dojść do łóżka, toalety czy stołu w jadalni. Moa jednak odsuwa od siebie te wspomnienia. Podtrzymuje Elenę, pomagając jej wrócić na korytarz, a potem prowadzi ją do kanapy, na którą upada. Na stole stoi butelka. Ponad połowa jest pusta.

„Kurwa, nie. Nie teraz” – myśli Moa. Elena nie będzie w stanie dziś nigdzie pójść. Jeśli w ogóle uda jej się stąd dotrzeć do sypialni, to będzie cud.

– On ich zabił – odzywa się Elena i znów zaczyna płakać. Podnosi szklankę stojącą obok butelki na stole i opróżnia ją trzema dużymi łykami. Trochę brązowego rumu spływa jej po brodzie i kapie na kolaną, ale ona zdaje się nawet tego nie zauważać.

– Linn jest na miejscu zbrodni, aby zi-zidentyfikować... – czka dwa razy i płacze coraz mocniej. – ... zwłoki... zwłoki.

Moa zamiera. Z trudem te słowa docierają do jej świadomości. Wszystkie włosy na jej ciele stają dęba, ale tym razem nie jest to przyjemne uczucie. Rozgląda się po domu, w którym nagle czuć złowrogą ciszę. Nawet kota nigdzie nie widać.

– On...? – wydobywa z siebie. – To znaczy...

– Carl – odburkuje cicho Elena i próbuje ponownie napić się ze stojącej przed nią szklanki. Ale jest już pusta. Odkłada ją z hukiem i patrzy na Moę błędnym wzrokiem.

Moa odsuwa nieco butelkę, gdy Elena próbuje po nią sięgnąć.

– Elena. Kurwa mać. Kogo tam... znaleźli? – pyta bardziej ściśniętym głosem. Bardziej piskliwym. Jakby gardło powoli puchło. Moa chwytą się za szyję. Ma wrażenie, że cała głowa jej się kurczy.

– Jej mamę Anne. I Antona. – Elena próbuje położyć się na kanapie i przewraca się na bok. Włosy opadają jej na twarz jak posępna zasłona. Parę kosmyków unosi się w górę pod wpływem ciężkiego oddechu, po czym znów ląduje na twarzy. Elena nie robi nic, by je odgarnąć.

Brzuch Moi staje się jaskrawoczerwoną, żarzącą się kulą. Wszystkie magiczne promienie, które jeszcze przed chwilą czuła, cała ta boska moc, którą nosiła w sobie, momentalnie znikają.

– Co ty, do cholery, mówisz? Anne i Anton... nie żyją?

Elena kiwa niemrawo głową i znów zaczyna płakać. Napina się, jakby miała skurcze żołądka.

„Kurwa. Czy ten, kogo widziałam, to był Carl? Kim byłby ten drugi? Może Pernilla – myśli Moa z kwaśnym posmakiem w ustach – jego żona? Czy to możliwe? Chociaż wyglądali raczej na dwóch facetów i... chyba rozpoznałbym Carla nawet w ciemności”. Moa patrzy na Elenę i prawie wpada w panikę, gdy uświadamia sobie, że kobieta przed nią niemal odpływa. „Niemał”... to chyba zbyt łagodne określenie. Elena najwyraźniej już dotarła do końcowej stacji upojenia alkoholowego.

– Elena – mówi, chwytając ją za rękę. Próbuje podciągnąć ją na kanapie, tak by usiadła. – Proszę cię. Musimy stąd spieprzać. Znam miejsce, w którym będziemy bezpieczne. U Falochronów. Nikt nas tam nie znajdzie.

Elena nie reaguje. Zanurzyła się zbyt głęboko w usypiającym morzu rumu. „Ile ona w sobie tego wlała?”

– Elena! – Moa próbuje ponownie i mocniej ciągnie ją za rękę. – No już. Wstawaj! Pojedziemy na farmę. Lepiej być tam, bo tam jest nas wiele, mamy broń i... – musi przerwać i przetrzeć oczy, bo łązy prawie ją oslepiają.

I tym razem Elena nie reaguje. Zamiast tego chrapie.

Moa puszcza jej dłoń, która opada jak martwa wrona. Patrzy na upitą do nieprzytomności kobietę na kanapie i chciałaby na nią wrzasnąć, czując każdą komórką ciała, że nienawidzi jej i kocha ją jednocześnie. Potem biegnie do kuchni po kartkę. Drżącą ręką zapisuje na niej współrzędne GPS farmy. Leo zmusiła wszystkie członkinie Falochronów do nauczenia się ich na pamięć.

„Przyjedź, tu jesteśmy bezpieczne. / M” – dopisuje na kartce i kładzie ją na środku stolika kawowego, żeby Elena nie przeoczyła jej po przebudzeniu. Bębni palcami o dolną wargę. Zastanawia się. Następnie przesuwa butelkę z rumem tak by stała na jednym z rogów kartki. Teraz Elena na pewno to zauważy, bo przecież alkohol to pierwsza rzecz, której będzie szukać, gdy tylko oprzytomnieje, a kac zacznie rozwalać jej mózg na miazgę.

– Bo... – bełkocze półprzytomna Elena niespodziewanie. Moa aż podskakuje. – Linn powiedziała, żeby wszystko tu przygotować – mówi tak niewyraźnie, jakby jej spuchł język. – Spytałam, czy mam iść z nią, ale powiedziała, że nie. My... my... musimy umieć się obronić. Tak powiedziała.

„Jeśli to Carl” – myśli Moa. Tak, to właśnie jest to, co muszą zrobić. Wyciągnąć każdą broń, jaką mają. Chronić siebie i...

Wiadro pełne lodowatej wody i bezlitośnie złych przeczuć nagle oblewa plecy Moi w momencie, gdy zdaje sobie sprawę z jednej rzeczy. Prostuje się i patrzy w stronę swojego domu, jakby miała rentgen w oczach i mogła widzieć przez ściany.

„Mama”.

Spogląda na zalaną alkoholem Elenę na kanapie, która teraz ciężko oddycha i znów zasnęła, a potem na kartkę, którą zostawiła na stole. Biję się z myślami. Co ona ma, do cholery, zrobić?

„Kurwa!”

Czy powinna zostać tutaj i próbować ocucić Elenę? Postawić jej przed nosem dzbanek z cholernie mocną kawą? Czy może powinna...?

Ech. W tej chwili ma tylko jedno wyjście. O ile to naprawdę był Carl. Carl, który zabił już Anne i Antona – ta myśl jest tak absurdalna, że wciąż można ją od siebie odpychać jak złą bajkę, która wcale nie musi być prawdziwa, ale jeśli tak było..., to...

„Muszę iść do domu. I to już!”

Rozdział 40

Carl

Co to za jakiś cholerny węzeł komunikacyjny, którym nagle stał się ten dom? Carl mruczy pod nosem, przynosi ciężar z jednej nogi na drugą. Właśnie szedł do skrzynki rozdzielczej, mając pod ręką śrubokręt i obcinaki, gdy zjawiły się pieprzone gliny. Dwie policjantki. Tym razem nie przejechały tak po prostu jak w czasie patrolu, raz na trzy godziny przez całą dobę. I wie dlaczego. To nie patrol. Chodzi o coś zupełnie innego.

Nie trzeba być Einsteinem, żeby pojąć, co się dzieje. Gdy te cholerne policjantki zdjęły czapki, zanim zadzwoniły do drzwi, by okazać szacunek. Gdy Linn wrzasnęła niemal natychmiast po otwarciu drzwi i upadła na schodach jak żałosna, trzęsąca się masa. Wtedy już wiedział.

„Znaleźli ciała”.

Został, żeby podziwiać widowisko. Dochodziły do niego udręczone krzyki tej pierdolonej donosicielki. Niczym dźwięki najśłodszej muzyki. Odgłos, na który czekał od ponad dwudziestu dwóch lat. Na krótką chwilę wszyscy weszli do domu, ale już po kilku minutach Linn i policjantki wyszły na zewnątrz. „Linn wyglądała jak jakiś pieprzony duch między tymi funkcjonariuszkami” – wspomina z satysfakcją. Mało tego. Jak duch ducha. Dwukrotnie martwy. Pokonany. Wskoczyła do radiowozu z pozabawioną wyrazu twarzą i wszystkie trzy odjechały. Ta stara lesba została w domu, co bardzo odpowiadało Carlowi.

„Poezja – pomyślał wtedy. – Po zidentyfikowaniu ciała matki i brata Linn wejdzie do swojego domu tylko po to, by znaleźć tam swoją dziewczynę martwą w samym środku spektakularnej kałuży krwi”. Zbliżył palce do nosa i je powąchał, by poczuć zapach krwi, który jeszcze się na nich utrzymywał. Sztykował się po raz kolejny.

Ale gdy miał ruszyć, pojawiły się te dwa patałachy, więc musiał znowu wycofać się w mrok. Nie miał najmniejszego pojęcia, kim oni są, ale słysząc ich zbyt głośne szepty, od razu stwierdził, że to skończone przygłupy. Na pewno żadni doświadczeni przestępcy. Wyglądało na to, że postanowili włamać się przez okno-pułapkę z tyłu domu.

Carl przewrócił oczami i przez chwilę zastanawiał się, czy ich nie ostrzec i nie powiedzieć, żeby trochę zaczekali. Wtedy odciałby zasilanie. Potem bawił się myślą, czy nie zabić także tych dwóch koleś, ale wtedy przyszedł mu do głowy inny pomysł – że może to i dobrze, że ci dwaj idioci zostali uchwyceni praktycznie na każdym monitoringu wokół domu. Oczywiście byłby dumny, gdyby przypisano mu winę za śmierć obu tych dziwek... ale jeśli gliniarze najpierw podążą złym tropem, da mu to czas na ucieczkę z kraju. Potem mógłby wysłać długi list na policję, w którym dokładnie opíše to, co zrobił.

Przejdzie do historii.

Kiedy Carl patrzył, jak dwaj debile ponownie zbliżyli się do okna, trzykrotnie uprzednio okrążywszy dom i zostawiwszy za sobą wszystkie możliwe ślady, zjawiła się ta cholerna mała suka.

Carl przeklina. Pieprzona gówniara. Kończy mu się czas, czuje to w całym ciele.

Te półgłówki uciekły, bo Moa ich wystraszyła. I teraz ona tam jest. Z tego, co Carl się domyśla, może zostać tam na noc. Nic na to nie poradzi, więc...

Drzwi wejściowe się otwierają i Carl zastyga z obcinakami w jednej ręce i śrubokrętem w drugiej. W jednej chwili napina całe ciało.

Dom jest oświetlony jak pieprzona choinka. Mała Moa wygląda na przestraszoną. I to jest piękne. Spogląda w stronę lasu, jakby wiedziała, że Carl ukrywa się w krzakach zaledwie kilka metrów dalej.

Ach, tak. Więc ona też już wie. W takim razie nie ma mowy o tym, żeby pozwolić jej uciec. Za jakąś godzinę będzie tu pełno glin. I tak wkrótce miał się nią zająć.

Gdy Moa ostrożnie zamyka za sobą drzwi i wraca do domu zwawym, ale bezszelestnym krokiem, Carl szybko podejmuje decyzję.

Zmiana planów.

Ale to też mu się spodoba.

Rozdział 41

Moa

To, że w domu świecą się wszystkie światła, a na ulicy zapalono już latarnie, nie pomaga. Las wydaje się złowrogi i pełen pułapek, gdy Moa wychodzi na schody i zamyka za sobą drzwi.

„Pieprzona Elena – myśli – żeby tak po prostu się wycofać z życia, teraz kiedy najbardziej siebie potrzebujemy. Typowa pijaczka. Z chorym ego”.

Ze złością ociera nos rękawem. Ale jest jak jest. I Moa zrobiła, co mogła. Zostawiła Linn i Elenie współrzędne farmy – mogą tam przyjechać, kiedy tylko zechcą. Dołączyć do Falochronów albo, jeśli wolą, zostać tutaj i walczyć. Nie może za nie zdecydować.

Moa idzie powoli w dół podjazdem i wychodzi na drogę. Widzi, jak jej cień się wydłuża, im bardziej oddala się od lamp zewnętrznych domu, i napina ciało, jakby to mogło pomóc jej lepiej widzieć i słyszeć. Prawie dostaje zawału, gdy kilka metrów przed nią nietoperz nurkuje w powietrzu, okrążając ją łukiem. Chwyta się za serce, tylko częściowo świadoma tego, co się dzieje, i napina każdy mięsień, jakby chciała zmusić ciało do rozwinięcia macek na wszystkie strony.

Musi minąć jeszcze tylko pięć domów i będzie u siebie.

I co, do diabła, ma zrobić, gdy tam przyjdzie? Nie może zabrać matki na farmę. „Tym problemem zajmę się później” – myśli, gdy mija pierwszy dom, boleśnie zauważając, że zmrok tak szybko zapadł. Dom wygląda na pusty. W jednym z okien widzi swoje falujące odbicie. Poczucie samotności i bezbronności uderza z nową siłą. Moę przechodzi dreszcz, otrząsa się i przyspiesza kroku.

Tak czy siak, musi ostrzec mamę. Na pewno nie może jej powiedzieć o Falochronach. Mama z pewnością zadzwoniłaby po opiekę społeczną i policję i wysłałaby ich wszystkich prosto do Fjellie. Bez wątplenia wierzyłaby, że władze są w stanie wszystko rozwiązać. Że pomogą wszystkim, tak jak jej pomogli. Moa jednak wie, jak to wygląda. Nie będą w stanie pomóc. Dla niektórych kobiet z Falochronów nie da się zrobić nic, a pozostałe po prostu nie chcą żadnej pomocy.

Gdy słyszy chrzęst na żwirowej drodze za sobą, zastyga w bezruchu i się zatrzymuje. Serce wali jej w piersiach.

„Zostały już tylko cztery domy. Cholera... ruchy!”

Powinna biec, ale nogi protestują. To pewnie nic takiego. Jakiś cholerny jeź czy coś w tym stylu. Ale... musi to sprawdzić.

Powoli, powoli odwraca się na pięcie, starając się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz.

Żwirowa droga jest pusta. Częściowo oświetlona ciemnożółtym blaskiem latarni ulicznych, częściowo całkowicie pogrążona w ciemności.

„Jest tak cicho”.

Moa myśli, że odgłos, który wydobywa się z jej gardła podczas przełykania, musi być słyszalny nawet w centrum miasta. Już ma się odwrócić, gdy słyszy kolejny dźwięk. Jakieś skrobanie. Tym razem bliżej. Ale czy na pewno?

Moa mruży oczy, jej oddech staje się płytki. Kropla potu spływa po plecach. Rzeński, chłodny wiatr przyprowadza ją o dreszcze.

Powoli zaczyna się cofać w stronę swojego domu. Jeden krok. I kolejny. Oaza względnego bezpieczeństwa jest gdzieś tam z tyłu, wcale nie tak daleko. Tam, gdzie może zamknąć drzwi na klucz. Zaciągając zasłony. Tam, gdzie jest telefon, z którego można zadzwonić na numer alarmowy.

„To pewnie nic takiego – próbuje przekonać samą siebie. – Po prostu się przestraszyłam”.

Ostrożnie stawia stopę za każdym razem, gdy robi krok do tyłu. W kolejnym domu również jest ciemno. Cholera, czy wszyscy opuścili Saxtorpsskogen niczym szczury uciekające z tonącego statku, czy co?

Dzwoni jej w uszach. Stara się ogarnąć wzrokiem wszystko dookoła, cofając się coraz szybciej.

Zostały trzy domy.

„Co to było?”

Moi wydaje się, że widzi postać w ciemności między dwiema latarniami. To może być twór wyobraźni. Albo pień. Albo... człowiek. Dość niski, ale szeroki. W... kapturze?

„Nie, no weź się w garść, do cholery!”

To tylko zwidy. Tak jak wtedy, gdy była mała i myślała, że ktoś stoi na korytarzu przed toaletą, a okazywało się, że to kurtki na wieszaku. Kurtki, cienie i jej wybujała wyobraźnia. Tak jak teraz. Musi szybko pobiec do domu i...

Wtedy on pojawia się w świetle latarni. Dużo bliżej, niż myślała.

Teraz wszystko staje się jasne. Nie ma wątpliwości. Ponieważ mężczyzna, który właśnie postanowił ujawnić swoją obecność, stoi nieruchomo dosłownie przez chwilę. W tym krótkim czasie uruchamiają się w Moi wszystkie możliwe sygnały alarmowe. Rozpoznaje jego budowę ciała. Wie, kim jest. Nie może się ruszyć. Stoi nieruchomo jak sparaliżowana.

„Nie, nie, nie, kurwa, moje nogi, ruszcie się!”

I właśnie w tym momencie Carl Walter zaczyna biec w jej kierunku.

Rozdział 42

Carl

Najpierw przez chwilę ją śledził i to było całkiem fajne. Podniecało go, że Moa się boi i czuje jego obecność, mimo że go widziała. Jakby ludzie rzeczywiście mieli szósty zmysł. „Człowiek powinien bardziej ufać swoim przeczuciom” – myśli Carl, gdy uderza trzonkiem śrubokrętu w skroń tej małej dziwki.

„Rozczarowanie” – musi przyznać, mimo wszystko. Spodziewał się czegoś więcej. Jakiejś walki. Jednak gdy go zobaczyła, zamarła. Prawdopodobnie też się posikała.

Tak to jest. Ludziom wydaje się, że są cholernymi twardzielami. Wszyscy tak myślą. A gdy przychodzi co do czego, to większość zamiera w bezruchu. Jak to się mówi: walka, ucieczka albo zamrożenie. I prawie wszyscy trafiają do jednej z dwóch ostatnich grup. Rzadko, bardzo rzadko ktoś się przeciwstawia. Ponadto Moa jest obciążona wieloma paraliżującymi wspomnieniami o tym wszystkim, co wydarzyło się w domku Kinnego dwa lata temu. Carl ma taką nadzieję.

Moa otworzyła usta, by krzyknąć, w chwili, gdy podbiegł i ją uderzył. Nic poza szeptem nie zdążyło się z nich wydostać. Carl Walter zdaje sobie sprawę, że zadał potężny cios. Słysząc chrzęst kości skroniowej, gdy wali zaokrąglonym grzbietem narzędzia w najcieńszą część czaszki. Zamiast dźwięku z ust Moi wydobywają się kaszel i strużka śliny, a oczy uciekają do tyłu. Zanim upadnie na jezdnię, Carl ją łapie.

„Jak mały ptaszek” – myśli, prawie nie czując ciężaru jej ciała. Nie może ważyć więcej niż czterdzieści kilogramów.

Rzuca szybkie spojrzenie za siebie, w stronę domu Linn i Eleny. Nadal jest oświetlony jak pieprzony pas startowy. Poza tym panuje cisza. Nie włączyły się żadne alarmy. Wygląda na to, że również ci dwaj kretyni, którzy wcześniej skradali się wokół ich domu, nie wrócili. O ile zna Linn, spędzi trochę czasu na miejscu zbrodni. Sentymentalna jak mało kto. Carl spluwa na ziemię i chwytą Moę w inny sposób. Ma ją teraz bardzo blisko siebie, a jej koszulka przesuwa się w górę po białym, smukłym brzuchu.

Carl przygląda się jej bladej twarzy w żółtym blasku ulicznych latarni. Jest w zasadzie nawet ładna. Mogłaby stać się kiedyś niezłą laską. Gdyby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Moa jęczy i coś mamrocze, podczas gdy cieniutka strużka krwi spływa z jej skroni, w dół po szyi i znika między pierśmi.

Kutas nabrzmiewa.

Nie jest jakimś pieprzonym pedofilem, jak ten zboczeniec Kinne. Bez dwóch zdań. Ile lat ma teraz Moa? Szesnaście? Wkrótce siedemnaście.

„To zupełnie inna historia” – myśli i zasłania dłonią jej usta. Moa mruga nerwowo powiekami, gdy Carl ciągnie ją na pobocze drogi i dalej do najbliższego ogrodu. Bokserki prawie pękają mu w szwach, gdy Moa otwiera jasnoniebieskie oczy, a jej wzrok pada na niego. Strach, który widzi w jej oczach, tak niesamowicie... wyrazisty... mój Boże, zaraz eksploduje.

Szybkim ruchem przyciąga ją do siebie za szczękę, co sprawia, że Moa znowu zaczyna tracić przytomność. Ta mała dziwka będzie miała chwilę przyjemności, zanim ją zabije.

Pospiesznie rozgląda się wokół, po czym podejmuje decyzję. Dostrzega szopę, a obok niej część działki pogrążonej w mroku. Wydaje się, że za nią jest już tylko pole. Carl chwytą Moę mocniej i wkłada obcinaki do kieszeni. Dobrze jest mieć śrubokręt pod ręką, na wypadek, gdyby odzyskała przytomność, więc kładzie go na ziemi obok niej, przy brązowoczerwonej drewnianej ścianie szopy.

Miejsce jest na tyle oświetlone, by mógł cieszyć się widokiem Moi, gdy rozrywa jej bluzkę i widzi jasne, nastoletnie piersi umazane krwią.

„Ożeż ty, kurwa!” Minęło naprawdę sporo czasu.

Jednym szarpnięciem zdejmuje spodnie i majtki z jej bezwładnego ciała, a po chwili jego kutas staje niczym wierny żołnierz w mroku nocy. Spluwa na rękę i rozmazuje ślinę po czubku penisa. Na samą myśl o tym, że zabije ją po albo nawet w trakcie, niemal ma wytrysk. Moa nieświadomie pojękuje, co wydaje mu się seksowne. „Jakby wiedziała dokładnie, co lubię” – myśli Carl i czuje się tak, jakby rój pszczoł rozszalał się w jego głowie. W brzuchu. W mosznie. W żołędzi.

Carl z trudem powstrzymuje jęki, wchodząc w nią zdecydowanym ruchem. Ciasno i przyjemnie, tak jak myślał. Kiedy Moa się przebudza, mając go przed oczami, uświadamia sobie, co się dzieje, i zaczyna krzyczeć z jego ręką na swoich ustach. Nie ma już odwrotu.

Carl ma tak silny orgazm, że aż widzi gwiazdy.

Rozdział 43

Linn

Trudno powiedzieć, ile czasu minęło, zanim radiowóz się zatrzymał. Linn podnosi wzrok znad splecionych dłoni i ciężko oddycha. Nie była przygotowana, że w tym miejscu będzie tyle ludzi. Ustawiono reflektory, a światła samochodów z różnych stron oświetlają drogę dojazdową. To sprawia, że las wokół wydaje się jeszcze ciemniejszy. Bardziej żarłoczny.

„Dobrze, że nie było z nami Moi, kiedy przyszli przekazać wiadomość” – myśli Linn i po raz kolejny zwraca się z prośbą do sił wyższych: „Proszę, niech żyje jak najdłużej w nieświadomości, jakie zło wyrządził ojciec”.

– Zaparkujemy tutaj i dalej pójdziemy na piechotę – mówi jedna z policjantek, wskazując ręką przez przednią szybę w stronę niebiesko-białej taśmy rozciągniętej między latarnią a szyldem „Bed & Breakfast” w staromodnym stylu i strzałką nakierowaną na wąską zwirową ścieżkę.

„To się nie dzieje naprawdę” – myśli Linn, ale przytakuje skinieniem głowy. Próbuje otworzyć tylne drzwi, ale jej się nie udaje.

– Poczekaj, wypuszczę cię – mówi druga policjantka. Chyba ma na imię Mia? Coś w tym stylu. Linn nie może sobie przypomnieć, ale pamięta, że widziała ją wtedy, dwa lata temu. Kiedy świat też płonął wokół Linn.

Można by pomyśleć, że człowiek w końcu się przyzwyczaja do życia w ciągłej katastrofie, ale na to nikt nie było w stanie jej przygotować. To jest zbyt ogromne. Zbyt okrutne. Pierwsza kobieta mówi coś przez policyjne radio. Gdy Linn wysiada z samochodu, czując się jak gość we własnym ciele, podchodzi do niej Martin Ljungstål. Ma podkrążone oczy i niebieskie plastikowe ochraniacze na buty, mimo że znajduje się na dworze.

„Dziwne” – myśli Linn. Ale może tak to się robi w... miejscach zbrodni? Nie ma pojęcia.

Podchodzi do niej i długo ją przytula.

– Linn – zaczyna mówić ze łzami w głosie. – Nie wiem, co powiedzieć...

– Gdzie oni są? – pyta, zaskoczona swoim głosem pozbawionym emocji. Jak robot bez uczuć.

Martin wskazuje ręką na wąską zwirową ścieżkę.

– W domu. To tylko kawałek stąd.

Dookoła roi się od ludzi. Na miejscu pojawili się już technicy kryminalistyki w białych kombinezonach. Wiele umundurowanych osób. Linn dostrzega śledczego, którego skądś zna, i oprócz niego jeszcze jednego. Policyjne nadajniki radiowe trzeszczą i piszczą. Gdzieś za domem szczeka pies. Wysoko w górze na wieczornym niebie widać zielone i czerwone błyski samolotu, przelatującego zbyt wysoko, by można go było usłyszeć. Linn chciałaby móc go dosięgnąć, złapać ogon i polecieć dokądkolwiek. Najlepiej z dala od ziemi. „Przynajmniej dziennikarze jeszcze tu nie dotarli. To zawsze coś” – stwierdza w myślach Linn.

Martin prowadzi ją wzdłuż krótkiego podjazdu i instruuje. Informuje. Będzie musiała ich zobaczyć. Ich ciała. Zidentyfikować, ale także się z nimi pożegnać. Chyba że woli poczekać, aż zostaną przewieziona do lekarza sądowego i znajdą się w kostnicy, bardziej... oczyszczone. „Naprawione”.

Linn kręci głową.

– Chcę zobaczyć, co im zrobił.

– Jesteś tego pewna?

Nie, nie jest, ale mimo to przytakuje.

Zza rogu domu wyłania się umundurowany, barczysty policjant z psem na smyczy. Wzywa jednego z oficerów śledczych. Dostaje torebkę na dowody i wkłada do niej srebrne, okrągłe metalowe pudełko. Linn słyszy, jak mówią coś o GPS-ie. Połączenia w jej mózgu powoli, ale wciąż działają. To w ten sposób ojciec musiał ich znaleźć – przymocował lokalizator GPS do samochodu mamy. Co oznacza, że tam był. W ich domu w Saxtorpsskogen. A na pewno przed domem.

Linn przechodzą ciarki. Przełyka ślinę raz za razem, ale im bliżej podchodzą, tym bardziej jest pewna, że zwymiotuje. Czuje się tak, jakby miała w żołądku rozdrażnioną ławicę ryb, która krąży po nim w górę i w dół, w tę i we w tę.

– Nadal jesteś pewna, Linn? – pyta ponownie Martin Ljungstål, gdy stoją na schodach prowadzących do czerwonego domu z białymi obramowaniami okien i przeróżnymi drewnianymi zdobieniami. – Może będzie lepiej, jeśli poczekaasz, aż lekarz sądowy zrobi swoje? – Kiedy kładzie dużą, ciepłą dłoń na jej ramieniu, Linn zdaje sobie sprawę, że nie wzięła z domu kurtki. Nawet nie poczuła, że jest wieczór i robi się chłodno.

Nic nie widzi przez łzy, więc je ociera, ale wciąż pojawiają się nowe.

– Nie – odzywa się słabym głosem. – Zróbmy to teraz. Czy oni są tu w środku?

Na drzwiach wejściowych umieszczono czerwono-pomarańczowy znak, który informuje, że miejsce jest zabezpieczone, a także jakiś idiotyczny paragraf jakiegoś bezsensownego prawa.

„Prawo – myśli z goryczą – które obowiązuje dopiero po fakcie, ale nigdy, kiedy jest naprawdę taka potrzeba. Nie wtedy, gdy ludzie jeszcze żyją”.

Widzi w oknach błyski lamp aparatów fotograficznych. Jeden z techników przebiega obok nich, pędzi do góry po schodach i wchodzi przez drzwi z kolejnymi małymi żółtymi znakami w rękę. Takimi, które umieszcza się tam, gdzie znajdują się istotne dowody. Plamy krwi i tym podobne. Fakt, że przyniósł ich więcej, oznacza, że śladów jest... dużo.

Linn chwyta się poręczy, ale o mało nie upada do tyłu, gdy robi pierwszy krok w górę. Jakby grawitacja znów się z nią bawiła, jakby była szmacianą lalką. Martin natychmiast jest przy niej, by ją podprzeć. Przy jego pomocy robi jeden krok, potem kolejny, aż w końcu, trzęsąc się, staje na szczycie schodów, a ktoś podaje jej ochraniacze na buty. Ktoś inny – maseczkę ochronną na twarz. Parę fioletowych lateksowych rękawiczek. Zakłada to wszystko jak w transie. Ledwie świadoma, co się dzieje. Potem przechodzi przez próg i wkracza do zupełnie nowego piekła.

Zapach śmierci już w korytarzu unosi się w powietrzu jak dusząca mgła. Przywiera do wnętrza płuc. Linn zauważa krwawy odcisk dłoni na ścianie przy drzwiach do kuchni. Ktoś przeciera patyczkiem ślady krwi, po czym, gdy końcówka jest już jasnoczerwona i postrzępiona, wkłada go do woreczka i w nim zamyka. Linn widzi duże, ciemnoczerwone krople na podłodze. Jedna z nich została rozmazana poddeszwą, a obok niej znajduje się mała tabliczka, podobna do tych na lotnisku, rozstawianych po umyciu podłogi. „Uwaga, śliska podłoga”. Tu też jest ślisko, ale z zupełnie innego powodu. Chciałaby pozbyć się tych myśli, rozbieganych w jej głowie jak kurczaki z odciętymi głowami.

Linn musi przystanąć i oprzeć się o framugę drzwi do kuchni. Wewnątrz podłoga pokryta jest krwią i szerokimi śladami po wleczeniu ciała. Ponieważ technicy nadal pracują na miejscu zdarzenia, zwłoki nie zostały zakryte.

„Zwłoki”.

Tak się chyba nie nazywają? To mama i Anton.

Ktoś krzyczy i dopiero, gdy Martin ją obejmuje, Linn uświadamia sobie, że to ona sama.

W kuchni stół został przysunięty do ściany, prawdopodobnie po to, by zrobić miejsce na wózek inwalidzki mamy. Anton zazwyczaj stara się ogarniać takie rzeczy za nią.

„Starał się – Linn poprawia się w myślach – a nie stara się”. Jej najbliżsi należą już do czasu przeszłego.

Na zlewie leży do połowy zapakowana torba na lunch. Na kartonie po mleku widnieją czerwone plamy. Podobnie jak na wszystkich innym. Z wyjątkiem podłogi, która przypomina raczej jezioro krzep-

nącej krwi.

Linn słyszy, jak jeden z analityków mówi coś o blackjacku, wskazując jednocześnie na potężną plamę krwi na suficie.

„Na suficie, mój Boże”.

Dlaczego mama nie ma swojego wózka? Wygląda na taką małą bez niego. Leży na boku, z policzkiem opartym o linoleum. Albo ktoś zamknął jej oczy, albo to opuchlizna sprawia, że nie widać... albo może zaschnięta krew. Jej nogi leżą jedna na drugiej, jakby ułożyła się na boku do snu tylko na chwilę. Nikt jednak nie byłby w stanie spać z tymi wszystkimi ranami na ciele. Linn zauważa, że kostki mamy są związane opaską zaciskową, tak jak u Antona, i że jedna stopa jest skierowana w złą stronę. Myśli, że to szczęście, że mama nie czuła, kiedy ojciec jej to robił. Zasłania ręką usta, a ciałem wstrząsają konwulsje.

Martin wyciąga w jej stronę torebkę na wymioty, ale ona zamyka oczy. Bierze głęboki wdech. I jeszcze jeden. Nie, nie będzie wymiotować. Da radę.

Obok mamy na podłodze, zaledwie metr od niej, leży na plecach Anton. Większy od mamy. Mimo to Linn uważa, że wygląda tak samo, jak wtedy, gdy był mały i bezbronny. Kiedy biegał w pieluszcze i ciągle się przewracał. Anton ma otwarte oczy, głowę odwróconą na bok, a jego wzrok wydaje się utkwniony w mamie. Jakby w ostatnich chwilach życia patrzyli na siebie. W ich własnym kokonie utraconej miłości. Wyciągnął nawet do niej dłoń, która leży między nimi na podłodze, wnętrzem do góry, jakby chciał, żeby go za nią złapała. I poszła z nim do nieba.

Ta myśl sprawia, że Linn musi stamtąd wyjść. Zrywa się z miejsca i wybiega z domu. Martin woła za nią. Natychmiast zaczyna gonić ją smutek, który skubie włoski na karku, przedziera się przez plecy i grozi, że ją pochłonie. Ale tuż obok biegnie coś innego. Szybciej niż smutek. I to jest gniew. Płonący, palący gniew. Też chce pożreć Linn, a ona mu na to pozwala, bo tak jest lepiej.

To ojciec im to zrobił. To oczywiste. On sprawił, że już nigdy nie będzie mogła pogłaskać mamy po policzku i pocałować jej w głowę na dobranoc po zbyt długich nocnych rozmowach. On sprawił, że już nigdy nie będzie mogła przytulić się do Antona i śmiać z jego kiepskich żartów. Bo są martwi. Nrawdę. Nie ożyją za chwilę. Ani jutro. Będą nadal martwi, nawet kiedy ojca wsadzą znowu do Säter...

„Martwi, kurwa, na zawsze”.

W końcu wymiotuje. Wyrzuca z siebie wszystko, fontannę kwasów żołądkowych, która uderzając o ziemię, rozpryskuje się na wszystkie strony. Wymiociny parują w blasku jednego z policyjnych reflektorów. Wszystko wiruje. Świat nie chce stać w miejscu. Linn próbuje głęboko oddychać. Znowu szlocha, ale nie wymiotuje już więcej. Obejmuje ramionami swoje drżące ciało.

„Dlaczego, do cholery, miałabym udawać, że jestem silna? Dlaczego powiedziałam Elenie, żeby tu ze mną nie przyjeżdżała?” Chociaż wie dlaczego. Elena była już pod wpływem alkoholu.

Choć z drugiej strony cieszy się, że Elena nie musi tego oglądać. Ona... Oddech zamiera jej w pierśsiach.

O, nie. Czy taki był plan od samego początku?

„Elena!”

Rozdział 44

Leonora

Po raz kolejny usiadły razem w ciasnym i nieco zatęchłym salonie, by obejrzeć wieczorne wydanie *Wiadomości*. Signe przerwała pieczenie chleba i stoi w drzwiach do kuchni w ścierką w rękę. Pozostałe kobiety siedzą z błyskiem w oczach w różnych częściach pokoju. Trzeba przyznać, że był to bardzo owocny dzień dla Falochronów. Najpierw manifest, wielokrotnie emitowany na wszystkich kanałach, potem zamieszki na Stortorget, w które zaangażowało się wiele innych kobiet, i jeszcze ten facet od koszmarnie drogiego SUV-a, zastrzelony przed galerią handlową Mobilia. A potem pierwsza ofiara Moi, koleś z kijem do unihokeja, którego przeznaczenie dosięgło tuż obok posterunku policji.

– Gdzie jest Moa? – zastanawia się Leonora, gdy na ekranie telewizora ukazuje się czołówka *Wiadomości*. Rozgląda się po pokoju pełnym podekscytowanych kobiet. – Czy ona nie wracała z tobą, Veronica?

Veronica, siedząca ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przed kanapą, kiwa głową i zaczesuje puszyste włosy do tyłu w niesforny kucyk. Trzyma je tak przez chwilę, po czym znów rozpuszcza.

– No tak, dopilnowałam, żeby ją stamtąd zabrać. Potem znowu sobie poszła. Mówiła, że musi zabrać swoje rzeczy czy coś takiego. Pewnie pojechała na rowerze do Lund i tam wsiadła w pociąg.

Leo marszczy brwi i przywołuje do siebie dużego rudego kota, który natychmiast przybiega i wskakuje jej na kolana.

– O której to było?

Veronica rzuca okiem na stary zegar z kukułką wiszący na ścianie.

– Nie wiem... jakież trzy godziny temu? Jakoś tak... Ale tak naprawdę nie wiem. Może cztery, a może dwie. Cały dzień wciągam ritalin, więc czas płynie, jak mu się podoba – uśmiecha się.

– Dziwne, że jeszcze nie wróciła – mówi z namysłem Leonora. – Myślę, że chciałaby to zobaczyć. To w końcu jej zwycięstwo.

W telewizji pojawia się piękna czarnoskóra dziewczyna z dużą jasnobrązową fryzurą afro. Ma splecione dłonie i spokojny wyraz twarzy. Mówi, że owszem, to mogła być Kobieta Laser, ale biorą pod uwagę również inne możliwości. Obok niej siedzi ten nadęty dupek Sixten Törnholm i oburza się, plując na wszystkie strony.

Leonora niepokoi, że nie ma Moi. W końcu jest nastolatką, a one mają w zwyczaju robić wszystko po swojemu. Zwłaszcza takie, które... od małego są krzywdzone. Leo jednak zauważyła, że Moa czuła się spełniona, bo wreszcie pozwolono jej strzelać. I dobrze wykonała zadanie.

Leo jest z niej dumna. Na samą myśl o Moi robi jej się ciepło na sercu. Musi przyznać, że traktuje ją jak córkę, której nigdy nie miała. Wszystkie kobiety w tym pokoju mogły jedynie pomarzyć, by być jak Moa – przebudzone w tak młodym wieku. Nie będzie musiała żyć w przemocy i tym całym męskim gównie tylko dlatego, że otworzyła oczy już jako czternastolatka. Odzyskała władzę, będąc jeszcze dzieckiem. Robi to na nich wrażenie. „Może nawet jest tą, która pewnego dnia przejmie Falochrony” – myśli Leo.

Znowu przenosi wzrok na ekran telewizora i patrzy na kobietę prowadzącą dochodzenie, która ma sobie za nic Sixtena Törnholma. Leo się śmieje. Ten skurwiel Törnholm ledwo umie nad sobą zapanować. Wiadomo. Jak to mężczyźni. Nie może zrozumieć, że mężczyźni będą musieli przejść przez to, z czym kobiety mierzą się od zawsze.

„No i tak to jest, mój mały Sixtenie” – myśli Leonora i się przeciąga. Głaszcząc kota siedzącego u niej na kolanach powolnymi ruchami, a on głośno pomrukuje. Kiedy trzyma rękę przed jego nosem, kot dotyka głową jej palców.

W telewizji prowadząca śledztwo, która najwyraźniej nazywa się Catrin Åkesson, spogląda na działacza na rzecz praw mężczyzn zmęczonym wzrokiem i mówi:

– No tak, Sixtenie... Można powiedzieć, że nasze aktualne zalecenia nie różnią się w najmniejszym stopniu od tych, które udzielaliśmy wszystkim kobietom w Malmö, kiedy jesienią zeszłego roku Parkman napadał na kobiety. Tak więc obowiązują następujące zasady: bądźcie ostrożni, bądźcie czujni. Nie chodźcie sami wieczorami. Jeśli macie taką możliwość, weźcie taksówkę lub skorzystajcie z podwózki. Tymczasem my, policjanci, oczywiście robimy wszystko, co w naszej mocy, aby ująć sprawcę i zapobiec kolejnym zabójstwom. Zachęcamy również do kontaktu osoby, które mają jakieś informacje związane ze sprawą. Zwłaszcza jeśli ktoś był dziś w pobliżu miejsca, w którym doszło do morderstwa. Wszystkie wskazówki są dla nas cenne.

Sixten Törnholm kręci głową, jakby to była najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszał, ale nie może wpaść na żadną ripostę. Wtedy Bahar podnosi rękę, a Tina przybija jej piątkę. Leonora wybucha złośliwym śmiechem.

Rozdział 45

Linn

Znowu trudno jej powiedzieć, ile czasu upłynęło. Wszystko miesza jej się w głowie. A to, co nie jest bezładną mieszaniną niejasnych wrażeń, kłuje ją swoimi cierniami. Dziurawi duszę, kalecząc ostrymi kolcami. Jak na przykład obraz zakrwawionej ręki Antona, wyciągniętej w stronę ich kochanej mamy w ostatnim zaproszeniu. Obraz nie chce zniknąć z siatkówki oka, bez względu na to, co robi. Albo nie chce zniknąć z mózgu. Linn chciałaby móc otworzyć czubek czaszki jak puszkę i wydobyć z niej to wspomnienie. Teraz jednak naprawdę musi się skupić. Nie może uwolnić się od myśli, że została zwabiona na miejsce zbrodni, aby ojciec mógł zaznać ciszy i spokoju w ich domu. Z Eleną.

Nikomu nic nie powiedziała. Po prostu sobie poszła, najpierw na piechotę, potem wzięła taksówkę, która właśnie zatrzymuje się na Stora Byvägen, około dwustu metrów od skrzyżowania, przy którym stoi ich dom. Ma mgliste wspomnienie, że taksówkarz próbował z nią rozmawiać w trakcie jazdy i może nawet mu odpowiadała... ale tak naprawdę nie pamięta. Chciała jedynie stamtąd uciec. Kiedy Martin zorientował się, że jej nie ma, wielokrotnie próbował się do niej dodzwonić. Linn nie jest jednak w stanie odebrać telefonu.

Drzwi samochodu się zamykają i taksówka odjeżdża. Linn stoi nieruchomo i nasłuchuje. Czeką, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Na Stora Byvägen, jednej z niewielu asfaltowych ulic tu w lesie, nie ma oświetlenia ulicznego, ale dostrzega blask latarni na skrzyżowaniu, przy którym mieszkają. Widzi nawet światła domu, ich krótkie błyski, kiedy wiatr od czasu do czasu rozsuwa gałęzie. Zrobiło się już późno i mrok spadł na świat.

Gdy Linn zaczyna widzieć w ciemności, rusza przed siebie. Nerwowo spogląda na las, to z jednej, to z drugiej strony drogi, ale wszędzie panuje zupełny spokój. Jest niemal zbyt spokojnie. W pewnym momencie wydaje jej się, że coś słyszy, ale po chwili uświadamia sobie, że odgłos musiał dochodzić z domu z dala od jezdni. Jednego z tych, których stąd nie widać.

Czy tylko jej się wydaje, czy jest tu dziś wyjątkowo ciemno?

Obejmuje się rękoma. Nie była na tyle przytomna, by włożyć kurtkę lub marynarkę, gdy przyjechała po nią policja, i wyszła z domu w samych dżinsach i białej koszulce. Teraz wieczorny wiatr mrozi włoski na rękach i łaskocze skórę na karku. Linn przyspiesza kroku i po chwili wyraźnie widzi ich dom.

Jest oświetlony o wiele bardziej niż inne domy na ich ulicy, co od razu działa na nią uspokajająco. „Elena musi być naprawdę przerażona” – myśli. Dziś jest kolej na Linn, to ją trzeba pocieszyć. Trzeba dać jej się rozpaść na kawałki. I pozbierać dzięki silnej miłości. Albo... Cholera wie, czy kiedykolwiek da się to naprawić. Ale w każdym razie trzeba ją pocieszyć.

Zwalnia tempo, zbliżając się do domu. Próbuje zobaczyć, czy w ogrodzie coś się zmieniło.

„Czy on tu jest?”

Ale widzi, że wszystko jest tak, jak powinno. Z wyjątkiem tego, że wszędzie palą się światła. To jej nie dziwi. Elena słyszała, co miały do przekazania policjantki. Chciała pojechać z Linn, ale ona się nie zgodziła. Czego teraz żałuje. Wydaje jej się, że jedyne, co może sprawić, że czas znów zacznie płynąć normalnie i będzie posuwał się do przodu o jedną bolesną sekundę naraz, to wpaść w ramiona Eleny i pozostać w nich przez kilka dni.

Chociaż Elena pewnie już się upiła. A może wcale nie? Czy naprawdę mogłaby to zrobić? Nie, może nie, skoro się boi. Albo jeśli zdaje sobie sprawę, że będzie potrzebna Linn po jej powrocie do domu.

Linn dociera do bramy. Wchodzi przez nią i zauważa Pana Syka, który siedzi w mroku tuż przy świetle padającym z lampy przy drzwiach wejściowych. Gdy kot zauważa Linn, a raczej słyszy jej kroki na podjeździe z kruszywa, rzuca się do ucieczki i znika w ciemniejszych zakątkach działki.

Złe podejrzenia pojawiają się natychmiast.

Wygłądał na przestraszonego. A to zdecydowanie nie leży w naturze tego kota. Wyniosły – to na pewno. Prawdziwy dupek – oczywiście. Zupełnie niezainteresowany właścicielkami – och tak. Ale przestraszony? Gdzie tam. Nigdy nie widziała, żeby ten kot się bał. Chyba nawet nigdy nie nastroszył ogona, kiedy go przypadkowo zaskoczyła, i spokojnie się oddalił, jakby w ogóle nie istniała. Teraz jednak zjeżył sierść na grzbiecie i ogonie, tak że wyglądał na dwa razy większego.

Linn staje w miejscu. Trzy metry od drzwi wejściowych. Są zamknięte. Przez szparkę jednak widzi, że nie są zamknięte na klucz. Widać tylko jeden kawałek metalu. Nie dwa. Podnosi rękę, by sięgnąć do wewnętrznej kieszeni..., ale jej nie ma. Tak jak Elena zawsze nosi mały scyzoryk w staniku, tak Linn wyrobiła sobie nawyk trzymania gazu pieprzowego w wewnętrznej kieszeni. Ale wewnętrzna kieszeń jest... w środku. W domu. Ponownie spogląda na drzwi wejściowe. Na okna. W domu nikt się nie rusza.

Linn przychodzi do głowy pewna myśl. Przewraca oczami. Musi być naprawdę w szoku, skoro do tej pory na to nie wpadła. Wyciąga telefon z tylnej kieszeni i wybiera numer Eleny.

„Numer, z którym próbujesz się połączyć, aktualnie jest niedostępny”.

Ma wyłączony telefon. Jasna cholera. „Może to dlatego, że jest rozładowany?” – próbuje sobie to tłumaczyć. A może Elena wyłączyła telefon i położyła się spać? Chociaż... tego raczej by nie zrobiła, skoro wie, dokąd i po co poszła Linn.

„Chyba że jest pijana”.

Ucisza wewnętrzny głos i wkłada komórkę z powrotem do tylnej kieszeni. Ale jednej rzeczy Linn jest pewna – Elena nie położyłaby się spać, nie zamknąwszy domu na klucz. Jej wzrok wędruje w górę i w dół po ścianach wokół drzwi. Szuka śladów krwi podobnych do tych, które widziała godzinę temu. Nic takiego nie widzi.

Linn postanawia obejść dom dookoła. Skręca za róg i okrąża go z lewej strony. Czy to nie są jakieś... ślady? Nie widzi wyraźnie, mimo że wszystkie lampy na zewnątrz są zapalone, więc znowu wyciąga komórkę. Włącza latarkę. Kiedy kieruje ją w dół, tuż przed butami, zastyga w bezruchu.

Ślady dużych stóp. Wygląda jednak na to, że przeszły tędy dwie osoby.

Linn stara się nie deptać po śladach. Adrenalina budzi jej ciało do życia i wyostreza umysł. Słyszy cmy uderzające o klosze lamp z tyłu budynku i odgłosy żaby gdzieś wśród zarośli po lewej stronie. Ślady, którymi podąży Linn, prowadzą wzdłuż całego budynku, aż do...

Nadzieja ożywa.

Jeśli wpadł w pułapkę, na co liczyły, gdyby kiedykolwiek tu przyszedł, może...

Linn czuje, jak nadzieja w niej rośnie, gdy wychodzi z za kolejnego rogu i widzi całkiem wyraźnie, że ślady prowadzą prosto do niestrzeżonego okna. Tego, które celowo zostawiły bez monitoringu, by potencjalny intruz próbował dostać się właśnie tamtędy.

Parapet i rama okna pokryte są niewidzialnym proszkiem, który zostawia ślady na tym, kto go dotknie – ślady, których nie da się zmyć przez wiele dni, a w świetle UV świecą jak na jakiejś pieprzonej dyskotecie. W środku zamontowana jest kamera połączona z czujnikiem ruchu. Gdy tylko ktoś pojawi się w oknie, kamera zaczyna robić zdjęcia co dziesięć sekund. A na podłodze, tuż za oknem, które prowadzi jedynie do małego schowka, na intruza czeka kolejna niespodzianka.

Linn przykłada rękę do ust, gdy widzi, że okno jest uchylone, a szyba wybita na wysokości klamki znajdującej się od wewnątrz.

„W takim razie mamy cię na filmie, ty gnoju” – myśli Linn i zakrada się bliżej.

Z walącym sercem staje tuż obok okna. Nasłuchuje i próbuje wywnioskować z odgłosów, czy jej ojciec nadal jest w domu. Ale panuje tam złowieszczą cisza.

„Nie, na pewno już go tu nie ma. Nie mogę zastać Eleny w tym samym stanie, co...” – w tym momencie w jej mózgu dochodzi do zwarcia, które nie pozwala jej dokończyć myśli.

Linn ostrożnie i bardzo powoli szerzej otwiera uchylone okno. Wie, że dotknie palcami fluorescencyjnego proszku, ale ją to nie obchodzi. Okno znajduje się na wysokości klatki piersiowej, więc można przez nie zajrzeć do środka. Drzwi prowadzące ze schowka do reszty domu są otwarte i pali się tam światło. Nadal jest zupełnie cicho.

Świeci telefonem po podłodze, zauważa z satysfakcją, że stalowy potrzask jest pokryty krwią. Ale jest też otwarty i pusty. Ojciec wskoczył tutaj. Wpadł jedną lub obiema stopami w szczękę potrzasku, które zaciskają i miażdżą wszystko, z czym się zetkną. Jest trochę zdziwiona, że obok nie leży odcięta stopa. Ale cholera..., to prawie niemożliwe, by samodzielnie otworzyć taką pułapkę. Zwłaszcza jeśli samemu się w nią wpadło. Łatwo można stracić przytomność zarówno z powodu utraty krwi, jak i bólu.

Ale na zewnątrz były ślady dwóch osób.

„Czy to oznacza, że ojciec przyprowadził kogoś ze sobą?”

Linn nie jest pewna. Co ona, do diabła, ma zrobić? W domu panuje naprawdę głucha cisza. Zbiera się na odwęę. Teraz albo nigdy. Bierze głęboki wdech, po czym woła w stronę złowrogiego wnętrza domu:

– Halo? Elena, jesteś tu?

Gdy nikt nie odpowiada – ani Elena, ani ojciec – pojawia się kolejne złe przeczucie. Oboje nie żyją. Wszedł do środka. Został śmiertelnie ranny po wdepnięciu w zastawiony potrzask. Zdążył jednak zranić także Elenę. I teraz, niczym makabryczna parodia mamy i Antona, poszli razem w objęcia śmierci.

Jeśli rzeczywiście tak jest, Linn natychmiast zejdzie do piwnicy i wyciągnie zza bojlera spiłowaną strzelbę Eleny. Rozsadzi sobie czaszkę potężnym ładunkiem ołowianego śrutu nr 1 w USA.

Na swój sposób ta myśl ją uspokaja. Jeśli naprawdę tak się stało, to istnieje sposób na uwolnienie się od bólu. Ucieczka od wszystkiego. Może uda jej się znów spotkać z ludźmi, których kocha?

Choć... może być też tak, że leżą tam obok siebie, ale Elena wciąż żyje.

Ta myśl pobudza Linn do działania, więc przerywając dalsze rozmyślenia, biegnie z powrotem do drzwi wejściowych i gwałtownie je otwiera.

Rozdział 46

Carl

Wreszcie nadszedł czas na wielki finał. Ten, do którego wszystko nieuchronnie zmierzało. Zemsta. Wielka, niesamowita, wspaniała, pieprzona krwawa zemsta. Chwilowy przerywnik – rżnięcie tej małej suki za szopą – był właściwie za krótki. Czego jednak można wymagać od mężczyzny, który przez ostatnie dwa lata przebywał w zakładzie zamkniętym, mając do dyspozycji tylko własną prawą rękę?

„Piękna była ta mała Moa. I teraz ją też mam już z głowy”.

Chwilowa przyjemność spełniła jednak swoje zadanie: rozjaśniła mu umysł. Dawno się tak nie czuł. Jest bardziej przytomny. Wyostrzyły mu się zmysły i jest gotowy na to, co zaraz zrobi. Przy tym wszystkim czuje się zrelaksowany. Ciało tej małej dziwki zostanie odnalezione, i to wkrótce, nie ma co do tego wątpliwości. Nie zadał sobie nawet trudu, by je zakryć. Ma nadzieję, że na zwłoki natknie się jej matka. Zanim jednak martwe ciało małej Moi zostanie odnalezione, musi zrealizować ostatnią część planu.

„To jest to, na co cały czas czekałem”.

Kiedy tych dwóch półgłówków wróciło do domu Linn i Eleny wcześniej tego wieczoru, Carl przeklinał ich w duchu, ostro wkurzony, że mu przeszkadzają, ale kiedy zobaczył, jak wleką za sobą zalaną w trzy dupy Elenę, uznał, że to chyba najlepsze, co mogło się zdarzyć. W końcu nie o tę starą pizdę mu chodzi. I raczej źle skończy, zważywszy na to, że została wrzucona do bagażnika starego, zdezelowanego forda. Choć jeden z tych koleś był w dość złym stanie. Włókł za sobą lewą nogę, praktycznie całkowicie niesprawną, i starał się jak mógł, żeby nie krzyknąć na cały głos. Carl dziękuje im w myślach za udowodnienie tezy o pułapce za oknem z tyłu domu, dzięki czemu sam w nią nie wpadł. Z trudem powstrzymał się od śmiechu, słysząc skowyt pełen bólu, gdy włamali się do środka. Jeden z tych debili musiał więc najpierw przeciągnąć Elenę do samochodu, a potem pomóc zawodzącemu koledze.

„Tyle krwi w ciągu jednej nocy. A to jeszcze nie koniec”.

Carl potrząsa głową. Jak wielu wrogów można sobie przysporzyć w ciągu zaledwie trzydziestu lat życia? To, że ktoś inny też chce dopaść Linn i Elenę, dowodzi tylko, jakimi są pieprzonymi zołzami.

Gdy Linn wraca i okrąża dom, Carl poprawia kutasa, który wciąż przyjemnie drży, jakby cały czas spalał dodatkowe kalorie po wysiłku. Dawno nie widział czegoś tak pięknego, jak wyraz jej twarzy w tym momencie. Można z niej wyczytać, że widziała swojego brata idiotę i obrzydliwą matkę w takim stanie, w jakim zostawił ich na brudnej podłodze w kuchni w domu niedaleko Ljungbyhed.

Musi się opanować, żeby nie podskoczyć i nie krzyknąć, jak jakiś wariat z filmu gore: „TO MOJA SPRAWKA, TY MAŁA SUKO! A TERAZ TWOJA KOLEJ!” Carl uśmiecha się szyderczo i podniecony zaciska pięści.

Linn nagle wybiega zza rogu. Wygląda, o ile to możliwe, na jeszcze bardziej zdruzgotaną. Szarpie za drzwi wejściowe i wpada do domu. Nawet za sobą nie zamyka. Carl słyszy, jak woła Elenę.

Maca się po kieszeniach. Wszystko jest na swoim miejscu. Szybki rzut oka na obie strony ulicy, po czym zwinnie przeskakuje przez płot i skrada się do skrzynki rozdzielczej z przygotowanymi obcankami.

Rozdział 47

Linn

– Elena? – Linn ciężko oddycha, wbiegając do domu. – Elena!

Nie musi się już ukrywać. Przemierza korytarz kilkoma długimi krokami i zauważa plamy krwi na podłodze. Rozbryzgi, krople i ślady przeciągania są również tutaj. Jak okrutne echo miejsca, w którym zginęli mama z Antonem.

Tętno przyspiesza. Linn wyjmuje maczetę, którą Elena schowała w zegarze stojącym w korytarzu, i wchodzi do salonu z tą ostrą bronią uniesioną przed sobą. Jedna krawędź ma ząbki, druga jest gładka. Linn jest przygotowana, by dźgać, ciąć i uderzać..., ale nikogo nie ma.

Na pierwszy rzut oka w domu wszystko wygląda normalnie, z wyjątkiem krwi. Brak śladów walki. Stolik kawowy nie jest przewrócony, nie ma żadnych rzeczy porzucanych na podłodze. Nie tak, jak to zwykle wygląda w miejscu, gdzie ktoś został napadnięty lub gdzie było włamanie. Na jednym końcu kanapy leży zmięty koc i jest to jedyna rzecz, która odbiega od normy. Elena zwykle niemal kompulsywnie składa i układa koce na kanapie, gdy tylko ktoś z niej wstaje.

„Cholera, co tu się właściwie wydarzyło?”

Czuając, jak emocje sięgają zenitu, Linn podchodzi do stolika kawowego i patrzy na leżącą na nim kartkę. Pismo Moi. Współrzędne GPS? Najwidoczniej Moa zna bezpieczne miejsce i już tam uciekła. Dobrze. Byłoby dla niej najlepiej, gdyby już nigdy tu nie wracała. Ale... gdzie, do cholery, jest Elena?

„Ojciec ją porwał”.

Linn natychmiast przegania tę myśl. Jeśli pozwoli jej się zakorzenić, wpadnie w histerię i to ją sparaliżuje.

Zauważa prawie pustą butelkę po rumie, pod którą leży banknot, i przewróconą obok szklankę. Jeśli Elena była pijana, pewnie stała się łatwą ofiarą. Linn połyka łzy, już gotowe popłynąć, i mocniej ściska maczetę za uchwyt z czarnego, twardego plastiku, okrąża kanapę i wychodzi na korytarz, który prowadzi dalej, na drugą stronę domu. Widzi otwarte drzwi do schowka. Ślady krwi, jeszcze wyraźniejsze obok pułapki. Linn kuca i przygląda się odciskom butów. Zgadza się, dwie różne pary butów. Czy to oznacza, że ojciec i... jeszcze jeden mężczyzna włamali się przez okno? Jeden z nich wszedł prosto w pułapkę, więc ten drugi... pomógł mu się z niej uwolnić?

„Mam nadzieję, że to ojciec został ranny, a szczęki potrzasku przecięły jakąś wielką żyłę w nodze tego pieprzonego drania”.

Linn podnosi się z kucek. Ślady prowadzą przez korytarz, którym właśnie przeszła, przez salon, a następnie przez drzwi wejściowe, gdzie znikają w mroku na podjeździe. Czy ojciec i jego wspólnik mieli samochód? I zabrali nim Elenę?

„Kurwa, kurwa, kurwa! Myśl!”

Co powinna zrobić? Wraca do schowka, by obejrzeć pułapkę, jakby przeoczyła jakiś ważny ślad, coś istotnego. Wtedy kątem oka dostrzega czujnik ruchu.

„No tak, oczywiście! Cholera, kamera!”

Wytężając słuch, Linn skrada się do schodów prowadzących na drugie piętro.

– Elena? – woła ponownie u stóp schodów. Nadzieja, jak wiadomo, umiera ostatnia. Oczywiście nikt nie odpowiada.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie robi pierwszy krok w górę. Schodek skrzypi cicho pod jej stopami, jak zawsze. Kolejny krok. Ten sam skrzypiący dźwięk. Kiedy Pan Syk bez ostrzeżenia wpada do domu, Linn wydaje z siebie niekontrolowany krzyk. Kot, jak zwykle, nie zwraca na nią uwagi, tylko przechodzi obok, po czym wbiega do kuchni i znika z pola widzenia jak przestraszony cień.

„Kurwa mać”.

Serce Linn bije teraz tak szybko, że trudno rozróżnić poszczególne uderzenia. Czuje słabość w nogach. Są przemęczone. Jakże cudownie byłoby usiąść. Pieprzyć to wszystko. Poddać się tu, na środku schodów i poczekać, aż on przyjdzie. Aż przyjdzie śmierć. Gdy kolana się pod nią uginają, jakby podążając za tą myślą, Linn wymierza sobie mentalny policzek.

„Nie!”

Musi dostać się na górę do dysku twardego. Sprawdzić obrazy z kamery. A potem zadzwonić na policję.

„Zrób to teraz. Zadzwoni na policję teraz”.

Po raz pierwszy Linn nie sprzeciwia się wewnętrznemu głosowi, co zwykle robi. Teraz całkowicie się z nim zgadza. Najlepsze, co może teraz zrobić, zanim sprawy wymkną się spod kontroli, tak jak to miało miejsce dwa lata temu, to zadzwonić do Martina Ljungståla. Linn puszcza jedną ręką maczetę i opiera się plecami o ścianę, stojąc w połowie schodów. Lewą ręką wyciąga telefon z tylnej kieszeni i stara się powstrzymać drżenie palców, gdy spogląda na wyświetlacz.

„Co jest, kurwa?”

Napis „Brak sieci” pojawia się w prawym górnym rogu, gdzie zwykle znajdują się paski informujące o mocy sygnału.

„Jak to możliwe? Przecież tu zawsze jest dobry zasięg”.

Próbuje wejść na Messengera. Aplikacja jednak tylko mieli i mieli we frustrującym, powolnym tempie, co oznacza, że nie ma internetu. Linn warczy ze złości i wyłącza wi-fi. Myśli, że przynajmniej 4G będzie działać. Ale tak nie jest. Z jakiegoś powodu nie ma teraz ani zasięgu w telefonie, ani internetu. Potrząsa telefonem w dłoni, jakby go chciała ukarać, ale szybko odnajduje się w nowej sytuacji. Bierze kilka głębokich oddechów, wkłada telefon z powrotem do tylnej kieszeni, ponownie chwytając maczetę obiema rękami i, kucając, zakrada się na drugie piętro. Twardy dysk ze zdjęciami z monitoringu znajduje się na półce przy biurku w gabinecie i... Linn wzdryga się na widok przewróconego krzesła.

„Nie, nie, nie. Nie mógł...”

Linn zapomina, że po drodze powinna sprawdzić wszystkie pokoje, i biegnie prosto do gabinetu. Tam, gdzie zwykle stoją twarde dyski, znajduje się tylko kilka wyrwanych kabli. Prostokątne ślady na zakurzonej półce świadczą o tym, że nie sprząta tu tak często i tak dokładnie, jak powinna. Ojciec wszystko ukradł. Każdy twardy dysk. Zdjęcia jednak są przechowywane nie tylko na dyskach twardych, ale także w chmurze.

„O tym nie pomyślałeś, ty chory sukinsynu” – myśli Linn z zaciśniętymi zębami i staje pochylona nad biurkiem. Odkłada maczetę obok laptopa i go otwiera. Gdy zdaje sobie sprawę, że tu też nie działa internet, krzyczy z bezradnej złości, po czym zatrzaskuje pokrywę.

Wtedy właśnie gasną w domu wszystkie światła.

Rozdział 48

Carl

Obcinaki prawidłowo wykonały swoje zadanie. Trzy kable w skrzynce rozdzielczej doprowadzały prąd do domu i niezależnie od tego, jak dokładnie Linn i Elena przemyślały monitoring i tak dalej, najwyraźniej nie przyszło im do głowy, że ktoś mógłby przeciąć kable. Znajdowały się bowiem – jak to zwykle bywa w większości szwedzkich domów – w zwykłej, szarej skrzynce elektrycznej na zewnątrz, zupełnie niezabezpieczone. Skrzynkę łatwo było otworzyć za pomocą zwykłego śrubokręta. A urządzenie zagłuszające w jego kieszeni skutecznie blokuje możliwość dzwonienia lub łączenia się z internetem za pomocą telefonu komórkowego w promieniu stu metrów.

Carl z satysfakcją rzuca obcinak w trawę i odwraca się na pięcie. Musi przyzwyczać wzrok do ciemności, którą stworzył. Szkoda, że nie zabrał ze sobą czołówki.

„No cóż, i tak powinno się udać” – myśli Carl, stawiając pierwsze powolne kroki w kierunku drzwi wejściowych i otwierając oczy tak szeroko, jak to możliwe. Z pochewki wiszącej pod pachą wyjmując nóż Mil-Tec i przygląda mu się z zadowoleniem. Pałka sprężynowa, wciąż mokra od krwi Anne i Antona, znajduje się w jednej z kieszeni na nogawce i mocno uderza go o udo. Carl dość szybko zaczyna widzieć w ciemności coraz lepiej.

Najciszej, jak potrafi, przyspiesza kroku. W końcu biegnie w kierunku drzwi wejściowych. I dalej do domu, do środka.

Rozdział 49

Linn

Kiedy zmysł wzroku nagle zostaje odcięty, dzieje się tak, jakby niespodziewanie wyostrzył jej się słuch, a cisza krzyczała w uszach. Szumi jej w głowie. Linn mruga mocno kilka razy, żeby się upewnić, że nie oślepla. Kiedy jednak w niebieskawej poświacie ekranu laptopa, którego najwyraźniej nie domknęła, wyłania się przed nią niewyraźny zarys biurka, Linn może odetchnąć. Potem pojawia się niepokój.

„To nie jest przepalony bezpiecznik. To jest...”

Właśnie wtedy słyszy kroki człowieka biegnącego po korytarzu na dole i czuje, jak w brzuchu rodzi się panika. Nie słyszy żadnych głosów. Ani żadnych innych dźwięków. Jedynie kroki kogoś, kto wpada do domu, zatrzymuje się, a potem... Jakby wbiegał do salonu? Ktokolwiek to jest, na pewno nie wpadł wcześniej w pułapkę. Linn wie, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Sięga pod biurko, by wyciągnąć przyklejony tam pistolet, i niechący strąca łokciem lampę, która z hukiem uderza o podłogę.

„Fuck!”

Wstrzymuje oddech.

Wtedy to słyszy. Z dołu dobiega cichy śmiech. Chrapliwy, stłumiony dźwięk, który słyszy nieustannie we wszystkich najgorszych koszmarach.

„Ojciec”.

Linn, słysząc, jak wbiega po schodach szybciej, niż wydaje się to możliwe, rzuca się na kolana, wpełza pod biurko i maca ręką od spodu. Gdzie on jest, do cholery? Przecież odkładała go z powrotem... Trudno. Nie ma na to czasu. Widzi niewyraźną sylwetkę ojca na szczycie schodów. Najwyraźniej nie jest ranny. Linn będzie musiała bronić się maczetą. Gdzie, do diaska, ją położyła? Chyba na biurku? To za daleko. Linn cicho pojełkuje i dalej maca po omacku spód biurka. Gładkie drewno. Jeszcze więcej gładkiego drewna.

„Gdzie jest ten jebany pistolet?”

Domyśla się, że ojciec widzi światło z laptopa albo, podobnie jak ona, słyszy dźwięk jej serca, które bije tak wyraźnie jak pieprzony bęben bongo. Szybko bowiem kieruje się do pokoju, w którym znajduje się Linn. Idzie spokojnie w stronę drzwi. I staje w progu. Linn dostrzega jedynie czarny zarys sylwetki na jeszcze czarniejszym tle. To wystarczy. Nie musi więcej widzieć.

Linn prawie mdleje ze strachu, gdy wreszcie udaje jej się wymacać coś zimnego i twardego. Chwyta za rękojeść tureckiego pistoletu gazowego. Pociąga z całej siły. Gdy Linn odrywa broń spod biurka, rozlega się odgłos odklejanej taśmy. Linn bez słowa podnosi się na kolana, wyciąga pistolet przed siebie, celuje w drzwi i odciąga kurek. Następnie strzela, kierując broń w górę.

Błysk światła rozjaśnia pomieszczenie na ułamek sekundy. Ojciec słyszał te dźwięki – zarówno, gdy odklejała pistolet spod biurka, jak i gdy go odbezpieczała. Nie zabiła go, zdążył odskoczyć w bok. A ten przerobiony pistolet może być ładowany tylko jednym nabojem. Z wściekłym krzykiem Linn odrzuca go na bok. Po czym natychmiast tego żałuje. Przecież ojciec nie wie, ile w było naboji. Siedzi pod biurkiem, kłęcząc częściowo pod, a częściowo przed nim, bez broni i nie mając pojęcia, gdzie jest maczeta. A śmierć czai się zaledwie parę metrów od niej.

– Spudłowałaś – odzywa się ojciec z ciemności kpiącym tonem.

Linn nie ma wyboru. Musi działać z zaskoczenia i spróbować dostać się do jednej z tych wszystkich broni pochowanych po całym domu. Najbliższej ma do garderoby, a w niej znajduje się kij golfowy i pa-

ralizator. Tylko że drzwi do niej są zamknięte. Ojciec złapałby ją po drodze, zanim zdążyłaby je otworzyć.

„Sypialnia” – decyduje Linn i szczęka zębami, gdy adrenalina uderza. Pod łóżkiem znajduje się łańcuch rowerowy. Nie ma czasu na rozważania. Drzwi do sypialni są otwarte, a Carl pewnie nie spodziewa się po córce żadnym gwałtownych ruchów.

Linn, najciszej jak potrafi, podwija nogi pod siebie jak biegacz w blokach startowych. A co będzie, jeśli ją złapie? Jeśli wpadnie prosto w jego ramiona, w jego mordercze ręce? Mięśnie nóg się napinają. Nie ma innego wyjścia, jak zrobić to teraz. Jeśli tu zostanie, z pewnością ojciec ją dopadnie. Linn napina całe ciało. Zanim zdąży zmienić zdanie, odpycha się nogami. Biegnie. Rzuci się naprzód prosto na ojca, który zdecydowanie nie był na to przygotowany i upada na bok, gdy Linn przepycha się koło niego. Czuje zapach jego potu, zapach ojca, co sprawia, że wspomnienia zalewają jej mózg, a w oczach pojawiają się łzy, których nienawidzi. Ojciec wpada na drzwi garderoby i krzyczy, zaskoczony całą sytuacją. Linn czuje dłoń na plecach, ale nie udaje mu się jej złapać za obcisłą bluzkę. Ręka się ześlizguje i Linn udaje się uciec.

– Kurwa mać – słyszy za sobą jęk ojca. Następnie zbiera wszystkie siły, by dostać się do sypialni. Rzuci się na oślep na podłogę i wkłada ręce pod łóżko. Natychmiast wyczuwa palcami zimny metalowy łańcuch. Chce znowu głośno krzyknąć, ale tym razem triumfalnie.

Słyszy za sobą ciężkie, dudniące kroki. Odwraca się na pupie w momencie, gdy noga przelatuje ze świstem w powietrzu. Twardy jak skała but trafia ją w podudzie, ale ponieważ ojciec również nie za dobrze widzi w ciemności, nie uderza jej zbyt mocno. Linn wywija przed sobą łańcuchem, robiąc wielką ósemkę w poziomie. Raz za razem. Ósemka nagle się zatrzymuje, bo w coś uderza.

Ojciec wyje z bólu. Linn nie ma pojęcia, gdzie go trafiła, ale to może być jej jedyna szansa. Ma nadzieję, że trafiła w jakąś naprawdę ważną część ciała, w twarz czy w coś takiego, i szybko wstaje, czołga się przez łóżko na drugą stronę pokoju, a potem wymyka przez drzwi i zbiega po schodach.

„Piwnica, piwnica, piwnica. Strzelba”.

To jej jedyna szansa. Przebiegając obok drzwi wejściowych, czuje na twarzy rześkie wieczorne powietrze. Przelatuje jej przez myśl, żeby wybiec z domu. Uciec i krzyczeć tak głośno, że każdy sąsiad w promieniu kilku kilometrów przyjdzie zobaczyć, co się dzieje. Ale nie...

„Jeśli to ma się kiedykolwiek skończyć, ojciec musi umrzeć, tu i teraz”.

Walczy z własnymi instynktami, które próbują wyciągnąć ją za drzwi. Tymczasem ojciec zaczyna grzmieć na schodach.

– Ty suko! – Wrzeszczy. – Jesteś martwa!

Linn otwiera drzwi prowadzące na schody do piwnicy i wierzy, że zwycięstwo jest blisko. Przyjemne laskotanie w brzuchu nie trwa długo. Linn stawia jeden krok do przodu, gdy nagle czuje mocne szturchnięcie w plecy. Koziółkuje w powietrzu, a miłe doznanie w brzuchu przeradza się w porażające, straszne uczucie.

„Brak kontroli”.

Linn spada, ale lot jest krótki. Schody do piwnicy skracają pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, więc stacza się tylko o kilka metrów, ale ich stromość sprawia, że uderza o ścianę w miejscu, gdzie zmieniają kierunek. Wpada na nią lewą stroną twarzy i lewym ramieniem. Upada na betonową podłogę i czuje przeszywający ból w kostce.

Potem znowu ten śmiech. Szorstki i gorzki. Ojciec staje na szczycie schodów, ciężko dysząc. Dostrzega latarkę na półce tuż za drzwiami, bierze ją i włącza. Zimne światło sływa po schodach. Na Linn. Carl pogwizduje, widząc, jak leży na betonowej posadzce kilka metrów niżej.

– No nieźle, Linn. Naprawdę porządnie mi przywaliłaś tym cholerstwem w sypialni. Co to było, jakiś łańcuch, tak? – Chwyta się za ramię.

Linn płacze i zwiija się z bólu. Czuje się tak, jakby każda kość w jej ciele była zmiażdżona. Widzi, jak robi krok w jej kierunku. Ojciec wydaje się dwiema osobami, które tańczą wokół siebie. To na pewno skutek uderzenia w głowę. Wygląda jednak na równie zadowolonego z siebie i okrutnego jak zawsze.

Linn otrząsa głową, próbując w ten sposób wyostrzyć wzrok. Ojciec, częściowo oświetlony światłem latarki, wydaje się jeszcze większy niż dwa lata temu. Jakby od powrotu do Säter nie robił nic innego, tylko budował masę mięśniową.

Linn pojękuje, gdy chce podwinąć nogę, żeby się podnieść. Znowu piecze ją kostka. Może jest złamana. Poza tym kręci jej się w głowie. Musi jednak to zrobić. Jeśli teraz Carl dostanie ją w swoje ręce, to ją zabije.

Wspomnienia, które uważała za dawno pogrzebane, wypełniają na powierzchnię niczym zombie wydostający się z grobu w poszukiwaniu mózgu do pożarcia. Jej mózgu. Powraca obraz tego, jak ojciec gonił ją po domu, kiedy miała osiem lat, i zepchnął mamę ze schodów. Tej nocy mama wyłądowna na wózku inwalidzkim i pozostała na nim na zawsze. Linn zauważa, że podczas upadku ugryzła się w język i wypluwa ślinę zmieszana z krwią.

– Moja mała Linn – mówi ojciec i powoli, stopień za stopniem schodzi w dół. – Zupełnie jak twoja matka – kontynuuje, jakby słyszał jej myśli. – Trzeba przyznać, że dobrze wam idzie niezabijanie się podczas spadania ze schodów.

Linn nie próbuje już wstawać. Zamiast tego, pełznąca na czworakach, przesuwając się dalej na schodach, gdy te nagle znów pod nią znikają. Spada z ostatnich pięciu stopni na podłogę. Traci oddech. Łapie się za ramię, z którego błyskawice bólu rozchodzą się po całym ciele, i przekręca się na bok.

„Ile bólu może znieść jedno ciało?”

Linn nie chce znać odpowiedzi na to pytanie. Jest pewna, że ojciec zamierza jej to właśnie pokazać.

Znowu słyszy śmiech za plecami.

– Dokąd się wybierasz, córeczko? Jesteśmy tu tylko we dwoje, ty i ja. Znowu w piwnicy. To niemal romantyczne. Tyle że tym razem ani ta suka, którą posuwasz, ani ten pieprzony gliniarz nie przyjdą cię uratować.

Linn zaciska zęby i unosi się na czworakach. Coś ciepłego spływa z jej twarzy na szyję i kapie na podłogę. Prawdopodobnie krew. W słabym świetle latarki widzi zarys bojlera, który znajduje się zaledwie cztery metry od niej. A za bojlerem kryje się wybawienie. Ojciec tego nie wie... Idzie powoli, jakby miał mnóstwo czasu, i ciągnie swój monolog popaprańca.

„To on dziś zginie. Nie ja”.

Linn delikatnie porusza kostką. Czuje, że nie jest złamana, ale prawdopodobnie mocno zwichnięta. Opiera się o ścianę i powoli wstaje, zgrzytając zębami z bólu, który wybucha jednocześnie w różnych częściach jej ciała. Światło latarki jest słabsze, bardziej skoncentrowane na ścianie.

„Zbliża się”.

Ojciec jest już tylko kilka kroków od zakrętu schodów. Linn ponownie zaciska zęby i tak cicho, jak tylko może, kulejąc, przesuwając się o jeszcze parę metrów. Wsuwa rękę za bojler, czuje, jak rozrywa pajęczynę, a coś o wielu odnóżach pełźnie szybko po grzbiecie jej dłoni, a potem... stal... zimna, ratująca życie stal i wypolerowana drewniana kolba. W jej piersi wybuchają fajerwerki o tysiącu pięknych barw, gdy po cichu wyciąga spiętą strzelbę typu pump action. Gdy ojciec wychodzi zza rogu, Linn przeładowuje broń. Rozlega się dźwięk, który rozpoznałby każdy człowiek na ziemi.

– Nie ruszaj się, gnoju. Mam broń – warczy Linn.

Mówi to zupełnie niepotrzebnie. Ojciec zamarł już na sam dźwięk. Trzyma latarkę z boku, ale podnosi ją tak, że oślepia Linn.

– Co zrobiłeś z Eleną, ty świnię? – wypluwa z siebie, mrużąc oczy. Zatacza się, ponieważ musi utrzymać większość ciężaru ciała na jednej stopie.

Carl się śmieje. Śmieje się, mimo że patrzy prosto w lułę pieprzonej strzelby!

– Uważasz się za cholerną twardzielkę, co? – odzywa się. Podchodzi krok bliżej.

– Ani kroku dalej! – wykrzykuje Linn. Ma wrażenie, że zaraz pęknie jej gardło. – Gdzie... jest... Elena? – pyta, z trudem łapiąc oddech.

Ojciec przekrzywia głowę. Świeci jej prosto w twarz, prawdopodobnie po to, by ją oślepić i utrudnić strzelanie, ale przestrzeń na dole jest tak mała, a rozrzut spiłowanej strzelby tak duży, że nie ma to znaczenia. I tak w niego trafi, a on powinien o tym wiedzieć.

Carl głęboko wzdycha.

– Nie porwałem jej. Zrobiło to dwóch innych idiotów. Odjechali starym ciemnozielonym fordem ledwie kwadrans przed twoim powrotem.

Linn kręci głową.

– Kłamiesz – mówi głosem tak chrypliwym jak skrzeczenie wrony-zombie.

Ojciec znowu przechyla głowę.

– A dlaczego miałbym kłamać? Czy naprawdę aż tak słabo mnie znasz, Linn? Co? Po tylu latach? Zabicie tej starej suki byłoby czystą przyjemnością i gdybym to zrobił, powiedziałbym o tym, możesz być pewna. Tak jak teraz z największą przyjemnością mogę powiedzieć, że choć nie udało mi się z Eleną, to udało mi się z innym małym słodziakiem. Leży za szopą sąsiada... całkowicie... wykończona... jeśli wiesz, co mam na myśli.

Łzy spływają jej po policzkach, mimo że robi wszystko, by je powstrzymać. „Moa?”

Widzi, że ojciec kiwa głową za uniesioną latarką i kontynuuje niemal śpiewnym tonem:

– Przyjemnie mi z nią było, powinnaś to wiedzieć. Umarła z moim kutasem w środku, Linn. Czy to nie jest niesamowite?

„To nie może być prawda. On ze mną tylko pogrywa. Moa uciekła, zostawiła notatkę ze współzrędnymi i tak dalej”.

Linn nie może oddychać. Potrząsa głową. Wyciera policzek o ramię. Znowu potrząsa głową. Chwieje się. A potem czuje uderzenie. Ojciec miał coś w kieszeni. Po prostu grał na zwłokę, by móc to wyjąć. To, czym teraz uderzył w bok strzelby, sprawia, że broń leci w prawo i w tym samym momencie pada strzał.

Huk jest potwornie głośny w tej ciasnej przestrzeni. Linn dzwoni w uszach i czuje kolejny cios w ramię. Ojciec próbuje się na nią rzucić, ale udaje jej się zrobić unik do tyłu. Linn uderza plecami o ścianę i znowu traci oddech. Nie może się już bardziej wycofać. W słabym świetle widzi, że ojciec trzyma w ręku coś, co wygląda jak pasek z ciężarkami... ale uświadamia sobie, że to pałka sprężynowa. Linn drze się na cały głos, podpiera ramionami o ścianę i ostatkiem sił przeładowuje broń. Zaletą tego karabinu jest to, że można go załadować dwoma nabojami.

Ojciec się wzdyga i kuli, gdy słyszy odgłos przeładowywania. Po chwili powoli podnosi rękę. Latarkę trzyma w jednej, pałkę w drugiej.

– Okej, okej – mówi głośno, ale słychać tak, jakby mówił przez kilka warstw pianki wygłuszającej. Dzwonienie w uszach Linn nie ustępuje. Możliwe, że do końca życia będzie miała problemy ze słuchem. Jedynym pocieszeniem jest to, że on również.

Choć i tak jego życie nie potrwa długo.

– Spokojnie – głos ojca przedziera się przez pisk w uszach.

– Elena – powtarza Linn. Tym razem bardziej stanowczym głosem. Wciąga smarki, które smakują jak krew. – Gdzie ona jest?

– Czy te uderzenia uszkodziły ci mózg? Przecież mówię, że przyszło dwóch facetów i ją zabrali. Nie było to zbyt trudne, była zalana w trupa. Najwyraźniej musieliście wkurzyć kogoś jeszcze tymi swoimi feministycznymi bredniami.

„Incele”. Linn wewnątrz czuje chłód. Może ojciec jednak nie kłamie. A skoro mówi prawdę o Elenie, to pewnie mówi prawdę również o Moi.

– Moa... – szepcze ledwie słyszalnym głosem Linn.

– Martwa, przecież mówię – słyszy w tonie jego głosu, że ojciec przewraca oczami. Tak nieprawdopodobnie zadowolony z siebie, tak zadufany w sobie, że wierzy w to, że wygrał. – Ja...

Nic więcej nie udało mu się powiedzieć, bo wtedy Linn strzela mu prosto w pierś.

Rozdział 50

Linn

W końcu dzwonienie w uszach słabnie. Minęło może dziesięć minut, może pół godziny. Może pół życia. Siedzi tam, gdzie wylądowała w momencie, gdy kula trafiła jej ojca, a ona uderzyła plecami o ścianę. Ojciec upuścił latarkę. Potoczyła się po podłodze i teraz leży między nimi. RzUCA przerażający cień na ścianę. Cień nieruchomej stopy ojca. Nie wie, jak długo się w nią wpatruje. Padł na ziemię. Od razu. Żadnych drgawek. Żadnego szurania nogami. Żadnego gadania. Linn trafiła go w środek klatki piersiowej, a wtedy on po prostu runął, jakby ktoś jednym ruchem wyrwał mu z ciała szkielet.

Nie potrafi powiedzieć, ile czasu siedziała, wpatrując się w cień, gotowa na to, że ojciec w każdej chwili może znów zacząć się ruszać. Dzwonienie w uszach ustępuje mniej więcej wtedy, gdy Linn opowiada rozdzierający serce szloch. W tej samej chwili myśl o Elenie powraca. Jednak musi...

Linn wygrzebuje telefon. Spogląda przed siebie. Cień na ścianie pozostaje nieruchomy. W telefonie nadal nie ma zasięgu.

Może ojciec ma telefon, który działa? Krzywi się na samą myśl o tym, ale stwierdza, że po tym wszystkim, co przeszła dzisiejszego wieczoru, równie dobrze może zrobić i to.

Przesuwa się na pupie w jego stronę, płacząc i próbując opanować oddech. Musi się ostrożnie poruszać ze względu na kostkę, która pulsuje i piecze, jakby ktoś oblał ją wrzątkiem. Gdy znajduje się bliżej Carla, czuje smród krwi, który napełnia ją nieznanym dotąd uczuciem.

„Wygrałam, ty jebany sukinyń” – myśli, wyciągając ręce w stronę kieszeni ojca i dotykając ich od zewnątrz. Robi wszystko, by nie patrzeć na dziurę pośrodku klatki piersiowej.

„Wygląda jak mięso mielone”.

Cień na ścianie faluje, a mdłości mogą zaraz przerodzić się w wymioty. Linn wkłada rękę do jednej z przednich kieszeni spodni i wstrzymuje oddech.

„Umrę, jeśli teraz drgnie lub złapie mnie za rękę”.

Ale ojciec po prostu tam leży. Naprawdę nie żyje. Wszystkie narządy wewnętrzne są podziurawione setkami ołowianych kulek. Ma nadzieję, że zdążyło go zabołec.

Po chwili grzebania w kieszeni Linn wyciąga przedmiot, który wydał jej się telefonem, ale okazuje się, że jest to coś, co wygląda jak małe walkie-talkie z czerwoną lampką świecącą na górze. Linn się zastanawia. Wyłącza urządzenie przyciskiem znajdującym się z boku, a następnie spogląda na swój telefon. Niemal natychmiast pojawia się ikonka zasięgu. A także ikonka wi-fi. Czuję taką ulgę, że chce jej się płakać.

„Tak!”

Musiałoby to być coś w rodzaju zagłuszacza sygnału. Nie dziwni więc, że nic w domu nie działało. Linn powoli się podnosi ze wzrokiem utkwionym w nogach ojca i chowa zagłuszcacz do kieszeni. Może się przydać. Cień na ścianie znów jest nieruchomy.

„Miałam go na celowniku. Mogłam pozwolić mu żyć – myśli. – Mogłam zmusić, by wyszedł z domu. Zabrać go jak jeńca wojennego do sąsiadów i poprosić o wezwanie policji”. Ale... nie. Tego błędu nie zamierzała popełnić ponownie. Ojciec nigdy by się nie poddał. Znowu by uciekł. Zrobiłby wszystko, żeby się na niej zemścić.

– Linn? – przytłumiony głos Martina Ljungståla w telefonie jest jak miód na serce. – Gdzie się pozdiewałaś? Wszędzie cię szukaliśmy. Myśleliśmy, że poszłaś do lasu. Linn, ty musisz...

Linn pociąga nosem i mu przerywa:

– Musicie tu przyjechać – odzywa się słabym głosem. – Natychmiast. Jest tu mój ojciec. Zastrzeliłam go. – Słyszysz, jak bezbarwnie brzmi jej głos. Jakby płasko.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – odpowiada Martin bez tchu. – Linn. Ty nie rozumiesz. Próbowałem się do ciebie dodzwonić chyba ze sto razy. Twój brat, on...

Linn znów przerywa.

– Moa nie żyje. Leży za szopą sąsiada. Ojciec nie żyje. Jest na dole, w piwnicy. Musicie tu przyjechać. Teraz. – Rozłącza się, nim Martin zdąży powiedzieć coś więcej.

Potem próbuje jeszcze raz zadzwonić na numer Eleny, tak na wszelki wypadek. Nadal jest niedostępny. Opuszcza rękę wzdłuż ciała. Nieporadnie i bardzo powoli człapie w górę po schodach, nie mogąc podeprzeć się na lewej nodze. Dociera do salonu. Do schodów. Idzie dalej, na górę. Tam zatrzymuje się na chwilę zdyszana, po czym otwiera laptopa i loguje się do chmury, gdzie znajdują się zapisane obrazy z kamery umieszczonej przy pułapce w schowku. Pochyla się blisko ekranu, aby znaleźć to, czego szuka. Przegląda zdjęcie za zdjęciem, czując metaliczny zapach własnego potu i krwi.

„Ja pierdolę”.

Ojciec mówił prawdę. Nie jest żadnym z dwóch mężczyzn na nagraniu. W oddali słychać dźwięk syren. Są coraz bliżej. Podejmuje decyzję. Zamyka laptop i z latarką pod pachą najszybciej, jak potrafi, kuśtyka z powrotem do salonu. Umieszcza latarkę na środku stołu, w taki sposób, by świeciła w sufit. Szybko wsuwa do kieszeni kartkę ze współrzędnymi, które Moa zapisała przed śmiercią. Podnosi szklankę i wlewa do niej trochę rumu, podczas gdy syreny słychać już na pobliskiej ulicy.

Opróżnia szklankę w momencie, gdy przed dom podjeżdża kilka samochodów. Rozlega się odgłos otwierania i zatraskiwania drzwi jednego z nich. I zaraz kolejnego. Linn chce się oprzeć o kanapę, ale na nią opada. „Oddychaj. Oddychaj. Oddychaj”. To wszystko, co jest w stanie teraz zrobić. Kostka pulsuje. Ramię i głowa z jednej strony bołą. Rwą ją kolana, a spodnie nasiąkają krwią. W zimnym świetle latarki krew wydaje się czarna.

Kilka sekund później do domu wchodzi Martin Ljungstål z wyciągniętą bronią. Natychmiast zauważa Linn, opuszcza broń i rzuca się do przodu.

– Mój Boże, co się stało? Gdzie jest Carl?

Wycieńczona Linn wskazuje ręką w kierunku schodów do piwnicy.

– Zastrzeliłam go. Jest w piwnicy. On... próbował... mnie zabić. Uważaj, bo tam jest kompletnie ciemno.

„To byłby szczyt ironii – myśli Linn i odkrztusza ślinę – gdyby Martin spadł teraz ze schodów i skreślił sobie kark”. Bo najwyraźniej tak to właśnie działa. Wszyscy wokół niej umierają.

W policyjnym radiu Martina słychać trzaski. Ktoś mówi, że trzeba wysłać więcej samochodów. Że za szopą sąsiada leży martwe ciało.

Ostatnia cząstka człowieczeństwa, jaka pozostała w Linn, się rozpada.

Moa nie żyje.

Musi powiedzieć Jonnie. Tylko jak? Jak, do diabła, ma to zrobić? Jonna się zabije.

Ojciec nie żyje. Moa nie żyje. Mama nie żyje. Anton nie żyje.

Pytanie brzmi, czy Linn również nie powinna umrzeć. Zakończyć to wszystko raz na zawsze.

Kiedy Martin spokojnie i powoli siada obok niej na kanapie, ma ochotę go uderzyć. „Co on, do cholery, robi?”

– Linn – odzywa się policjant – rozłączyłaś się i nie zdążyłem ci powiedzieć.

Odwraca głowę w jego stronę. Co tu można jeszcze powiedzieć? Nic już nie ma znaczenia. Linn czuje się jak przypadkowy gość w rzeczywistości. Najsamotniejsza osoba na świecie. Martin wbija w nią wzrok. I upiera się, żeby mówić dalej.

– Twój brat – mówi.

Samo myślenie o nim sprawia ból, więc Linn zaciska powieki.

- Linn, Anton żyje.

Otwiera oczy. Zamiera. Nic z tego nie rozumie.

- Co powiedziałaś?

Rozdział 51

Elena

Tylko częściowo zachowała świadomość w czasie tego wszystkiego, co się wydarzyło. Ma przebłyski. Urwane kadry z grubą warstwą wazeliny na soczewce. Krótkie fragmenty audio, które trzeszczą jak zepsute głośniki. Ale kiedy Elena budzi się z przeszywającym bólem głowy i tkliwym karkiem, ma problem z określeniem, które wspomnienia są prawdziwe, a które to straszliwe koszmary wywołane alkoholem. Spuchnięty i suchy język przykleił się do podniebienia. Wokół niej jest okropnie zimno i wilgotno. Od razu zdaje sobie sprawę, że nie jest u siebie w domu.

Siada z przeciągłym jękiem. Ma na sobie tylko spódnicę i cienką bluzkę. Rajstopy są rozdarte na stopach. Szerokie oczko idzie od prawej pięty, w górę łydki i znika pod spódnicą. Gdzie, do diabła...

„Czy ja jestem w stajni?”

Obok niej, przez szpary pomiędzy dwiema grubymi, zakurzonymi deskami sączy się światło dzienne. Widzi nie tylko kurz. Są też pajęczyny. Wzdryga się i przysuwa stopy bliżej siebie. Prastare pajęczyny, do których przykleił się kurz, tworząc żółtoszare, poskręcane girlandy przyczepiające się do wystających chropowatości desek. Podąża wzrokiem za snopem światła w dół, na betonową podłogę. Widzi kilka wilgotnych, poszarzałych i spłaszczonych źdźbeł słomy. Do ściany przymocowane jest stare, zardzewiałe koryto, więcej w nim rdzy i dziur niż metalu. Z jednej strony jest duża dziura. Wygląda na to, że koryto rozpadłoby się, gdyby go dotknęła. Tak. Znajduje się w stajni. I to najwyraźniej w bardzo starym boksie dla koni. Coś rozsadza jej głowę od środka. Piecze ją w gardle. Kiedy obok zdezelowanego łóżka polowego, na którym leży, dostrzega poźółkłe plastikowe wiadro ze zwisającym stalowym drutem służącym za prowizoryczną rączkę, nie zastanawia się długo. Jest pełne wody, a nawet w imię godności nie warto umierać z pragnienia.

Sprężyny w łóżku skrzypią, gdy obraca nogi i siada. Uważnie przygląda się podłodze przed postawieniem stóp na lodowatej powierzchni. Materac w niebiesko-białe paski ma zaledwie kilka centymetrów grubości. Elena odgarnia do tyłu włosy z twarzy, postanawia, że musi się napić i wstaje. Chwieje się na nogach. Powoli podchodzi do wiadra z gęsią skórką na całym ciele, przykuca i wkłada dłonie do wiadra, by nabrać wody. Jest chłodna i czysta. Pije, a woda wlewa się pod mankiety bluzki, spływa po przedramionach i kapie z brody. Po ugaszeniu silnego pragnienia, wynikającego z kaca, ponownie napełnia ręce i opłukuje twarz. Zimno sprawia, że po plecach przechodzą ją ciarki. Przeczesując palcami włosy, odkrywa, że na karku ma dwa bolące guzy wielkości śliwek. Tył głowy pulsuje jej tak, jakby tańczyło tam stado hipopotamów. W kapiach z żelaza.

„Bo leżałam w bagażniku. Zbyt pijana, by ochronić głowę na wybojach i zakrętach” – uświadamia sobie. Wstyd natychmiast uderza brudnymi stopami w jej serce, starając się je chwycić i wykręcić, aż zaboli jeszcze bardziej.

Mogłaby zabić za lek przeciwbólowy. Ale... gdzie ona, do cholery, jest?

Wstaje i wyciera ręce o spódnicę. Rozgląda się dookoła po małej stajni. Zamyka oczy i próbuje sobie przypomnieć. Niejasno, bardzo niejasno pamięta dwie niewyraźne męskie postacie. Ktoś się na nią rzucił. Jeden z nich, on... krzyczał? Potrzebował pomocy kolegi. Przebłyski wspomnień oświetlają ukrytą dotąd część wczorajszych wydarzeń i sprawiają, że Elena uśmiecha się szeroko w tej tragicznej sytuacji. Wdepnął w pułapkę. Ale jaki on? Nie Carl. Nie...

Groźby, które otrzymała, wypływają na powierzchnię świadomości i dokładnie w tym samym momencie zaczyna skręcać ją w żołądku. Czuje, że zaraz zwymiotuje zimną wodą. Zakrywa usta dłonią i

dygocze. Na rękach pojawia się gęsia skórka.

Wykonali więc swój ruch. A przynajmniej niektórzy z nich. Dwóch pieprzonych inceli. Ci z tych bardziej niebezpiecznych, a nie ci, którzy udają twardzieli, siedząc w piwnicy u matki. Elena zastanawia się, czy pisali już o tym na forach. Może ich kretyńscy kumple im kibicują. Podekscytowani. Może właśnie teraz nagrywają manifest dla przyszłych pokoleń, który opublikują na YouTube.

„Co oni zamierzają ze mną zrobić?”

Strach szarpie nią od środka. Sprawia, że serce bije mocniej. Elena zmusza się, by się schylić i wypić jeszcze kilka łyków w spokojnym tempie. Wyciera usta wierzchem dłoni i rozgląda się wokół. To ma-lutka, kwadratowa stajnia. Tylko dwa boksy dla koni. W jej boksie znajdują się łóżko i wiadro z naprawionym uchwytem. W drugim nie ma nic. Dostrzega drzwi, które prawdopodobnie prowadzą do pomieszczenia z siodłami, ale w stajni nie ma żadnych rzeczy dla koni. Zatem to miejsce pewnie nie służy jako stajnia. Elena wymyka się z boksu i próbuje odkręcić kran przy metalowym zardzewiałym korycie, ale nie działa. Są tu też szerokie drewniane drzwi. A za nimi – wolność.

Elena wraca do boksu. Rozgląda się, czy nie ma tam czegoś, co by jej umknęło, ale nie znajduje nic takiego. Wkłada rękę do stannika. Czuje małą wypukłość. Przeoczyli to. W takim razie ma szansę.

Powoli i ostrożnie zakrada się do drewnianych drzwi. Ku wolności. Chwyta czarną metalową obręcz i próbuje ją przekręcić w prawo, by otworzyć, jednak nie może jej poruszyć bardziej niż o parę milimetrów.

„Zamknęli mnie...”

Dla pewności próbuje przekręcić w drugą stronę. Lekko porusza uchwytem. To też nie działa. Stajnia wygląda na starą, jakby została zbudowana w XIX wieku. Gdzieś tam między drewnianymi deskami są szczeliny. Elena próbuje przez nie wyjrzeć. W jednym miejscu, gdy stoi tuż przy drzwiach i zbliża oko do szczeliny, dostrzega szczyt innego budynku. Jakieś dwadzieścia metrów dalej. Wygląda jak zwykłe stare, zniszczone szwedzkie gospodarstwo. Białe tynk. Zmurszały dach kryty strzechą. Beczka na deszczówkę w rogu. Drewno, wcześniej ułożone w stos, a teraz z jednej strony porozrzucane i zapomniane. Sceneria wokół również nic nie wyjaśnia. Wilgotna, poóżłka trawa. Pokryte błotem i zdeptane podwórze. Sosny. Przepuszczalnie jest tam więcej budynków.

„Może uda mi się wydostać przez jedną ze ścian?”

Ponownie przeczesuje stajnię w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby użyć jako narzędzia. Ma tylko mały szczyrtek, który trzyma w stanniku.

„Lepsze to niż nic” – stwierdza i go wyjmuje. Waży go w dłoni. Uchwyt ma długość nie więcej niż pięć centymetrów. Ostrze tyle samo. Rozkłada błyszczący nożyk i rozgląda się dookoła. Stajnia zbudowana jest z naprawdę grubych desek. Kiedyś budowało się porządnie. Wzdycha. Deski są jak ze skały. Ponownie spogląda na nożyk.

Jeśli ma go użyć do przebicia się przez ścianę, zajmie jej to dużo czasu. Może lepiej zrobić trochę hałasu, zwabić tu kogoś i przebić się... dzięki niemu? Odbija jej się i czuje okropny smak wczorajszego rumu. Od razu pojawia się poczucie winy, które próbuje ją sparaliżować. Gdyby nie wypila tak dużo, byłaby w stanie się obronić.

Ale z niej idiotka. Jaki sens ma chowanie broni i rozstawianie pułapek, jeśli potem upijasz się do nieprzytomności, nie możesz ich użyć i nawet nie zauważasz, kiedy nadchodzi wróg?

Elena kręci szyją. Krzywi się z bólu. Nie ma teraz czasu, by się obwiniać. To będzie musiało poczekać. W tej chwili musi się skupić na tym, żeby się stąd wydostać. Dotrzeć do najbliższego domu. Wezwać pomoc.

„Linn” – myśli i choć jej ciało jest suche jak zakurzony stary pergamin, łyże dławią ją w gardle. „Nie, tak nie można. Stać tu i płakać jak bezradny, pieprzony mięczak”.

Elena zaciska pięść i uderza mocno w drewniane drzwi.

– Halo? – woła, chowając w drugiej ręce szczyrtek za plecami. – Halo, wypuście mnie!

Rozdział 52

Linn

Siedzi przy kuchennym stole, na którym stoi filiżanka kawy. Kawa już dawno wystygła. Linn nie spała całą noc, mimo to nie jest zmęczona. Gdy Martin i inni policjanci wyszli od niej wczoraj wieczorem, a karawan zabrał ciało ojca, nie zmrużyła oczu na sekundę. Ma zbyt wiele obrazów zapisanych w mózgu, które mogłyby się wtedy ujawnić. Zbyt wiele w pamięci. Zbyt wiele w duszy.

Na szczęście to nie ona musiała powiedzieć Jonnie, co się stało z Moą, ale słyszała krzyk, gdy została o tym poinformowana. Martin przeprowadził na miejscu pierwsze przesłuchanie Linn. Zanotował szczegóły, gdy wszystko było jeszcze świeże w jej pamięci. Ale...

Linn opowiedziała, co wie o zaginięciu Eleny, a Martin obiecał, że policjanci zrobią wszystko, co w ich mocy, by ją odnaleźć. Martin jest w porządku. Linn zdaje sobie jednak sprawę, że obecna sytuacja w mieście mocno nadwyrężyła zasoby policyjne. Jeśli zależy jej na odnalezieniu Eleny, Linn będzie musiała wziąć sprawy w swoje ręce. Ponieważ ma teraz mnóstwo czasu. Nic więcej jej nie pozostało. Anton jest w szpitalu, objęty opieką i ochroną. A Elena...?

Kilka godzin temu wzeszło słońce. Dziś Linn ma stawić się na policji na dalsze przesłuchania. To, że działała w obronie własnej, nie podlega dyskusji. Prokurator zapewne od razu podejmie decyzję o odstąpieniu od oskarżenia. Wszyscy wiedzą, kim był Carl Walter. Wszyscy wiedzą, co zrobił Linn i jej rodzinie. Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że obawiała się o życie. Z całą pewnością zostanie ukarana za posiadanie spiżowanej strzelby. Musiała pokazać, z czego strzelała, i broń została natychmiast skonfiskowana. To nie koniec świata. Prawdopodobnie zasądzą jej grzywnę. W tej chwili wydaje się to bez znaczenia. W każdym razie powinna pójść na przesłuchanie. Taki jest plan. Plan policji. Po raz kolejny będzie musiała wydobyć z pamięci wszystkie szczegóły i opowiedzieć o nich najdokładniej, jak potrafi. Szczegóły, o których wolałaby zapomnieć.

Ech. „I tak ich nie zapomnę” – myśli, patrząc na te wszystkie rzeczy, które wyłożyła na stół i których policja, będąc u niej wczoraj wieczorem, nie znalazła. Różne rodzaje broni. Zagłuszcacz sygnału. Kartka od Moi. Linn nic o niej nikomu nie wspomniała. Kiedy w nocy przeszukiwała wszystkie szafki w kuchni, znalazła skrytkę Eleny z marihuaną, a potem tytoń, którego używa do mieszania z trawą. Linn roluje skręta palcami. Wygląda jak zdeformowany ślimak bez skorupki, który połknął kulkę do gry, ale i tak spełni swoje zadanie. Zapala go. Wypływa przyklejone do dolnej wargi kawałki tytoniu, odchyła głowę do tyłu i wydmuchuje dym w kierunku sufitu.

Wielokrotnie oglądała zdjęcia z monitoringu. To nie ojciec porwał Elenę. Więc kto to zrobił? A przede wszystkim gdzie ona jest? Ta najważniejsza osoba w życiu Linn.

Jej rozmyślania przerywa Pan Syk, który wskakuje na kuchenny stół. Wyraźnie niezadowolony, że leży tam tyle rzeczy, rzuca Linn gniewne spojrzenie, ale mimo wszystko znajduje dla siebie miejsce między paralizatorem a łańcuchem rowerowym, wciąż poplamionym krwią Carla. Podnosi łapę i ją liże.

– Hej, ty – mówi Linn matowym głosem i unosi rękę. Kot zauważa ten gest, ale go ignoruje. Kontynuuje toaletę po śniadaniu, które przed chwilą mu podała.

– Dobra, pieprzyć to – stwierdza Linn, a jej ręka opada z powrotem na stół.

Zaciąga się. Próbuje myśleć. Na stole leży też komputer Eleny. Nie dała go Martinowi. Jeszcze nie. Najpierw sama musi wszystko sprawdzić. Wtedy mogą go wziąć. Linn udało się dostać do skrzynki mailowej i na niektóre fora przechowywane w pamięci podręcznej komputera. Nie znajduje tam żadnych wskazówek. Bo chyba to któryś z tych dupków musiał ją porwać. Czyta wątek, w którym podburzają się

nawzajem. Kolejny raz mocno się zaciąga. Dym rozdziera jej płuca niczym drut kolczasty. Wydmuchuje go prosto w Pana Syka, który zamyka oczy i się kurczy. Niezwykle niezadowolony z napaści, zeskakuje ze stołu i znika w korytarzu.

„Ma za swoje” – myśli Linn, przeczesując dłonią swoje krótkie blond włosy.

Właściwie powinna była pokazać to wszystkim policji już wczoraj. Ale... co to dało ostatnim razem, gdy chciała polegać na ochronie policji? W zasadzie nic. Martin jest dobry, ale nie ma pewności, że to właśnie on będzie pracował nad sprawą zaginięcia Eleny. Równie dobrze może to być jakiś tłusty wieśniak, który się nie zna na internecie. Tyle razy spotkała się z tym w swojej pracy. Kobiety miały na coś dowody w telefonach lub komputerach, ale policja wycofywała zarzuty, twierdząc, że nie da się prowadzić dochodzenia w sprawie przestępstwa. Choć oczywiście byłoby to możliwe, gdyby ktoś miał wiedzę na temat internetu i byłby skłonny poświęcić sprawie trochę czasu. Ciągłe widzi takie sytuacje. Eee, nie. Nie zamierza liczyć na pomoc policji. Zawsze będzie wdzięczna Martinowi, a wiadomość o Antonie, którą przekazał jej wczoraj, sprawiła, że świat znów nabrał kolorów, ale... mimo wszystko. Jeśli sprawa Eleny ma zostać rozwiązana, nie może się to odbywać za pośrednictwem policji.

Coś brzęczy na stole przed nią. Komórka Moi. O świcie Linn poszła za szopą sąsiada. W trawie zobaczyła ślad po leżącym ciele. Widziała miejsce, gdzie Moa..., gdzie ojciec... Linn z trudem łapie oddech. Chyba po raz tysięczny odgradza się murem od tej myśli.

„Niewiele brakowało”. Zaciąga się po raz ostatni i wrzuca blanta do filiżanki z kawą, tak że skwierczy. Aby opełdzić się od naporu myśli, sięga po telefon, który znalazła w wysokiej trawie za szopą. Od razu wiedziała, że należał do Moi. Policja musiała go przeoczyć.

W nocy przyszło wiele esemesów. Linn ma coraz większą pewność, co robić. Wpisuje pin Moi: 2014. Rok, w którym uwolniła się od przemocy ze strony ojca. Mała, śliczna Moa... Linn czuje, jak rozmywa jej się obraz przed oczami.

„Nie, do cholery. Niech ten mur znowu się pojawi. Teraz, kurwa, natychmiast”.

Linn odchrząkuje, prostuje plecy i czyta najnowszą wiadomość, ocierając oczy palcem wskazującym. Wyslaną przez kogoś o imieniu Veronica.

„Ale serio. Gdzie jesteś? Wszyscy się tu martwimy. Widziałaś *Wiadomości* w telewizji? Jesteśmy dumne jak cholera. No, w każdym razie, proszę, przyjeżdż tu. Albo po prostu napisz do nas, żebyśmy wiedziały, że nic się nie stało”.

Linn czuje, jak ciepło rozlewa jej się w brzuchu. Martwią się o nią. Kimkolwiek są. Jedno wspomnienie przedziera się przez chaos, jaki ogarnął jej wyczerpany mózg. Rozmowa, którą odbyły tuż przed podjęciem decyzji o zastraszaniu Lindströma. Wydaje się, jakby to było tysiąc lat temu. Wtedy, gdy Moa próbowała je przekonać, że manifest SCUM to najlepsze, co mogło im się przytrafić, a Valerie Solanas to jedyna prawdziwa bohaterka. Słyszysz słowa Eleny z przeszłości:

– Czy wiesz, kim była Valerie Solanas? Jak żyła i w jaki sposób zmarła? I co zrobiła?

– Wiem – odpowiedziała Moa. Linn pamięta to wyraźnie. – Jest wiele kobiet, które wzięły sobie jej przesłanie do serca.

Czy to możliwe? Wszystko na to wskazuje. Moa poznała ostatnio pewną grupę kobiet. Może nawet to one rozesłały to nagranie. I to one wzbudziły w niej zainteresowanie Solanas i manifestem SCUM. Z tego, co mówiła Moa, a także z nagranych przez nie filmu wynikało, że są gotowe do wprowadzenia manifestu w życie.

„Jesteśmy tu bezpieczne / M.” Więc gdzie one są? Odpowiedź jest oczywista. Linn wchodzi na Google Maps na komputerze Eleny i wpisuje współrzędne z kartki od Moi.

„Niedaleko Lundu?”

Linn spodziewała się czegoś innego. Pręcej Danii – Moa tyle opowiadała o Kopenhadzie i o tym, jak dobrze się tam żyje. Najwyraźniej jednak przez cały czas były praktycznie tuż obok.

Linn wstaje, gdy jej komórka zaczyna dzwonić, a na ekranie wyświetla się numer Martina Ljungståla. Jest ósma rano. Czas podjąć decyzję. Linn odrzuca połączenie. W zasadzie już dawno podjęła decyzję.

Pakuje do plecaka wszystkie rzeczy ze stołu. Następnie przynosi transporter dla kota. Zostanie rozszarpana przez jego ostre pazury, ale nic na to nie poradzi. Pan Syk musi z nią pojechać. Ponieważ prawdopodobnie już nigdy tu nie wróci.

Pieprzyć przesłuchania. Pieprzyć policję. Pieprzyć tę pracę i tak naprawdę – pieprzyć cały ten świat. Teraz pozostaje tylko jedna rzecz do zrobienia – uratować Elenę, a do tego potrzebuje pomocy.

Najpierw musi jeszcze gdzieś się zatrzymać. Tam, gdzie znajduje się jedyny promyk światła w jej życiu.

Linn wychodzi z domu ze łzami spływającymi po policzkach, z plecakiem na plecach, trzymając klatkę dla kota w pokrytej świeżymi zadrapaniami ręce i ani razu nie ogląda się przez ramię.

Nie zadaje sobie nawet trudu, by zamknąć drzwi.

Rozdział 53

Linn

Linn milczy, ponieważ nie znajduje odpowiednich słów. Anton leży w szpitalnym łóżku owinięty bandażami. W kilku miejscach ma założony gips. Ale żyje. Tutaj. Teraz. Z nią. Linn trzyma go delikatnie za koniuszki palców prawej ręki wystające z bandaża i oboje płaczą. Anton na zmianę traci i odzyskuje przytomność, dzięki morfinie nie odczuwa bólu.

W całym tym chaosie panującym w miejscu, gdzie Carl zaatakował Antona i mamę, stwierdzono zgon obojga. Dopiero gdy ich ciała miały zostać przeniesione do worków na zwłoki, odkryto, że Anton jest cieplejszy, niż powinien, i że ma ledwo wyczuwalne tętno.

Linn nie może uwierzyć, że to prawda. Ale znalazła w internecie wiele artykułów o ludziach uznanych za martwych, którzy czasem dopiero w kostnicy okazywali się żywi. Miłość przepęlnia jej serce, gdy patrzy na twarz brata. Czuje przeogromną wdzięczność. Anton mruga powoli. Próbuje się uśmiechnąć przez łyzy. Wykrzywia twarz. Zamyka oczy. I znowu zasypia.

– Zabiłam go – szepcze Linn, delikatnie ocierając kilka łez z posiniaczonego policzka Antona. – Już nigdy nas nie skrzywdzi.

Wstaje i całuje go w czoło. Tu jest bezpieczny. Pod dobrą opieką. Teraz Linn musi się upewnić, że Elenie też nic nie grozi.

Rozdział 54

Leonora

Słońce weszło nad polami kilka godzin temu. Tylko Leo nie śpi. Pozostałe kobiety wczoraj świętowały i pewnie będą długo spać. Jeszcze dwa martwe gnoje i liczba ofiar Kobiety Laser będzie dwucyfrowa. Wszystkie zgodnie uznały, że trzeba wznieść za to toast. Atmosfera jednak nie była zbyt wesoła. Wszyscy wiedzą dlaczego. Moa. Jakby zdmuchnięta z powierzchni ziemi. Pozostawiła po sobie pustkę w grupie, mimo że jest najmłodszą członkinią. A może właśnie dlatego.

Leo podchodzi do okna w kuchni i po raz setny wpatruje się w firankę. Spogląda na rzepak. Zauważa kubek po kawie stojący na parapecie i wyczuwa zapach zawartości pozostawionej na dnie. Uśmiecha się. Nawet Sigrid wypila wczoraj kawę z prądem. Bimber, który Evelyn pędzi w szopie, jest naprawdę dobry. A kiedy wybiła północ, Sigrid przyniosła akordeon i zaciągnęła je wszystkie do szalonych tańców w kuchni.

Wczoraj w pewnym momencie Tina, która z oczywistych powodów była jedyną trzeźwą osobą w towarzystwie, zasugerowała, że Moa mogła zniknąć dlatego, że żałuje tego, co zrobiła. Tego, że naprawdę kogoś zastrzeliła. Stwierdziła też, że powinny opuścić farmę, bo Moa może właśnie siedzi na policji, na przesłuchaniu i na nie donosi. Wtedy Veronica się wściekła. Wrzeszczała, plując śliną nasyciona bimbrem, że z nich wszystkich to Moa zabiła najwięcej mężczyzn. Że ten idiota na przystanku autobusowym to tak naprawdę trzecia ofiara Moi i że wszystkie powinny klęczeć przed nią i bić pokłony. Gdy krzyczała, w jej głosie słychać było płacz.

Leo ją rozumie. Martwi się. Wszystkie stały się sobie bliskie, nawet bardzo bliskie, ale żadne z nich nie były jak siostry, jak Moa i Veronica. Nic w tym dziwnego. Są mniej więcej w tym samym wieku. Obie doświadczyły przemocy ze strony rodziców. Ten sam ogień młodzieńczego gniewu. Ten sam krótki lont. Ta sama czarna dusza. Tina omal nie dostała od Veroniki w twarz, gdy powiedziała, co myśli, ale Leo natychmiast ją powstrzymała. To nie ze sobą powinny walczyć. Tylko z mężczyznami. Zawsze tylko z mężczyznami.

Leonora uważa, że Veronica ma rację, Moa by tego nie zrobiła. W głębi duszy czuje, że to nie podlega dyskusji. Nigdy by ich nie wystawiła. Kocha Falochrony i ich wartości. Więc... gdzie, do diabła, podziewa się ta dziewczyna?

„Na pewno w końcu się tu zjawi” – myśli Leo, i już ma zasunąć zasłonę, gdy coś zauważa.

„Co, do...?”

Zablokowały wjazd na podwórko, aby nikt nie mógł podejść samochodem pod sam dom. Przynajmniej dopóki ktoś nie wie o istnieniu drogi od tyłu przez pole sąsiada, za starym drewnianym szlabanem. Dlatego zbliżająca się kobieta idzie pieszo.

Leo odsuwa szerzej zasłonę. Czy to jest klatka dla kota? Wydaje się, że tak. Kobieta idzie, kulejąc przez alejkę prowadzącą do domu i wygląda trochę jak z feministycznych komiksów Veroniki. Wojownicza. Ma niemal białe, krótko przystryżone włosy. Czarne spodnie, czarna koszulka. Na jednym ramieniu przewieszony plecak, a w ręce trzyma klatkę, w której rusza się jakieś futrzane stworzenie. Gdy podchodzi bliżej, Leo widzi dużego siniaka na jej lewym policzku i kostkę ciasno owiniętą czymś grubym. Szalikiem? Coś w tym stylu. I wtedy nagle zaczyna rozumieć.

„To jest Linn Walter”.

Serce podchodzi Leo do gardła, kiedy otwiera szeroko drzwi wejściowe. Linn staje zaskoczona i mruży oczy przed światłem porannego słońca. Słychać ćwierkanie ptaka, a gdy Leo otwiera drzwi, od

razu przybiega rudy kot z pobliskiej kryjówki. Najwyraźniej zostawiły go na noc na dworze.

Kot przebiega między nogami Leo w stronę korytarza. Linn stoi nieruchomo i przygląda się temu, co się przed nią dzieje.

– Wchodzisz czy nie? – pyta Leo.

– Kim jesteś? – odpowiada pytaniem na pytanie Linn.

– Mam na imię Leonora. Wszyscy mówią na mnie Leo. A ty jesteś Linn. Linn Walter. Prawda?

– Czy znasz Moę? – pyta Linn.

– Jest jedną z nas. I ty też – odpowiada Leo, cofając się o krok od drzwi. Wskazuje ręką klatkę, którą trzyma Linn. – I ona też jest mile widziana, kimkolwiek jest.

Linn waha się przez chwilę, po czym wchodzi po schodkach i wyciąga rękę. „Jest ubrudzona ziemią i krwią” – zauważa Leo.

– On – mówi Linn, stawiając transporter na podłodze. – To jest on, i to kawał skurczybyka. Pan Syk, tak się nazywa. Jeśli się zastanawiasz, czy jest miły, zobacz moje rany na przedramionach. Pół godziny temu próbowałam go włożyć do klatki. Ale... on jest mój i nie ma nikogo innego.

„Rozmowa o kotach” – myśli Linn. Tak. Z tym sobie radzi. Powiedzieć o śmierci Moi – już nie bardzo.

Leonora się śmieje i zamyka drzwi. W korytarzu robi się ciemno. Kuca przed klatką i zagląda do środka.

– Przystojniak – mówi, odblokowując zatrzaski w drzwiczkach.

Kot, którego Linn zabrała ze sobą, od razu wychodzi i rozgląda się zaciekawiony. Kiedy dostrzega dużą, rudą kotkę Leo, napina się przez parę sekund, po czym podchodzi do niej i się o nią ociera.

– Ja piep... – Linn stoi oniemiała i patrzy, jak jej kot czule wita się z kotką Leo. Liże ją po głowie. Potem ona jego. Następnie podchodzi do Leo i Linn. Ociera się, najpierw o nogę Leo, potem Linn. Wydaje delikatne miauknięcia i zaczyna mruczeć.

Leonora mija kota i idzie przodem do kuchni, by włączyć ekspres do kawy. Reszta kobiet zaraz się obudzi. Linn po przetrwaniu tego niemożliwego, co się właśnie wydarzyło – gdy jej kot zachowuje się jak normalny kot – idzie za Leo.

– Usiądź – mówi Leo, stawiając na stole filizankę i bochenek chleba. Masło i ser. – Jedz, jeśli jesteś głodna. Potem chcę się dowiedzieć, co się stało. Czy wiesz, gdzie jest Moa?

Gdy w oczach Linn pojawiają się łzy, Leo rozumie ją bez słów i spuszcza wzrok. Nie musi tego słyszeć. Może nawet nie chce tego słyszeć. Linn i tak opowiada, słabnącym głosem, niczym cień ducha.

– Mój ojciec zabił ją wczoraj w nocy. Mój brat leży w szpitalu. Ledwo żywy. Moja mama też nie żyje.

Leo spogląda z niepokojem przez okno.

– Nie bój się. Nie przyszedł tu za mną. Bo on też jest, kurwa, martwy. Zastrzeliłam go. Tylko zbyt późno.

Leonora powoli siada naprzeciwko Linn i wyciąga pudełko z tabaką.

– Więc Moa... nie żyje? – bierze porcję snusu i wkłada ją pod wargę. Wyciera palce o brązowe skórzane spodnie.

Linn kiwa głową i gładzi się po ramionach. Patrzy na ślady kocich zadrapań. Są świeże. Połyskują czerwienią na tle bladej skóry. Wypukłe, trochę spuchnięte. Po chwili podnosi wzrok. Leo zauważa, że oczy Linn są zupełnie szare. I smutne, ale nie widać w nich braku nadziei. Wręcz przeciwnie. Linn prostuje plecy, po czym mówi to, po co najwyraźniej przyjechała na farmę:

– Potrzebuję twojej..., waszej pomocy.

Rozdział 55

Linn

Panuje cholernie dziwna atmosfera. Smutna i bojowa jednocześnie. Powietrze jest tak ciężkie, że Linn dziwi się, że w ogóle można oddychać w tej ciasnej kuchni, gdzie zebrały się wszystkie członkinie Falochronów. Linn przygląda się im po kolei. Doskonale rozumie, dlaczego Moa czuła się tu jak w domu. Każda z nich w taki czy inny sposób nosi blizny po przemocy ze strony mężczyzn. Niektóre widoczne, inne nie.

Bahar pokazała miejsce na głowie z blizną po oblaniu kwasem. Tina wypchnęła językiem sztuczną szczękę, po czym włożyła ją z powrotem. Evelyn opowiedziała o biednej małej Amandzie, a Leo o tym, co się stało z jej siostrą bliźniaczką. Odkąd Veronica dowiedziała się o Moi, przeważnie milczała. Skierowała swój wzrok do wewnątrz. Po wypiciu pierwszej filiżanki kawy wyciągnęła z kieszeni skórzanej kamizelki fioletową kapsułkę, otworzyła ją, wysypała proszek na skórę między kciukiem a palcem wskazującym i wciągnęła go nosem. Nikt nic nie powiedział. Linn też nie.

Kiedy Linn zaczęła opowiadać o tym, jak Elena śledziła fora dla inceli i że najbardziej obawiała się kogoś o przydomku FuckAlana, nastąpiło poruszenie. Veronica, której źrenice powiększyły się o kilka rozmiarów, klepie Bahar lekko po ramieniu.

– To jest ten sam, prawda? To on.

Linn odchyła się do tyłu na krześle. Czuje podskórne napięcie.

– Czy ma któraś z was papierosa?

Na stole pojawia się paczka papierosów najniższej jakości, ewidentnie z przemytu, oraz benzynowa zapalniczka. Słowo „Marlboro” jest błędnie napisane na opakowaniu, a jego kolor bardziej pomarańczowy niż czerwony. Signe przynosi popielniczkę. Linn zapala jednego, ale natychmiast się krzywi, bo smakuje jak niedopałek ze starej popielniczki. Spogląda skruszona na Tinę.

– Przepraszam. Może nie powinnam... – Linn podnosi papieros przed sobą i zerka na nią pytająco.

Tina tylko potrząsa głową.

– Myślę, że przeżyję. Ale – kontynuuje z powagą – powinnaś chyba posłuchać, co Bahar ma do powiedzenia.

Gdy młoda Iranka pochyla się nad stołem i patrzy na nią badawczym wzrokiem, Linn, nie wiedząc czemu, przechodzi dreszcz.

– Ja też śledziłam te wszystkie fora jakiś czas temu i byłam całkiem nieźle zorientowana, ale... ostatnio nie za bardzo. Byłyśmy... zajęte innymi sprawami.

Evelyn i Leo uśmiechają się jednocześnie, a stojąca przy kuchence Signe potrząsa nadgarstkiem i mruczy: „Mhm-hm”, zupełnie jak Oprah Winfrey.

Linn kiwa głową. Zaciąga się papierosem i wypuszcza dym razem z utkanymi w nim słowami:

– Ponieważ... to wy jesteście... Kobiętą Laser, prawda? Wy wszystkie.

Młodsze kobiety milkną, a po chwili odzywa się Signe:

– Tak, to my – w skupieniu bełta w rondlu z owsianką. Intensywny zapach mokrego owsa miesza się z oparami rakotwórczej chemii pochodzącymi ze słupa dymu wydychanego przez Linn.

Leo porusza twierdząco głową, ustawia pionowo pudełko ze snusem i obraca je pod palcem wskazującym.

– Moa też była jedną z nas.

– Moa?

– Tutaj działamy według zasady jeden za wszystkich, wszyscy za jednego... tak na serio. Nie ma jednego zabójcy, Linn. Wszystkie zabijamy. Każda z nas jest gotowa zrobić wszystko, co konieczne, by kontynuować tę walkę. Wojnę. A tak zwana Kobieta Laser to dopiero pierwszy krok.

– Rozumiem. Więc też śledziłyście te fora, ale zmieniłyście kierunek działania.

– Właśnie tak – mówi Bahar. – Pewnie, że dobrze było mieć oko na tych idiotów inceli i ich poczynania, ale tylko czekać, aż oni coś zrobią, być biernym zamiast aktywnym, to... nie dla nas. Lepiej przejąć inicjatywę i samodzielnie zacząć działać.

– Czy w takim razie wiecie, kim oni są? – Linn zaciąga się mocniej obrzydliwym papierosem i wdychuje kłujący dym przez nos. – Albo przynajmniej kim jest FuckAlana?

Bahar robi minę, jakby przez przypadek ugryzła kanapkę z kupą.

– To Sixten Törnholm.

Linn aż drgnęła.

– Ten z Killhjärpen? Obrońca praw mężczyzn?

Leo parska.

– Obrońca praw idiotów. Właśnie ten. Z biegiem lat coraz bardziej pograżał się w piekło, więc nie dziwi mnie to w najmniejszym stopniu. To była tylko kwestia czasu, kiedy zrobią coś takiego.

– Oni? – dziwi się Linn, wypalając resztkę suchego papierosa i zgniatając niedopałek w popielnicze. Oparzyła się w palec, więc zabiera gwałtownie rękę i wkłada opuszek do ust. Popiół ma kwaśny posmak.

– Wokół jego osoby powstało coś w rodzaju kultu – mówi Leo. – Zaczęło się od wykładów. Potem obozy. A teraz najwyraźniej zakorzenili się tutaj, w Skanii. Coraz bardziej przypominają sektę. Albo pieprzoną komórkę terrorystyczną.

Linn uświadamia sobie, że właśnie w czymś takim się teraz znajduje, ale odpycha tę myśl. Jak to się mówi, „ogień zwalczaj ogniem”. Terrorysta dla jednego to bojownik o wolność dla innego.

– I tam właśnie zabrali Elenę?

– Najprawdopodobniej – odpowiada Leo. – A nawet na pewno. To absolutne szaleństwo. Sama o-bacz. Moa była tam z Veronicą jakiś czas temu i nagrywały. Veronica?

Veronice drży podbródek na wspomnienie imienia Moi, ale zaraz w jej oczach pojawia się determinacja. Wstaje i idzie po małą kamerę wideo stojącą na okapie. Rozkłada wyświetlacz i przewija nagranie, szukając odpowiedniego momentu na filmie.

– O, tu – mówi po chwili i podaje Linn kamerę. – Tak właśnie brzmią jego tak zwane wykłady.

Linn bierze od Veroniki srebrną kamerę i ustawia wystający z boku ekran tak, żeby lepiej widzieć. Film jest kręcony z dolnej krawędzi okna. W budynku, który wygląda jak okrągła stodoła lub strych, gdzie przechowuje się siano. Pośrodku stoją w rzędach ławki, prawie jak w kościele.

Veronica wyciąga rękę i naciska przycisk z boku, aby zwiększyć głośność do maksimum, a potem wszystkie kobiety w kuchni siedzą w milczeniu, podczas gdy Linn ogląda Sixtena Törnholma uchwyconego przez kamerę. Stoi z przodu sali przypominającej kościół, ubrany w długą jasnoszarą szatę, przypominającą koszulę nocną. W ławkach siedzi kilkunastu mężczyzn w różnym wieku. Sixten jest w trakcie płomiennego przemówienia:

– My, mężczyźni, również jesteście źle traktowani w domu! Nękanie w szkole! Nie mamy przyjaciół, cierpimy na zaburzenia psychiczne w trakcie dorastania! Potem mężczyźni są gnójni przez ludzi za to, że nie wzięli się w garść i nie dokonali męskiego wyboru. Nie zacisnęli zębów. Nie otrząsnęli się. Jednocześnie mamy ugiąć się przed kobietami?

Mężczyźni, którzy nabożnie słuchają Sixtena Törnholma, mamroczą z oburzeniem. Niektórzy z nich są ubrani jak on, inni wyglądają, jakby przyszli prosto z pracy. Jeden siedzi w żółtym, odbłaskowym ubraniu roboczym, a obok niego na drewnianej ławce leży kask.

– Do kurwy nędzy. Ugiąć się? Ustąpić? – ciągnie Sixten z ogniem w oczach i żywo gestykułuje. – To my popełniamy najczęściej samobójstwa! To my mamy niższą średnią długość życia! To my pozostajemy w tyle, jeśli chodzi o szkolnictwo wyższe?

Mężczyźni w ławkach reagują coraz głośniejszymi okrzykami na każdą rzecz, którą Sixten wymienia.

– To, co mnie zastanawia: jeśli patriarchy naprawdę istnieje, to dlaczego wszystko, co właśnie powiedziałem, jest prawdą? Czy nie powinno być odwrotnie, skoro to kobiety czują się uciskane?

Siedzący przed Sixtenem mężczyźni teraz wykrzykują swoją frustrację. Linn niemal czuje, jak chmura testosteronu dryfuje z ekranu w jej kierunku. Sixten kontynuuje z rękami uniesionymi nad głową:

– Kiedy to mężczyzna dostanie opiekę nad dziećmi, co? Jak wiele dobrodusznym babsztyli dało się nabrać na kłamstwa tych kurew o molestowaniu, gwałcie lub pobiciu, a następnie ukradło mężczyźniom dzieci, nawet bez dokładnego zbadania sprawy? Ilu mężczyzn siedzi w więzieniach niewinnie oskarżonych o najbardziej obrzydliwe rzeczy?

Jeden z mężczyzn na widowni wydaje z siebie ryk wściekłości. Pewnie przytrafiło mu się coś podobnego.

– I! – Sixten jeszcze bardziej podnosi głos. – Co się dzieje, gdy nagle spada na nas katastrofa? Gdy dom się zawali, szkoła spłonie lub statek zatoni? O czym wtedy wszyscy rozprawiają? No tak, oczywiście o kobietach i dzieciach. Albo raczej najpierw o kobietach, a potem o dzieciach! Jeśli to nie mówi wam wszystkiego, co powinniście wiedzieć o nierówności płci, to nie wiem, co wam powie. Drodzy mężczyźni. Jesteście oszukiwani. Uciskani. Skazani na śmierć. Bo teraz ich działania przybrały na sile i strzelają do nas jak do stada żalosnej zwierzyny. Widzieliście *Wiadomości*. Wszyscy znacie Kobiętę Laser. Widzieliście nagranie wideo, które nakręcili. A to dopiero początek, możecie być tego cholernie pewni. O ile nie powstaniecie. I nie podejmiecie walki. Macie to w sobie. Gdzieś w waszych sfeminizowanych, zastraszonych i chłostanych przez te cipy ciałach drzemie pierwotny człowiek. Samiec alfa. Wszyscy macie go w sobie! Nadszedł czas, aby go przebudzić. I wszystkich waszych przodków. Nadszedł czas, aby przejąć władzę i odebrać ją wszystkim sukrom, które przekonały was, że musicie trzymać się na uboczu dla ich dobra. Nie macie tego robić. To nie wy powinniście się bać! To wy jesteście panami. A one niewolnicami!

Gdy wśród mężczyzn siedzących w rzędach podnoszą się wściekle okrzyki, Linn zatrząskuje ekran kamery i musi odchrząknąć, by opanować głos. „Jasna cholera, to miejsce to tykająca bomba”.

– To mi wystarczy. Boże, więc... – kręci głową. Bierze łyk zimnej kawy.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego prowadzimy tę wojnę tak brutalnie – mówi Leonora, opierając się na kuchennym krześle i krzyżując ręce. – To incelowe gówno się rozprzestrzenia. Jest ich coraz więcej i są coraz bardziej agresywni. Nie możemy siedzieć potulnie i czekać na ich ruch. Nie możemy tylko reagować na ich działania. Same musimy działać. Musimy uderzać szybciej i mocniej niż oni.

Linn kiwa potakująco głową.

– Nie musisz mnie przekonywać, Leo. Wchodzę w to. Ale jeśli ci gnoje porwali Elenę, najpierw musimy ją uratować. – Wstrząsa nią dreszcz. – Bóg jeden wie, co oni jej teraz robią.

Rozdział 56

Linn

Przygotowania przebiegają szybko. Widać, że nie po raz pierwszy kobiety na farmie organizują brutalną akcję. Dzięki temu pogrążona w rozpacz Linn ma się na czym skupić. Chowa się za wysokim czarnym murem. Być może to jedyna rzecz, która sprawia, że jeszcze się nie rozpadła.

Od czasu do czasu ktoś coś powie lub wykona gest, który przypomina Linn o jednej z wielu bliskich osób, które straciła w tym koszmarze, i wtedy tynk niemal zaczyna się kruszyć, mur zaraz runie. Jedna z kobiet to zauważa i daje Linn konkretne zadanie: załadować broń, spakować plecak, sprawdzić drogi dojazdowe na różnych mapach i tak dalej. Wtedy mur przestaje się tak niepokojąco trząść. Nie rozpada się. Przynajmniej na razie.

Leo, Veronica, Bahar, Evelyn i Linn pojedą do kryjówki sekty Sixtena Törnholma. Dwoma samochodami. Bahar poprowadzi jeden, Evelyn drugi. Wszystkie są zgodne co do tego, że dzisiejszą akcję przeprowadzą zarówno dla Moi, jak i w celu ratowania Eleny. Każda kobieta otrzymała broń. Ponieważ Linn nie radzi sobie najlepiej z karabinami, dostała srebrny pistolet, który jest ciężki i dobrze leży w dłoni. Zapięła kaburę w taki sposób, by wisiała pod lewym ramieniem, dzięki czemu będzie mogła wyjąć broń w ciągu sekundy.

Pan Syk biega po domu z rudą kotką Leonory. Linn, widząc go co jakiś czas, stwierdza, że zachowuje się jak cholerny mały kotek. Ugania się za tą kotką i wygląda na... zakochanego. I każdy, kto chce, może go pogłaskać, nawet Linn.

„Aż mi się wierzyć nie chce” – myśli Linn, ładując magazynek siedemnastoma nabojami. Cieszy się jednak jego szczęściem. I czyż nie jest to doskonała metafora? Wszystko, czego Pan Syk potrzebował do bycia szczęśliwym i osiągnięcia poczucia wewnętrznego spokoju i harmonii, to ktoś z jego własnego gatunku. Właśnie tego mu cały czas brakowało.

„Jakże wszystkie żywe istoty są do siebie podobne” – stwierdza w myślach Linn i rozgląda się po domu, gdzie kobiety w różnym wieku i z różnymi ranami szykują się do bitwy.

„To jest właśnie to, czego wszyscy potrzebujemy. Kogoś z naszego gatunku”.

Linn miała ich wielu, ale ojciec i ci jebani incele odebrali jej prawie wszystkich.

„Mężczyźni...”

Wsuwa magazynek do pistoletu, przeładowuje broń i sprawdza, czy jest zabezpieczona. W tym samym momencie do kuchni wchodzi Leo, ubrana w ciemnobrązową kamizelkę myśliwską i czapkę z daszkiem w kolorze wojskowej zieleni. Przez ramię ma przewieszony karabin.

– Gotowa? – pyta.

– Gotowa od zawsze – mówi Linn.

Rozdział 57

Elena

Elenie nie udało się zwrócić niczyjej uwagi bez względu na to, jak mocno uderzała, i przez chwilę wydawało jej się, że jest sama w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Walała i walała pięścią jak młotem w ściany, w drzwi, w zardzewiałe koryto, które się rozpadło i leży teraz w kawałkach na betonowej podłodze. Żadnej reakcji. Ani jeden drań nie zwrócił na to uwagi. Elena zaczyna myśleć, że to celowe działanie. Że próbują ją wykończyć psychicznie.

Przed chwilą poczuła bardzo charakterystyczny zapach. Zapach spalenizny. Na początku uruchomiły się w niej wszystkie sygnały alarmowe. Chcą ją spalić w tej stajni? Jednak nie widziała ani nie czuła dymu nigdzie w swoim małym betonowym więzieniu, więc zdała sobie sprawę, że musi dochodzić z innego budynku. A już kilka minut później poczuła wspaniały zapach smażonych steków.

To są mężczyźni. Więc oczywiście przygotowują mięso na otwartym ogniu.

Elena stoi przy szparze w drzwiach, wygląda na zewnątrz. Pociera bok małego palca u ręki i rozmawia całą dłoń, czerwoną i spuchniętą od uderzeń. Zapach jedzenia powoduje burczenie i skrzęcanie w żołądku. Kac wcale nie zmniejsza ochoty na tłuste i smażone mięso.

„Oni o tym wiedzą. To jest gra. Chcą sprawić, żebym cierpiała coraz bardziej, złamać mnie i udawać, że mnie nie słyszą, a głodzenie przy zapachu smażonego bekonu jest częścią tego planu” – myśli.

Elena trzyma szczyrk w prawej ręce. W każdej chwili ktoś może wejść i wtedy ona dostanie swoją szansę. Musi być w pełnej gotowości w chwili, gdy drzwi otworzą się po raz pierwszy. Wykorzystać okazję i przejąć inicjatywę. Bo jeśli naprawdę zamierzają ją głodzić, to z każdą godziną będzie coraz słabsza. Znowu przysuwa się do szpary w drzwiach i łapczywie wciąga powietrze pachnące jedzeniem.

Może gdyby...

„Co to znowu, do cholery?”

W oddali słychać silnik. Samochód jedzie niezwykle szybko. Zbyt szybko, jak na teren zabudowany. Ktoś zbliża się tu z ogromną prędkością. Elena przysuwa się bliżej ściany, by móc zobaczyć większą część podwórka. Kolejny silnik? Wtedy widzi białe volvo, starszy model SUV-a. A za nim z hukiem podjeżdża minivan. Spod jego opon rozpryskuje błoto. Zatacza niewielkie kółko i zatrzymuje się przedem do Eleny. Czy ona dobrze widzi, że za kierownicą siedzi kobieta?

Kiedy drzwi volvo się otwierają, Elena już ma znowu walić i krzyczeć, ale zatrzymuje się w połowie ruchu. Z obu samochodów wysiadają kobiety. Uzbrojone. Wołają w stronę drugiego domu i...

„Linn?”

Rozdział 58

Linn

Natychmiast zaczynają działać, tak jak wcześniej ustaliły. Plan jest jasny: zaskoczyć mężczyzn na farmie. Grozić im tak długo, aż oddadzą Elenę. A potem uciec. To nie jest ani czas, ani miejsce na prawdziwą walkę. Trzeba przeprowadzić akcję w sprytniejszy sposób, a najważniejsze, to uwolnić Elenę z rąk tych pojebów.

Gdy wjeżdżają na podwórze, serce Linn wykonuje taniec limbo i przechodzi pod żołądkiem jak pod drewnianą poprzeczką. „Jak nisko może zejść?” Serce podnosi się i opada. Linn ma wrażenie, że wszystkie organy wewnętrzne nieustannie się przesuwają i zmieniają położenie. Jak podczas zabawy w gorące krzesła.

Linn musi skupić się na oddychaniu, żeby nie zwymiotować z powodu napięcia i silnego kołysania w samochodzie.

Veronica gwałtownie otwiera drzwi samochodu i wyskakuje z uniesionym karabinem w rękach, a Leo i Evelyn wysiadają z drugiego auta. Linn myśli, że to zły pomysł.

„A co, jeśli ci mężczyźni też mają broń?”

Ale nie ma czasu, by się rozmyślić. Linn również wyskakuje z samochodu, niemal jak w transie. Kiedy z domu przez frontowe drzwi wychodzi dwóch zaskoczonych mężczyzn, Linn wyciąga pistolet i krzyczy do nich. Że mają się poddać. Że mają wypuścić Elenę. Że wie, że oni ją przetrzymują.

Mężczyźni robią to, co każdy człowiek instynktownie zrobiłby w takiej sytuacji. Rzucają się z powrotem do środka przez drzwi, przez które właśnie wyszli. Słysząc, jak krzyczą do innych. W tym samym momencie otwierają się boczne drzwi. Wychodzi z nich mężczyzna z drewnianym kijem w ręku.

– Rzuć to! – krzyczy Veronica, która jako ostatnia wysiada z samochodu i ma pilnować lewej strony, podczas gdy Evelyn jest odpowiedzialna za prawą.

W tej samej chwili otwiera się okno na drugim piętrze sąsiedniego budynku i ktoś krzyczy, żeby się stąd wynosiły.

– My też mamy broń, wy jebane cipy!

Linn rozpoznaje głos. To on, pieprzony Sixten Törnholm. Linn kieruje łufę to w jedną, to w drugą stronę. Wreszcie postanawia skupić się na otwartym oknie. Za nim może kryć się wszystko. Przez ułamek sekundy ma szaloną wizję, że ktoś trzyma bazookę wycelowaną prosto w ich samochody. Krzyczy do Sixtena i do kogokolwiek, kto się z nim tam ukrywa:

– Nie ruszać się! Bo zacznę strzelać!

Veronica podchodzi do mężczyzny z drewnianym kijem i celuje w niego z karabinu. Powoli, powoli mężczyzna kładzie kij na ziemi obok siebie. „Za blisko” – myśli Linn. Powinna kazać mu go kopnąć dalej.

Po chwili Leo i Evelyn zakradają się od drugiej strony z karabinami przygotowanymi do oddania strzału. Podchodzą do drzwi, z których wcześniej wyszli dwaj mężczyźni, i szarpią za nie. Krzyczą do nich, aby wyszli z rękami w górę.

Kiedy mężczyźni robią to, czego żąda Leo, Linn niemal wybucha śmiechem. Jeden z nich trzyma w rękę patelnię. Drugi – parasolkę. Obaj wyglądają, jakby mieli się zesrać ze strachu. Leo zbiera siły i wydaje z siebie krzyk, który niesie się przez podwórze:

– Przyszłyśmy tu po Elenę! I tylko o nią nam chodzi! Uwolnijcie ją, a zaraz stąd odjedziemy.

Mężczyźni patrzą na siebie zdezorientowani. Wtedy Linn słyszy hałas. Uderzenie w drzwi gdzieś obok. Dźwięk dochodzi z najmniejszego budynku na farmie. Przez ciszę, która osiada na wszystkim jak złowieszczy filtr, przedziera się też słodki głos Eleny:

– Tutaj! Jestem tu w środku!

Wszyscy obracają się, słysząc jej krzyk. Linn kieruje lufę pistoletu na mężczyznę, który wcześniej odłożył drewniany kij.

– Ty tam, wypuść ją! I żadnych sztuczek, bo rozwalę ci łeb.

Mężczyzna kipi ze złości, ale kiwa twierdząco głową z zaciętą miną. Idzie tyłem w kierunku stajni z uniesionymi rękami.

„Uda nam się” – myśli oszołomiona Linn. Bez względu na to, jak bardzo fantazjują o przemocy na swoich cholernych sekciarskich spotkaniach czy w internecie, jest to tylko banda żałosnych chłopców z patelniami i drewnianymi kijami. I parasolkami, kurwa. „Dzielił nas lata świetlne”.

Mężczyzna podchodzi do drzwi stajni i wskazuje na swoją kieszeń.

– Klucz. Muszę wyjąć klucz.

Linn zgadza się skinieniem głowy.

– Celuję prosto w ciebie, skurwielu – odzywa się Veronica gdzieś z lewej strony za Linn. – Żadnych sztuczek.

Mężczyzna ponownie kiwa głową i opuszcza rękę. Szpera w kieszeni, po czym wyjmuje pęk kluczy. Następnie otwiera drzwi.

W momencie, gdy Elena prawie przez nie wypada, mężczyzna szybkim ruchem wyciąga nóż, najwidoczniej ukryty wcześniej w pochwie z boku. Drugą ręką już obejmuje szyję Eleny, uniemożliwiając jej zrobienie kolejnego kroku.

– Odłóżcie broń! – krzyczy mężczyzna, przyciskając nóż do pięknej szyi Eleny tak mocno, że jego czubek przebija skórę i zaczyna lecieć krew.

W głowie Linn coś wybucha. Ma wrażenie, że ogień przesywa całą jej skórę od wewnątrz.

– Będę strzelać! – krzyczy do niego. Coraz więcej mężczyzn pojawia się na podwórzu i każdy trzyma coś w rękach.

– Puść ją! – krzyczy Leo, celując od tyłu w mężczyznę, który trzyma Elenę.

Nagle rozlega się strzał.

„Okno. Cholera, zapomniałam o oknie”.

Wszyscy rzucają się na ziemię. Tymczasem Linn widzi, jak Elena wbija nóż w ramię mężczyzny. „Szczyryk” – myśli i czołga się w stronę volvo, które może zapewnić jej względne bezpieczeństwo. „Tego się nie spodziewałeś, ty draniu”.

Mężczyzna, który trzymał Elenę, wyje z bólu, a Linn dostrzega szczyryk głęboko wbity w jego przedramię.

Kolejny strzał. Tym razem to Leo i Evelyn stojące za drzwiami swojego samochodu strzelają w okno, z którego padł pierwszy strzał. Nikt jednak nie odpowiada ogniem.

Szyba pęka, rama okna rozpryskuje się ze świstem na drzazgi. Fragmenty ściany odpadają.

Linn patrzy, jak Elena próbuje wstać z ziemi i rozgląda się nerwowo wokół siebie. Po czym zawiesza wzrok na Linn. Linn, prześlizgnąwszy się do volvo, siada, opierając się plecami o drzwi, i krzyczy do niej.

– Biegnij, kochanie!

Leo i Evelyn wsiadają już do swojego samochodu, a Bahar odpala volvo. Gotowa do wciśnięcia gazu, gdy tylko Veronica, Linn i Elena znajdą się w środku.

Veronica rzuca się na tylne siedzenie. Otwiera boczne okno i strzela do okna na piętrze, skąd padł pierwszy strzał. Nadal nikt nie odpowiada ogniem. Linn odpycha się nogami od ziemi, wstaje i otwiera drzwi po swojej stronie samochodu. Elenie zostało tylko kilka metrów.

– Szybko! – krzyczy Linn, pochylając się i wyciągając rękę.

I właśnie wtedy twarz Eleny eksploduje na oczach Linn. Przestaje istnieć. Przed chwilą jeszcze tam była. Obecna – widać to było w jej oczach. Roztrzęsiona, ale piękna. Zmierzająca w stronę Linn. Ku wolności. A zaraz potem wszystko zamieniło się w krwawe piekło. Eksplodująca masa mięsa i fragmentów czaszki.

Gdy ciało Eleny osuwa się na kolana i upada do przodu, Linn spogląda na drzwi z boku budynku. Na parterze. Na zewnątrz stoi Sixten Törnholm z uniesionym pistoletem i celuje w Elenę. Z wylotu broni unosi się dym. Wtedy ktoś strzela mu w ramię, przez co musi cofnąć się za drzwi, by się schronić.

– Linn! Musimy jechać! Teraz! – Veronica wysiada z samochodu i obejmuje w pasie wierzgającą nogami i krzyczącą Linn. Chce pójść do Eleny, która leży na ziemi, w kałuży krwi. Linn widzi dziurę z tyłu głowy. Wściekła czerwień rozlewa się wokół jej pięknych, długich włosów.

Veronica siłuje się z Linn. Szepcze jej do ucha coś, czego ona nie słyszy. W końcu udaje jej się wrzucić Linn na tylne siedzenie, po czym Bahar z całej siły wciska gaz.

– Nie, nie, nie, nie! – krzyczy Linn i się odwraca. Sixten Törnholm wychodzi na podwórze z uniesioną bronią. Tylne szyba zostaje rozbita przez pocisk, a odłamki szkła wbijają się w twarz, ale Linn nawet tego nie czuje.

Widzi tylko piękne, martwe ciało leżące samotnie na brudnej, błotnistej ziemi. Ciało Eleny. Od którego samochód coraz bardziej się oddala. Elena. Która nie ma twarzy. Która nie żyje.

Rozlega się kolejny strzał. Linn zamierza wyskoczyć przez tylną szybę w trakcie jazdy. Musi wrócić. Coś ją jednak powstrzymuje. Odwraca się i krzyczy bez słowa. To, co ją powstrzymuje, to twardy jak skała uścisk Veroniki. Veronica płacze. Krzyczy coś do niej, podczas gdy samochód kołysze się na boki.

Serce łomocze. Potem przestaje. Potem znów łomocze. Potem przestaje. Niespodziewanie pojawiają się zawroty głowy. Po chwili Linn traci świadomość.

Rozdział 59

Linn

Linn uświadamia sobie, że Elena miała urodziny. I nawet ich nie świętowały. Miłość jej życia skończyła sześćdziesiąt lat, a Linn była zbyt pochłonięta własnymi sprawami, by pamiętać o jej urodzinach. A były to jej ostatnie.

Linn siedzi w tym samym miejscu, gdzie ktoś ją posadził, gdy kilka godzin temu wróciły na farmę pod Fjellie. Nie może się ruszyć. Sześćdziesiąt lat – tyle dożyła Elena. Linn czuje się, jakby sama miała sto sześćdziesiąt. Albo nie. Jakby była martwa, tak właśnie się czuje.

Leo siedzi obok niej i trzyma ją za rękę. Jak długo to robi? Veronica siedzi naprzeciwko. Też trzyma ją za rękę.

– Ja... – zaczyna Linn, ale głos jej słabnie.

Leo ściska jej dłoń. Veronica delikatnie dotyka jej czoło czymś zimnym.

– Nikogo już nie mam – wydobywa z siebie, – Z wyjątkiem Antona.

– To nieprawda – odpowiada bezbarwnym głosem Leo, wskazując na kobiety w pokoju. – Masz te wszystkie siostry.

Veronica przestaje gładzić Linn i przysuwa się bliżej. Całuje ją w czoło i mówi:

– Teraz jesteś jedną z nas.

Epilog

Tydzień później

Linn siedzi przy stole kuchennym na farmie niedaleko Fjelie. Pan Syk leży przed nią na stole, na ceracie w białą-czerwoną kratkę i mruczy. Za nią stoi Veronica i nakłada rozjaśniacz na włosy Linn. W popielniczce tli się papieros, a naprzeciwko siedzi Leo i poleruje jeden ze swoich karabinów. Nowy telefon Linn, starszego typu, został rozpakowany i naładowany. A teraz po drugiej stronie słuchawki jest Martin Ljungstål, który dzwonił i dzwonił na jej stary numer, dopóki nie wyłączyła go na dobre. Jednak bardzo chce się dowiedzieć, czego on chce.

– Wiesz, że nikomu nie zdradzę, gdzie jesteś, Linn – mówi. W tle słychać pędzące samochody.

– Wiem o tym. Ale i tak ci nie powiem – odpowiada Linn. – Nic mi nie jest. Zaopiekuję się Antonem. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Martin wzdycha na drugim końcu linii. Przez chwilę Linn ma wrażenie, że będzie chciał ją przekonać, ale po chwili wzdycha znowu i mówi:

– Znaleźliśmy obozowisko w lesie. Jakies sto metrów od waszego domu. To tam twój ojciec nocował, stamtąd kontrolował sytuację i planował. I jeszcze jedno, Linn.

– Co?

– Wiemy, jak udało mu się uciec tym razem. Ktoś mu pomógł.

Linn prostuje się na krześle i poprawia ręcznik na ramionach, tak aby nie spadł na podłogę.

– Pomógł? Co, do diabła, masz na myśli?

Martin odpowiada przygnębionym głosem:

– Pomogła mu młoda dziennikarka. Jakaś... Helena Schinckel. Podobno obiecał jej wyłączne prawa do swojej historii w zamian za pomoc w ucieczce.

– Kobieta... – mówi Linn. – Zawsze był mistrzem w wyłudaniu pomocy od słabych kobiet.

Po drugiej stronie stołu Leo unosi brew, dalej polerując lufę półautomatycznej strzelby. Linn podnosi papierosa, zaciąga się i gasi niedopałek.

– Coś jeszcze?

Martin waha się przez chwilę.

– Jesteś pewna, że nie chcesz mi powiedzieć, gdzie jesteś? Mogę ci pomóc, Linn, ja...

– Nie, nie powiem ci – przerywa. Veronica cicho chichocze za jej plecami.

– Okej, okej... Ale musisz jeszcze o czymś wiedzieć. Słuchaj..., wiemy, że to wy włamałyście się do domu Lindströma.

Linn czuje ucisk w żołądku. Mocniej ścisną komórkę w dłoni.

– Aha?

Martin wzdycha.

– W pokoju, gdzie spał, znajdowała się ukryta kamera. W pluszowym misiu na komodzie. Nie jest to rzadkością wśród przestępców. Większość z nich to paranoicy. Na nagraniu wyraźnie widać, że to wy. Założyłyście kominiarki dopiero... No wiesz..., tuż przed. Więc nietrudno się zorientować, kto strzelał.

Linn się nie odzywa, bo nie ma pojęcia, co powiedzieć. Po kilku minutach milczenia Martin kontynuuje niepewnym tonem:

– No więc tak. W każdym razie... próbuję powiedzieć, żebyś nie wracała do domu. Jesteś ścigana za morderstwo. A wiesz, że na policji informacje wyciekają jak przez sito, Linn. To tylko kwestia czasu,

kiedy Hells Angels też się o tym dowiedzą, skoro my już wiemy. Kontynuujemy poszukiwania Eleny, ale ty musisz trzymać się z daleka. To jedyne bezpieczne rozwiązanie.

Już samo brzmienie tego imienia sprawia, że wewnątrz Linn zwija się w bolesną, żarzącą się masę. W gównu, z którym już nigdy się nie upora.

– Elena nie żyje – udaje jej się wydukać. Oddech zaczyna przyspieszać.

Veronica uspokaja ją, chwytając za ramiona. Ściska je.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – dyszy Martin.

– Jej ciało pewnie nigdy nie zostanie odnalezione. – Kwaśny smak w ustach. Słowa, które są trujące.

– Ale jak... – Martin nie potrafi znaleźć odpowiednich słów.

– Nieważne – odpowiada Linn. – Zajmiemy się tym. A jeśli będzie trzeba, zajmiemy się też tymi przeklętymi Hells Angels.

Leo aż drgnęła po drugiej stronie stołu. Powoli odkłada broń, a Veronica wysuwa krzesło obok Linn. Siada i patrzy z zainteresowaniem. Wyjmuje kapsułkę. Otwiera ją i wciąga nosem znajdujący się w niej proszek.

– M-my? – pyta Martin.

Linn patrzy najpierw na Leo, potem na Veronicę. Widzi Bahar, która stoi przy oknie i przycina zioła. Signe na zewnątrz robiącą coś przy kwietniku. Słyszy, jak inne kobiety kręcą się po domu. Żołnierki.

– Tak. My – odpowiada. – Mówi się, że walka o równouprawnienie praw kobiet przychodzi falami, wiedziałeś o tym? Teraz żyjemy w czasach czwartej.

– Że co...? Co? O czym ty mówisz, Linn?

Linn ignoruje jego pytanie.

– Ale to nie jest prawda – kontynuuje lodowatym głosem. Zaraz się rozłączy, wyjmie kartę SIM i spali telefon, baterię i to wszystko w kompostowniku.

– Nie jesteśmy czwartą falą, Martin – kończy rozmowę. – Jesteśmy pierwszym pieprzonym tsunami.

Podziękowania

Chciałabym złożyć głębokie i szczerze podziękowania wszystkim, którzy w różny sposób przyczynili się do tego, by szczegóły tej historii jak najwierniej odpowiadały rzeczywistości: Antonowi Krigsmanowi, Fabianowi Callmerowi, Azarowi Akbarianowi, Lindzie Nemes i Jenny Fugleberg. To, że ta opowieść tu i ówdzie odbiega od prawdy, jest moim świadomym wyborem i nie wynika z tego, iż otrzymałam od Was błędne informacje.

Chciałabym również bardzo podziękować mojej redaktorce Sarze Hemmel, która pilnuje, by moje czasem chaotyczne teksty lśniły na papierze tak jasno, jak wtedy, gdy rodzą się w mojej w głowie.

Ogromne podziękowania dla Gunilli Leining, która ożywia moje historie niesamowitymi interpretacjami.

Równie głębokie i wielkie podziękowania kieruję do Leffego Grimwalkera, mojego męża i najbardziej entuzjastycznego czytelnika oraz miłośnika mojej twórczości. Nie wiem, gdzie byłabym dzisiaj bez Ciebie.

Zwracam się z podziękowaniami także do syna Maximiliana, który każdego dnia udowadnia mi, że istnieje przyszłość dla męskiego rodu. Jesteś taki mądry i empatyczny. Wszyscy powinni brać z Ciebie przykład.

I wreszcie podziękowania dla Valerie Solanas. Zawsze. Nawet po śmierci wciąż otwierasz oczy i rozpalasz gniew, gdy jest to potrzebne.